









B A J B U Z A.



**J. I. KRASZEWSKI.**  
**POWIEŚCI HISTORYCZNE.**  
**XXIII.**

---

**BAJBUZA.**  
(CZASY ZYGMUNTA III).

**TOM III.**

---

**KRAKÓW.**

**Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.**

Gebethner i Wolff.

Maurycy Orgelbrand.

Michał Glücksberg.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1885.



---

Kraków. — W drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki,  
pod zarządem Jęna Gądowzkiego.



## I.

Zamość od śmierci hetmana, jakby duszę postradał, która mu dawała życie, nie tą już był stolicą obrad poważnych i strażnicą bezpieczeństwa publicznego, stał się gniazdem chorobliwego niepokoju. Zamiast wielkiego męża, który żywioły wszelkie w mierze utrzymać umiał, rządził tu i przewodził opiekun i spadkobierca hetmana — Zebrzydowski. Nigdy może dobitniej się nie sprawdziło to wielkie prawo, iż miara we wszystkim o znaczeniu czynów ludzkich stanowi, a kto jej nie zna i nie czuje, ten tym samym ogniem, co wczoraj grzał, jutro zniszczy i spali.

Napozór ten to sam był ogień w piersi wojewody, który ożywiał nieboszczyka, lecz Zebrzydowski nie hamował go ani uśmierzał, ale rozdmuchując pożar nim niecił.

Powtarzał on napozór słowo w słowo to, co mówił zmarły, też same czynił królowi wyrzuty, tegoż zdawał się pragnąć, ale popędliwością niepowściągnią grzeszył.

Zdawało mu się, że do zburzonej a ślepej szlachty odwołując się, mogąc jej, jak mu zaręczali pochlebcy, sto tysięcy na koń wsadzić, miał w rękach swych los rzeczypospolitej, króla, wszystko. Widział się zawczasu panem.

Duma go upajała.

Na zamku gdzie przemieszkiwał teraz, ścisk był nienstanny... zwołany zjazd do Lublina gotowano. Wojewoda siedział w myślach zatopiony nad stosem listów, które rozrzucone przed nim leżały. Był ranek wiosenny, przez okno otwarte łagodne powietrze zdawało się wciskać, aby koić i uśmierzać, ale Zebrzydowski czytając doniesienia i rzucając je, coraz się bardziej unosił.

Wtem w progu ukazał się, drzwi ostrożnie uchylając, Stanisław Ponętowski, znany szaleniec i gwałtownik, co dawno jnż obwoływał rzeczpospolitą bez królów, a teraz obok Stadnickiego, Herburta, Pękosławskiego, Smoguleckiego mógł stanąć nieprzejeđnaną swą gwałtownością i zuchwalstwem.

Była to jedna z tych żagwi płonących, które pod strzechę podłożyć dość było, aby pożar wzniecić. Jak z drzewa wyciosany, gruby, silny, ruchów niezręcznych i ostrych, z ramionami

w górę podniesionemi, w których głowa na grubym karku siedziała, czarny, opalony, porąbany, równie sływał z szalonego męztwa i wymowy piorunującej.

Umiał przemawiać do braci szlachty, której wymowy nie potrzeba było wytwornej, ale dośadnej. Tak jak bigos i flaki wolała niż pulpety i pianki słodzone, tak i to słowo grube, brudne często, ale śmiałe, porywało ją i zdobywało.

Zebrzydowski z wielu względów sam do niego podobny, chociaż wychowanie więcej go ogładziło, lękał się Ponętowskiego, a oszczędzać go musiał.

Przez niego, przez Pękosławskiego, przez zięcia swego Smoguleckiego mógł na gromady ludzi puścić co chciał, aby je poruszyć.

Tylko Smogulecki się niedarmo przez lat cztery teologii uczył w seminaryum w Rzymie, obok siły i śmiałości, miał przenikliwość i zręczność, gdy Ponętowski od siekiery rąbał.

Ponętowski w progu się zatrzymał nieco, jakby o wnijscia pozwolenie prosił i czekał na nie.

— Chodź — westchnął, papier rzucając wojewoda — jakież tam duch wieje?

Ponętowski myślał krótko.

— Ono to tak jak przed burzą bywa — rzekł — przerzuca się wiatr. Czujesz go z pół-

nocy, już ci zadał z południa, ledwieś się opamiętał, wieje ze wschodu.

Ruszył barkami ogromnemi.

— A jak ono jest, to jest — dodał — w skórze króla JM. nie chciałbym być. Nasłucha się, naje, napije żółci dosyć, nim albo go zmożemy, lub wygonim.

Ale ja za wypędzeniem głosuję.

Nie nie odpowiedział Zebrzydowski, zadumał się.

— Nie tak to łatwe jak ci się zdaje — odezwał się po przestanku — a najgorsza rzecz, że my nikogo pewnymi być nie możemy.

Milczał trochę.

— Cóż ty myślisz? szwagier mój, pan hetman Żółkiewski, który wie i pamięta nieboszczyka rady i wolę, czy sądzisz, że ja pewnym go być mogę?

— A! no! — rzekł Ponętowski.

— Nie jestem go pewnym — kończył wojewoda. — Księcia Janusza Ostrońskiego sądzisz, żem już sprawie naszej zyskał? Gdzie tam! waha się. Innych siła, duchownych i świeckich senatorów na dwu stołkach siedzą.

— A pocóż na senat i senatorów rachujecie? — wybuchnął Ponętowski — macie za sobą ogromne tłumy szlachty, senatorowie ucichną przed tą nawałą.

— Mamy szlachtę? — odparł wojewoda — waszmość jesteś tego pewnym? Tak? mamy ją, a jutro? Przyjdzie z pozwoleniem łada truteń a pocznie jej dowodzić, że ją ją okłamuję, a po królu się wszystkiego spodziewać może, sądzisz, że nie zwróci się do regalistów?

Hej! hej! beczka piwa silniejsza czasem będzie od argumentu.

— Ja nie trzymam o nich tak źle — rzekł Ponętowski — a to wiem, że do burzenia i wywracania niema jak ona. Budować to co innego. Do Inflant ciągnąć pod rygorem wojskowym i tam skórę nastawiać na kule nie w smak im, a pod Stężyce, do Lublina zjechać się i poburzyć, a moc swą okazać, w to im graj.

— Patrzyć tylko trzeba, aby pasza była dla koni, a w domu żniwa nie strzymały! — szydersko rzekł Zebrzydowski. — Pracujcie aby do Lublina się gromadnie zebrano, pracujcie.

— O to troski niema.

Rozmowa się miała dalej tak ciągnąć, gdy Zebrzydowski ujrzał przez Urowieckiego prowadzonego Bajbuzę, który w paradnym stroju szedł dopraszając się posłuchania; ale zobaczywszy Ponętowskiego, trochę przystanął.

Znali się, rotmistrz krzykacza nie lubił, a że wstręty są prawie zawsze wzajemne, Ponętowski mu to oddawał, bo oprócz tego zazdrościł, widząc go bogatym, sławionym z męstwa i szano-

wanym. Czując, że wolałby był rotmistrz mieć go czasu rozmowy z wojewodą za drzwiami, umyślnie się strzymał Ponętowski.

Zebrzydowski go witał uprzejmie, pamiętny tego, iż hetman cenił w nim rycerza i człowieka wielkiego charakteru.

Bajbuza, acz mu się otwarcie rozmówić przy niemiłym świadku nie było dogodnem, nie chciał okazać znowu, aby go krzykacz onieśmiał.

— Ja tu do miłości waszej przychodzę — odezwał się — jako do spadkobiercy naszego wielkiego wodza. Jam człek wolny, rad rzeczypospolitej skórą i mieszkaniem, krwią i majątkiem służyć, ale dziś my wieśniacy, ziemianie, nie wiemy kędy iść.

— Jakto? — podchwycił wojewoda — przecież to jak na dłoni. Z królem dziś tylko kortezany nikczemne, regaliści przekupieni i Niemcy trzymają, prawy syn tej rzeczypospolitej z nami.

— I jam tak sądził aż do Stężycy — odparł Bajbuza.

— A tam co się stało?

— Powziąłem wątpliwość, idziemy wprost do domowej wojny.

Powtóre, nie miejcie za złe szczerości mojej, królewska władza potrzebną jest, powaga też, jeżeli ją zachwiejemy i obalim, zamęt powstanie powszechny.

Dziś my króla nie posłuchamy, słusznie, a jutro wojsko nie posłucha hetmana i uczyni związek tak jak my rokosz. Tymczasem tatarzyn kraj splądruje.

Zniszczyć ład łatwo, ale go zaprowadzić trudno.

— Oho! oho! regalista! — zamruczał Ponętowski. — Czyś waszmość u Jezuitów się uczył?

— Nie — rzekł spokojnie Bajbuza — ale prosty rozsądek to wskazuje. Upominajmy się o to, co nam należy, ale *cum debita reverentia*, a bez rokoszu obejść się możemy.

Zmarszczył się straszliwie Zebrzydowski.

— Mądre to są maksymy w księgach — rzekł — a gdy o żywot, o swobodę najdroższą, *aurea libertas*, gdy o prawa chodzi, my temi konsyderacyami się nie możemy rządzić.

*Pereat mundus, fiat justitia!*

— A gdyby i bez *pereat* można sprawiedliwość otrzymać? — spytał Bajbuza.

— Jak? jak? — zakrzyknął wojewoda. — Folgowaliśmy i folgujemy królowi, ale im my łagodniejsi, tem on zuchwalszy. Nareście nie chcemy-li, aby nas zaprzedał, musimy nastąpić na niego całą mocą naszą.

Tu się powstrzymał nieco wojewoda, tak jak był zwykł, tajemniczo zawsze, niedopowiadając, zamruczał.

— Nie chcę umysłów doprowadzać do ostatecznego zburzenia, dlatego nie mówię jeszcze wszystkiego, co bym mógł, co wiem, na co dowody mam. Gdybyście to wiedzieli co ja, włosyby wam powstały na głowach! Tak jest. Dlatego milczę, moderuję się.

Bajbuza spojrzał nań badająco.

— My o tem wiedzieć nie możemy? — zapytał.

— Nie, nie — zawołał wojewoda — to są *arcana status*, w swoim czasie odsłonię je, obnażę i zgrozą umysły wasze przerażę. Król winien daleko więcej niż sądzicie, niema dla niego przebaczenia. Nie dziwujcie się, gdy Stadnicki już kaptur wywołuje. Złamane są pakta, zdradzone zaufanie nasze.

Rotmistrz wstrzymał się od odpowiedzi długo, a Ponętowski tryumfował wąsą targając i uśmiechając się.

— Z tem wszystkiem — dodał Bajbuza — ostateczność to smutna, że na ślepo iść musimy, i wszelki porządek a hierarchią łamać, bo się one nieprędko dadzą przywrócić.

— Daleko łatwiej i szybciej niż sądzicie — zawołał Zebrzydowski — ustaną przyczyny, skutek zniknie.

Przypomnijcie nieboszczyka, jakim on był za Batorego, a jakim się stał za niemca? Tamtego podpierał, temu w drogę wchodził, bo i on te



tajemnice przeniewierstwa i zdrady znał, które mnie przekazał. A ja dziś ich nie głoszę dlatego, aby tej Rzeczypospolitej nie wywrócić i nie zamieszać.

— Cóż za straszne groźby! — rzekł rotmistrz.

Wojewoda zapatrzył się w papiery.

— Straszne — powtórzył.

— A zwierzyć tej tajemnicy, panie wojewodo, nikomu nie możecie? — spytał Bajbuza.

Dumnie i szorstko, jak gdyby Bajbuzie chciał dać do zrozumienia: — Przynajmniej nie wam! — odparł Zebrzydowski.

— Nikomu!

Rotmistrz nie zważając na wyzywające szyderskie wejrzenia Ponętowskiego, odezwał się po chwili.

— W trudne położenie wprawiacie, miłoścu wasza tych, którzy jak ja, życiem i mieniem chcą służyć Rzeczypospolitej, ale jasno by widzieć radzi dokąd idą i jak daleko zajść mogą.

Szybko przerwał mu obrażony już Zebrzydowski.

— Więc na was rachować niemożna?

— Dopóki mi sumienie dopuszcza — rzekł spokojnie Bajbuza. — Całe życie moje dobijałem się do tego, abym rozumiał co czynię, a ślepo nie kroczył. Dopóki przekonaniu mojemu gwałt się nie dzieje...

— A gdy wam się nie zda — przerwał sztydersko Ponętowski — gotowicie z pola bitwy ustąpić?

Bajbuza ostro mu popatrzył w oczy. Nie odpowiedział nic.

— I zmienić z dnia na dzień chorągiew nieby was nie kosztowało? — dodał Ponętowski — a rycerska cześć?

Wstrzymywał się rotmistrz od wybuchu.

— Posłuchajcie — rzekł z góry poglądając na warchoła. — Gdybyście w podróży spotkali nieznanego człowieka i obcowali z nim, a towarzyszyli mu, zaś wśród niej ukazanoby go wam jako zbójcę i łotra, nie porzucilibyście go?

Zmieszał się nieco Ponętowski, nie wiedząc co odpowiedzieć na razie, a wojewoda zwracając do niego, jakby argumentu nie słyszał, wykrzyknął.

— Większość ich taka jest. Dziś idą z tobą, ale jutro wiatr inny zawieje, na wierność rachować nie można.

— Gdyby rzeczy jasno stały — przerwał Bajbuza — ale w ciemnościach kroczyć...

— Szliście przecież nieraz z Zamojskim nie pytając go! — odparł Zebrzydowski.

— Przebacie, panie wojewodo — począł rotmistrz — wiedzieliśmy zawsze dokąd szedł, czasem droga tylko, jaką nas prowadził, nie była jasną. Byliśmy pewni, że do wojny domowej nie

zaciągnie, że u króla o nasze prawa się upomni, ale go poniżyć i dostojęństwa jego nie da spowiewierać.

— O! regalista! — zamruczał Ponętowski. — Cóż to wam tak chodzi o ten majestat pański?

— Bo ja w nim widzę rzeczypospolitej *majestatem* — rzekł Bajbuza. — Nie poszanujemy króla, jutro tak samo senatorów, bo tego już posłowie przykład dają. A dalej co? żołnierz wodza słuchać nie będzie, no i chłopstwo pójdzie na ichmościów. Przykład z góry!

Wojewoda rzucił się gniewny.

— Nauki nam dawać myślicie? — odparł z dumą.

— Nie — ja sam się od miłości waszej nauczyć chcę, co o tem trzymacie, a spowiadam się z tego, co mam na sercu — rzekł Bajbuza.

— Nièpora się wam tłumaczyć — popędliwie przerwał Zebrzydowski — nikt was nie zmusza iść, gdzie nie ma woli i łaski, ale... pamiętajcie, kto nie z nami, ten przeciwko nam.

Ponętowski uśmiechał się, od stóp do głów mierzając oczyma gniewnemi Bajbuzę. Stali chwilę milczący. Rotmistrz zwolna czapkę zdjął z rękofęści szabli, na której wisiała, zabierał się odchodzić.

— Mojej ubogiej rady nie potrzebujecie — odezwał się w końcu — lecz wielu ze mną jest tego przekonania, żeby nim się do ostateczności,

to jest do ogłoszenia rokoszu dojdzie, wyczerpać wszelkie porozumienia sposoby. Król skłonnym jest...

— Do czego? do oszukania nas? — krzyknął Ponętowski — albo paktów nie poprzysiągł, albo Esthonii nie obiecał? Zamki miał budować? cośmy zażądali przyrzekł, a co z tego? I teraz nas uwiedzie, okłamie, a gdy się rozejdziemy, on na swoim postawi i sprzeda nas jak barany na rzeź rakuzkiemu!

Wojewoda potakiwał słuchając.

Bajbuza jeszcze raz się zwrócił ku niemu.

— Więc choćby do domowej wojny przyszło? — zapytał.

— Nie może do niej przyjść — przerwał wojewoda. — Gdybyśmy już na placu stali przeciwko sobie, nie pójdzie brat na brata. Króla porzucą z jego Niemcami samego!

— Na placu żołnierz wodza słuchać musi — odezwał się rotmistrz — na to rachować nie godzi się.

Wtem Ponętowski nie dając dalej ciągnąć Bajbuzie, wołać począł.

— Po co to wywodzić tak subtelnie? Jesteście w duchu regalista, spodziewacie się może starostwa lub innej łaski? Nas nie nawrócicie.

Zarumienił się Bajbuza i niecierpliwie dłonią po szabli uderzył aż zadźwięczała.

— Nigdy regalistą nie byłem, na dworze nigdy nie gościłem, królom jeno zdala widział, o żadną łaskę nigdy się nie starałem, bo jej nie potrzebuję. Chleba z łaski Bożej mam dosyć, i z drugimi go jeszcze dzielić mogę, ale do wojny z bracią i do wywrotu wszelkiego ładu, którego u nas niema nadto, nie chcę pomagać.

Szydersko się począł śmiać Ponętowski.

— Bez urazy, mości rotmistrzu — zawołał — cóż to za wielka ta pomoc wasza i jakie ona znaczenie mieć może?

— Ja też jej nie przeceniam — rzekł Bajbuza. — Postawić mogę stu kopijników i moim sumptem ich utrzymywać, ale moich stu za drugich trzechset nie dam. O kilka tysięcy złotych dla rzeczypospolitej mi nietrudno, bo jej do ostatniej koszuli oddać gotówem wszystko. Małe to są i drobne ofiary, ale każdy z nas, wedle przemożności.

To mówiąc i już nie patrząc na zmieszanego nieco Ponętowskiego, dorzucił na pożegnanie.

— Przebaczyć proszę, panie wojewodo, żem się mu narzucił objaśnienia żądając. Człowiek musi wiedzieć dokąd idzie.

— No i cóż myślicie teraz? — zapytał Zebrzydowski, któremu kopijników żal było utracić i wpływu, jaki rotmistrz na rycerstwo wywierał.

— Pozostanę w expektatywie tego, co się wyjaśnić musi — rzekł Bajbuza. — Dopóki można i ja i ci, co jak ja trzymają, wojnie domowej zapobiegać będziemy.

Ponętowski tyłem się zwrócił do rotmistrza, jak gdyby już z nim nawet mówić nie chciał. Wojewoda także w papierach grzebać począł, dając mu poznać, iż rad się zbyć.

Bajbuza lekkim pokłonem pożegnał go i krokiem wolnym postąpił ku drzwiom, a zaledwie się za nim zamknęły, gdy Ponętowski zakrzyknął.

— Oto ich macie, tych mędrków, których ja się więcej niż jawnych nieprzyjaciół obawiam. Będą przy nas i oboziech naszych wisieć, aż jeduego dnia pójdą precz do szeregów królewskich. Żadna z nimi rachuba niepewna, ale z nim jak bez niego! — lekceważąco dodał.

— Mylisz się — przerwał wojewoda. — Bajbuzy kopijnicy jakich drugich poszukać, a i on sam nie bez wpływu, człowiek możny, bez rodziny, a niczem go nie ująć, bo ani grosza nie żądny, ni tytułu!

Rotmistrz od wojewody wprost do starego znajomego i towarzysza Urowieckiego poszedł na pożegnanie. Ten oczekiwał na niego.

— A co? — spytał.

— Nie rozumiem pana wojewody — rzekł Bajbuza. — Mówi, iż wielką tajemnicę zanadrå trzyma, a nam jej zwierzyć nie chce. Do wojny

domowej i do wypowiedzenia królowi posłuszeństwa idzie wprost, a ja z nim tak daleko nie posunę się, ale jeszcześmy nie w rokoszu, zobaczymy co się w Lublinie okaże i wywiąże.

— Do Lublina więc? — spytał Urowiecki.

— Muszę — mówił Bajbuza. — Długom się ważył i namyślał. Na ślepo iść z nikim nie mogę. Zobaczę co pocznie Żółkiewski.

— Ten z nami — wtrącił Urowiecki.

— Do czasu! zobaczycie! — odezwał się Bajbuza. — Znam go, mówiłem z nim, czytam mu z twarzy, iż niepewien jeszcze. Nawykł do karności jako wódz; gdy się wszystko rozstroi i rozprzęże, on stanie po tej stronie, gdzie ład i posłuszeństwo zobaczy.

W kilku słowach potem pożegnawszy Urowieckiego, Bajbuza wrócił do gospody i kazał w podróż się do Lublina gotować.

Po namysłach i walkach z samym sobą, Bajbuza w końcu postanowił czekać i patrzeć jak się obróca sprawy rokoszowe, a stanąć tam, gdzie mu sumienie każe. Z małym więc pocztem posunął się do Lublina, a hajduka z listem do Szczypiora wyprawił. „Przyjacielu mój, pisał do niego. Jeżeli się nie mylę, zbiera się na srogie zawichrzenie, a bodaj na Kaimowski bój. Rośnie zjadłość przeciwko królowi, a im on powolniejszym się okazuje, tem pan wojewoda wymaga więcej i zarzuca cięższe winy.

„Ja w tych dla ojezyny konjunkturach bolesnych, nie mogę pozostać bezczynnym widzem. Pocóżbym się na świecie przydał? Na wszelki przypadek musisz mi moich stu kopijników ściągnąć nanowo i albo ich pogotowiu mieć, lub mi ich słać. Klucz ci posyłam, aby grosza nie zabrakło, ani go żałuj, a co ja z nim lepszego do uczynienia mam? Dała mi go ta miła ojezyna nasza, dla niej też służyć ma, gdy jej zagraża niebezpieczeństwo. Kilka tysięcy złotych mnie też tu potrzeba, bo nierychło powrócę, ani się ta zawierucha skończy.

„Wziąłbym cię do siebie, Szczypiorze mój, bo mi bez tej prawej ręki bardzo źle, ale co pocnie Spytkowa, gdy ty tam na straży nie będziesz? Łotr, co się jej mężem zowie, czyha na to, aby ją obedrzeć, a na mnie się pomścić, iż niewinnej bronię niewiasty. O siebie się nie lękam, bom świadom z kim mam do czynienia, ale o jejmość bardzo. Jeżeli znajdziesz kogo, coby tam ciebie zastąpił na straży, przybywaj.

„Kopijników, choć dziś mi jeszcze nie potrzeba, a no kto wie kiedy to jutro naskoczy gdy się oni przydadzą? Trzymać ich będę, choćby mnie zjeść mieli.

„Jak długo się ta burza przeciągnie, ani ja, ani nikt nie odgadnie. Zależy to i od króla JMei i od tych, co królikami być chcą, i od niezbadanej woli Bożej.



„Zważ wszystko, kończył to pisanie Bajbuza, z ufnością się na ciebie zdaję. Spytkowej zaś, choćby się ona bezpieczną sama czuła, nie zdawaj na łaskę Bożą, bobyś sobie miał do wyrzucenia, gdyby, uchowaj Boże, najmniejsza ją przygoda dotknąć miała. Czasy to są wielkiej turbulencyi i zamieszania, łatwo złemu człowiekowi z nich korzystać.

„Znasz mnie i wiesz, że ja na świecie nikogo nie mam droższego mi nad tę niewiastę. Czuwać nad nią muszę dla mojego sumienia, dla serca i przez miłosierdzie, bo tak jak ona dla mnie jedna na świecie, tak ona za opiekuna, sierota, mnie tylko ma.

„Słowo jeszcze, mój miły Szczypiorze. Tyś zwykł się w wydatkach na grosz oglądać, ja go też dla siebie nierad wyrzucam, ale tam gdzie potrzeba, nie żałuję. Nie żałujże i ty, ani w sprawie bezpieczeństwa Spytkowej, ani na kopijników. Muszą być tacy, abym się ich nie powstydział.

„*De publicis* ci nie nie piszę, bo papier zdrajca, a ja jeszcze nie widzę jasno jak się wszystko obróci. Znasz mnie, żem regalistą nie był, a dziś często zachciewa się niemca tego bronić. Co uczyni hetman, nie odgaduję. Ja z placu już nie zejdem, dopóki się zamieszka ta nie skończy. Leszczakowskiej powiedz niech się modli za nas,

a i ks. Rabskiemu na intencją „pokoju między panami chrześcijańskimi“ poleć modlitwy.

„Damascenńskich szabli ile tam zapasu jest, przywieź z sobą, zdadzą się. Kopijnikom skóry aby na barki mieli, każ ormlanom sprowadzić...”

W tym podnieconym stanie ducha, z Zamościa wprost się udał rotmistrz do Lublina, dokąd zjazd został zwołany, z mocnem postanowieniem asystowania wszelkim obradom tych, którzy już jako rokoszanie występowali i podzielenia losu a czynnego służenia w tym obozie, który, wedle niego, mieć będzie słuszość za sobą.

Tak samo jak on w tym terminie, bardzo wielu rozstrzygnąć nie umiało, po czyjej ona była stronie. Słuchając wywodów tych, co przy królu stali, wydawać się mogło, iż przeciwnicy jego, dla prywaty samej wiehrzyli. Jednemu krzesła, drugiemu starostwa, innemu buławy lub laski odmówiono. Zehrzydowski ostatecznie, oprócz gospody i starostwo grodzkie miał na sercu.

Wszedłszy zaś w to koło, w którym głos zabierali Smogulecki, Herbut, Ponętowski, Pękoślawski i sam pan wojewoda, można było mnićmać, że naród oszukiwany, łudzony, o słusne prawa swe się upominał.

Burzył się czasu sejmów nieboszczyk Stefan Batory, gdy mu Kazimirski zuchwale przycinał, ale czemu to było w porównaniu do tych głosów niepocziwych, łączących, jakie się pod Stę-

życą, pod Sandomierzem, w Proszowicach słyszeć dawały, w których król wyśmiany, poniżony, odarty z majestatu, jak obwiniony na ławie przed sądem występował.

Stawiono go pod Piłatem (pręgierzem) na pośmiewisko wszystkim.

W Lublinie od pierwszego dnia zasypano ciekawego Bajbuzę paskwilusami przeciwko Zygmuntowi, wierszem i prozą, w kształcie rozmów ziemian i najgrubszych napaści.

Chodziły one przepisywane z rąk do rąk, bo się ich jeszcze drukować nie ośmielono. Oprócz tego sprzedawali pisarkowie po kancelaryach opisy rokoshu pod Glinianami, a cechowi czeladnicy malarsey rozmaite rysunki, na których poznać było łatwo, po szwedzkiej bródce i koronie, po Snopku, Zygmunta w różnych postaciach, śmiech i pogardę obudzić mogących.

Zjazd do Lublina już się liczny być obicywał, a naprzód stawili się przewodzcy, którzy nim pokierować się spodziewali.

Szlachta tak długo już przeciwko królowi jęczona, cała niemal była przeciwko niemu, lecz wielu poważniejszych i dalej widzących ludzi, samą gwałtownością i przesadą napaści tych zrażonych, poczynąło się od warchołów tych odwracać.

Miasto i przedmieścia a okolice się już roiły szlachtą, gdy Bajbuza nadjechał, a chcąc

być dobrze o wszystkim oświadczonym, na Winiarach dwór najał obszerny, z którego ustąpił gospodarz, i zajął go dla siebie, a dla gości szeroko otwierając wrota.

Rozumie się, iż przez cały dzień, a często późno w noc stoły musiały ciepłym i zimnym być zastawione, a dzbany ponalewane, aby jadła i napoju nie brakło nigdy.

W ten sposób rotmistrz nie wychodząc prawie z dworku, wiedział wszystko co się w kole i na mieście działo i zapowiadało.

Przy pilniejszych zaś sprawach na koń siadał i do koła sam jechał.

Zaraz po przybyciu Bajbuzy, z okazałością wielką, z orszakiem ogromnym, dworem i wojskiem, nadciągnął kasztelan krakowski książę Ostrogski.

Wrzekomo stawiał się na zawołanie Zebrzydowskiego i tak jakby z nim trzymał, ale mu wiary nie dawano.

Rozpowiadano, iż jak z jednej strony o tem co się działo na dworze mówił wojewodzie, tak z drugiej potajemnie z Lublina listy do króla wyprowadzał, donosząc o tem, co się tu knuło.

Lecz potęga to była zbyt wielka, aby z nim porywczo zrywać się ważono. Postrzedz tylko łatwo było, iż mu niespełna wiarę dawano, bo jak skoro w kole stanał, milkli wszyscy, ogła-

dali się na siebie i mowy się stawały umiarkowańszemi.

Nie cisnęła się też tak bardzo szlacbta do stołów i namiotów księcia, choć ją tam marszałek dworu jego zapraszał i ściagał. Sam Zebrzydowski szanując pozornie i okazując życzliwym, ostrożność zalecał, a w poufalszem kole otwarcie głosił, że mu wiary nie dawał.

Około księcia rus się gromadziła, wschodniego obrządku ludzie, oprócz tego dyssydentów tłumi się zbiegły swoją tu sprawę popierać, i wszyscy przewodzcy ich się stawili.

Oni też tu najczynniej się krzątali, przeciwko królowi i nieprzyjaciołom swym głównym Jezuitom w niebogłosy wykrzykując.

Już zjazd był bardzo liczny i obrady rozpoczęte, gdy naostatek oczekiwany hetman Żółkiewski nadjechał. Ale poprzedziła go tu wiadomość, iż od króla wprzódzy wezwany, do Warszawy jeździł, z nim się widział i jakoby więcej ku niemu już się miał skłaniać.

Tymczasem Zebrzydowski sam nie występując na wodza i kierownika, zręcznie na marszałka koła zalecać począł księcia Janusza Radziwiłła, znając pychę jego i możność, bo w razie potrzeby książę głosił, iż bodaj dziesięć tysięcy albo i więcej przeciwko regalistom gotów był swoim kosztem postawić.

Zrazu się Radziwiłł wymawiał od laski, młodością składając, lecz widać było, iż ją przyjmie z ochotą i wdzięcznością, kilka tylko dni na ceremonialnych targach upłynęło.

Ponieważ trybunał najwyższy zasiadał w Lublinie, Zebrzydowski powagą deputatów jego chcąc rokosz wesprzeć, zawezwał ich, aby w nim udział wzięli; lecz tu opór uapotkał. Odpowiedzieli mu, iż obowiązkom sędziów zadość uczynić muszą, a dwom bogom naraz służyć nie mogą. Koło zaś trybunału rozwiązać nie ma prawa.

Ponieważ zaraz w początkach nalegać poczęto na Zebrzydowskiego, a Bajbuza do tego szlachtę popychał, aby owe wielkie a straszne tajemnice, które zanadto nosił, chciał naostatek objawić, choć naciskany mocno, zbył ni tem ni owem, nie powiedziawszy nic. Zostały więc *arcana* w zawieszeniu, ale szlachta już niedowierzająco się o nieb i szydersko odzywać zaczęła.

Dały się nawet w kole słyszeć głosy.

— Kto i jakim prawem nas tu zwołał? po co? Z tego co słyszymy, celu nie widzimy jasno.

Na to marszałek Radziwiłł przez Zebrzydowskiego nauczony odparł, że sejm został zamknięty siłą, aby szlachcie usta zawrzeć, więc choć tu ona swe grawamina wypowiedzieć może.

Radziwiłł jako młody i nicopatrny, idąc torem Zebrzydowskiego, a chcąc się dalej niż on

posunąć, gwałtownie i grubiańsko przeciwko królowi wystąpił.

— „Upominano króla — wołał — mileżał. Poprawił się potem? A! tak, poprawi się, ale na głowy wasze! Powiedzcie, co on przez te lat osiemnaście panowania uczynił dobrego? co potomności godnego? co godnego króla? Nauczcie mnie, jakie były jego sprawy i postęпки?

„Jest tu który z zauszników jego i pochlebców, niech wyjdzie i powie, jakie są jego zabawy?

„Naprzód grać w piłkę, alchemią robić, piece wymyślać, mieszkać w seraju i tam syna młodszego ćwiczyć i niegodnie wychowywać, żyć w sodomskim grzechu, pojawiający siostrę własnej swej żony. Teraz po tym sejmie w pierwszą niedzielę słyszałem na kazaniu te słowa księdza Skargi: Król kiedy gra w karty, nie jest królem, ale wtenczas tylko gdy siedząc na majestacie, poważne rzeczy odprawuje. A ja zapytałem, albo król grywa w karty? I odpowiedzieli mi komornicy jego: grywa skoro wstanie od stołu. Otóż macie wszystkie walne sprawy stanu królewskiego.

„Nie wiecie jakim on fortelem wyprowadził żołnierza z Inflant, powiadając, że dopiero na sejmie pieniądze wziąć mieli, ale cnotliwi żołnierze, widząc że ich przeciw rzeczypospolitej ścia-

gają, opowiedzieli się przy nas. A czyż go to poprawi?

„Prosili go i na tym sejmie, aby według prawa rozdawał urzędy; nie mogli i tego uprosić. Cóż nam po prawach, gdy on ich nie szanuje.

„Niech więc kto jak chce czyni, ja się z tem oświadczam, że ja króla Zygmunta za pana nie mam, i poddaństwo mu wypowiadam.

„Nie mam go za pana, bo mi prawo mieć nie każe. Możesz to serce szlacheckie przenieść na siebie, aby nam krzywoprzysięzca i Sodomczyk panował? A to nas wszystkich szlachciców ziemia pożre! Wiedzą i to wszyscy, jak mi teraz dawał chleba w gębę i mnie i wszystkiemu domowi Stadnickich? A na sejmikach nie maszże praktyk? Wiedzą tam pierwszej kto posłem ma być, nim go obiorą; na sejmie ma król marszałka, wyżenie ludzi dobrych, a pochlebcy zostaną. Praktykuje on o Inflanty, pruską ziemię sprzedaje. Powiadają, że poprawa potrzebna; jakoż wkrótce nastąpi za ogłoszeniem elekcji. Nie jesteśmy poddanymi, ale wolnym narodem. Zdanie moje jest, abyśmy się spisali, pieczęcie nasze przyłożyli i tak kupą jechali do niego, opowiedzieli mu poddaństwo, a na nową elekcję uniwersały rozpisali“.

Młodość Radziwiłła, który się od laski wymawiał, w tym głosie nieopatrzny najdobitniej



się wyraziła, bo nawet najzapaleńszych, krom Stadnickiego i Herburta, gwałtowność tej napaści, łajania te, krzywoprzysięzcy i Sodomeczyka przezwiska, razić musiały i oburzać.

Zuchwalstwo przechodziło miarę wszelką. Milczenie głucho naprzód, potem szmer powstał złowrogi, wreszcie się niektórzy ostentacyjnie z koła oddalać i opuszczać je zaczęli.

Jawnie to zaraz uczynił hetman Żółkiewski, a Bajbuza, który oczy miał na niego zwrócone, o mało nie klasnął w dłonie.

Hetman odchodził, więc i on tu już nic do czynienia nie miał. Ciężar mu spadał z ramion. Chciał tylko przekonać się, azali hetmana nie potrafią powstrzymać, a potem iść i oświadczyć, że mu z chorągwią swą stanie do boku.

Pomiędzy najbardziej rozbijałą szlachtą powtarzano przydomek Sodomeczyka, krzywoprzysięzcy i spoglądano sobie w oczy? Na żadnego z królów nigdy nikt nie śmiał rzucić tak obelżywych wyrazów, po których w istocie nie pozostawało już nic, tylko wypowiedzenie posłuszeństwa.

Zdawało się zuchwałemu młodzieńcowi, że te słowa uniosą, pociągną i wywołają przyzwolenie większości, za którąby onieśmielone reszty pójść musiały. Stało się inaczej. Milczenie naprzód zapanowało groźne, potem, choć nikt nie po-

wstał przeciwko, ale też żywa dusza nie objawiła zgody.

Wszyscy stali niemi, przybici, bo każdy rachował następstwa.

— Sodomczyk! — szeptano — Sodomczyk!

## II.

Jeszcze w kole mruczano, a następni mowcy układali się, kto po Radziwille wystąpi, bo ten pierwszy głos nie miała był trudnością, gdy hetman obejrzał się na swoich przyjaciół, ruszyli się wszyscy i w milczeniu, które więcej mówiło nad wszelką protestacyę, z powagą wychodzić poczęli.

W najdalszych szeregach przykład hetmana znajdował naśladowców. Zebrzydowski stał patrząc na to drżący, on i Radziwiłł mierzyli się oczyma. Niemożna było odgadnąć, czy rzecz była umówioną między nimi, czy książę dał się unieść niewczesnemu zapałowi, sądząc że za sobą pociągnie.

Tymczasem porażka była widoczną, a Żółkiewskiemu ją zawdzięczał Radziwiłł.

Wojewoda wysunął się naprzeciwko wycho-

dzącego hetmana, udawał podziw wielki i zafasowanie.

— Dałem — rzekł — Radziwiłłowi łaskę, ale mi tego żal, nieopatrny jest i nad językiem swym panować nie umie, ale młodości wiele wybaczyć trzeba.

— Niewszystko jednak, panie wojewodo — zawołał Żółkiewski oburzony — to nie mowa senatora, ale karczemne łajanie, którego szanujący się ludzie, co tego króla wybrali, słuchać nie mogą.

Ja przynajmniej wychodzę z koła i nie powrócę do niego, nie mam już tu co robić. Nie rada, nie zjazd, ale zwada uliczna się wszczyna, jaką ciurom obozowym tylko prowadzić przystało.

To mówiąc obejrzał się na swoich i na tych, którzy jak on zburzeni wychodzili z szeregów, skinął zaledwie głową wojewodzie i podanego sobie konia dosiadł.

Zebrzydowski chciał go wstrzymywać, ale czuł, żeby to było bezskutecznem.

Powrócił więc nazad do swoich, ale pomiędzy nimi znalazł ten sam niepokój, jaki jego ogarnął. Pocichu narzekano na Radziwiłła, a w oczy nikt mu nie śmiał czynić wymówek. On zaś pysznić się zdawał swojem zuchwalstwem.

Narówni prawnie z nim stanęli wyrzutami czynionemi królowi Stadnicki, wołający o kaptur,

Pękosławski, wręście Herburt, który wszystko złe zwał na Jezuitów, pozyskanych przez dwór rakuski. W jego mniemaniu oni byli wszystkiego złego przyczyną, oni koronę tę dla rakuszan targowali, i tak jak kupili. Zygmunt miał powrócić do Szwecyi.

Mniejsze to już zrobiło wrażenie, a że wieczer nadchodził, koło się rozpręgać zaczęło. Niccierpliwi, ponieważ już dosyć czasu upłynęło, naglili o ogłoszenie rokoszu.

Pierwszy raz, po odjeździe Żółkiewskiego, na wspomnienie rokoszu usłyszano Zebrzydowskiego głośno mu się sprzeciwiającego.

Ponętowski uszom nie wierzył. Stał naprzeciw niego, ręce rozstawił szeroko, oczy podniósł i tak w postawie zdumionej potrwawszy chwilę, odszedł nie mówiąc słowa.

Zaraz za hetmanem precz jadącym z koła podążył, nie czekając końca, niecierpliwy nasz Bajbuza. Dla niego usunięcie się Żółkiewskiego było hasłem, ale chciał z jego ust posłyszeć rozkaz.

Podążył więc tak, że niemal razem z pocztem otaczającym hetmana stanął na jego podwórze.

— Panie hetmanie — zawolał gorąco — ja z wami!

Żółkiewski dał mu znak tylko i wprowadził go do alkierza.

Tu Bajbuza powtórzył oświadczenie z tą ra-

dością, jaką mu dawało bezpieczeństwo, iż nareszcie znalazł drogę pewną.

— Panie hetmanie, ja z wami, ja i sto kopijników moich.

— Bóg zapłać — z uśmiechem poważnym rzekł Żółkiewski. — Kopijnikom a jeszcze więcej wam rad będę, ale nie opuszczajcie ani Lublina, ani koła. Chcę, abyście świadkami byli tego, co tu się dzieć będzie, bo waszym słowom zawierzyć mogę, gdy inni mi nieprawdę powiedzą, rzecz albo rozedmą, lub skurczą.

W tej chwili jeszcze was nie tak pilno potrzebuję, ordynans więc mój, pozostanie tu, dopóki się to burzliwe koło nie skończy. Natychmiast potem w Warszawie się łączcie ze mną. Po tem, co Radziwiłł wyzionął z siebie, już nie pozostało, tylko karków zuchwałych ugiać orężem. Przybywaj więc, ale doładźcie tu do ostatka.

Tak rozstali się, a Bajbuza pełen otuchy, wesół i rad, że się niepewność dręcząca go skończyła, pośpieszył do domu. Teraz już mu pilno było tylko Szczypiora z kopijnikami doczekać, bo czuł, że obrady w kole nie potrwają długo.

Nie uszło to bacznym oczom wielu, że się do Żółkiewskiego przyłączył, ale gdy go nazajutrz ujrano znowu miejsce swe zajmującego w kole, sądzili wszyscy, iż rozmyślił się i pozostał przy Zembrzdowskim. Ten prawie go był pewnym.

Dano jeszcze głosować we wtór Radziwiłłowi innym, aż nareście Stabrowski kasztelan parnawski, który do późnej nocy siedział u Zebrzydowskiego, powstał i w krótkich słowach ogłosił rokosz, a ktoby się z nim nie łączył, nieprzyjacielem ojczyzny miał być obwołany.

Na to powstał pan wojewoda krakowski z twarzą ułożoną, jakby go największy strach i ból ogarnął, i począł rokosz odradzać.

Słuchano go w rodzaju osłupienia, wiedzieli bowiem wszyscy, że on przecie sam pierwszy go żądał, do niego popychał, był stwórcą wszystkiego. Ale nie chciało się na wszelki przypadek brać na siebie odpowiedzialności. Przypomniał sobie Zamojskiego, szedł w jego ślady.

Komedia odegrana była doskonale.

Zebrzydowski ofiarował się sam na sejm jechać, stawać, w oczy królowi zarzuty czynić i dowodzić ich. Twierdził, że bez rokoszu się wszystko potrafi załatwić.

Zakrzyczano go natychmiast. Jego własni zausznicy, zmówieni do tego powstałi przeciwko niemu, zaczęto się domagać rokoszu, uznawano go niezbędnym.

— Rokosz, rokosz! — dawało się słyszeć ze wszech stron i garść krzyżących zagłuszyła mniej śmiałych.

Zebrzydowski jeszcze raz zaklinał, potem w ostatku — *Vox populi, vox Dei!* zdał się na opinię

i wolę ogółu. Poświadczał się jednak wszystkimi, że on od rokoszu odwodził i nie życzył go.

Obwołano rokosz na dzień 6 sierpnia między Sandomierzem i Pokrzywnicą; a królowi polecono dać znać poselstwem tylko, aby się sam, bez wojska, z senatorami stawiał przed ten trybunał stu tysięcy poburzonej szlachty i tłumaczył!

Pochlebiało to temu tłumowi w chodaczkach, w odartych opończach, na chudych konikach, że miał sądzić i wyrokować o królu! Pociągało to każdego, choćby o suchym kawalku chleba pod Sandomierz

Stabrowski, Ponętowski, Pękosławski, Herburt, Smogulecki przy rozstaniu z panami bracią powtarzali jej, że powinna wyjść jak na pospolite ruszenie, ktokolwiek konia dosiąść może. Ten tłum miał Zygmuntowi okazać potęgę narodu, którą pyszałki głosili jako największą na świecie. Dopiero tu szlachta miała okazać, co może miłość swobody.

Zanosiło się na burzę ogromną, na wylew taki, któremu żadna siła się oprzeć nie mogła. Naród cały miał stanąć pod Sandomierzem i spytać Zygmunta o rachunek z powierzonej mu władzy.

Nie dosłuchawszy już mów płomienistych Bajbuza do swego dworku pobiegł, a że Szczypiora nie było, jemu zaś do Warszawy pilno się chciało, wyprawił gońca, aby kopijnicy pośpieszali.



Tymczasem się trafiło tak, że gdy on jedną drogą wyjeżdżał po Szczypiora, on nieco bliższą stanął w Lublinie.

Bajbuza wybiegł przeciwko niemu oszalały.

— O toś mnie wybawił! — krzyknął — niech ludzie spoczywają, my chwili nie mamy do stracenia, ciągnąć musimy.

Na zapytanie: Dokąd? Bajbuza nie odpowiedział, dał mu znak i weszli do izby.

— Jużem o kopijników spokojny — zawołał powtórę ściskając Szczypiora — a Spytkowa?

— Na mnie się zdajcie — rzekł chorały — nie zostawiłem jej bez ochrony. Ani Rożkowi, ani Przygodzkiemu nie mogłem zlecić nadzoru, alem ludzi wybrał, a nad nimi postawiłem Korabiaka, którego znacie. Na wojnę dla krótszej nogi się nie zdał, ale w domu, choćby od Tataków, potrafi obronić.

— Dobryś wybór uczynił — rzekł rotmistrz — choć Korabiakby i przy obozie naszym nie był zbyteczny, ale my się bez niego obejdziemy.

Będą cię-li tu pytać ludzie, dokąd idziemy, mów, że niepewna rzecz, do kogo my się przyłączymy, tak aby sądzili, że z nimi idziemy, ale ja z wojewodą nie pójdę.

— A z kimże? — zapytał zdziwiony Szczypior — zwaście go sami spadkobiercą Zamojskiego?...

— Tak jest, lecz znalazł się bliższy — dodał

z uśmiechem Bajbuza. — Ten wojnę gotuje i nigdy z nim pokoju nie będzie. Króla błotem obrzucili. Ja go też nie kocham tak bardzo, ale królem jest! królem jest, a *omnis potestas a Deo*.

Szczypior spojrzał zdziwiony.

— I my króla może o rachunek spytamy — rzekł rotmistrz — ale go szkalować nie będziemy.

— Ale z kimże idziecie? — powtórzył Szczypior.

Na ucho rzucił mu Bajbuza.

— Z Żółkiewskim!

Szczypior jeszcze niedobrze rozumiał.

— Toż szwagrem jest Zebrzydowskiego? — zawołał.

— Ale tak go zna jak i ja, a wiązać się z nim nie będzie — dodał rotmistrz. — Widzisz więc, gdy go szwagier opuszcza, cóż za dziw, że ja nie pójdę z nim?

Zebrzydowskiemu się władzy chce, buławy, pieczęci, panowania nad królem, pierwszeństwa przed wszystkimi w tej Rzeczypospolitej.

Potrząsnął głową.

— Dość tego — dokończył. — Ludzie niech małoco spoczną i natychmiast do Warszawy! do Warszawy!

Zwrócił się znowu do chorążego.

— Cóż Spytkowa? mów ty mi o niej, niech troski rokoszowej zapomnę. Widziałeś ją?

— Pozdrowić was kazała — rzekł Szczypior.

pior — a nie wie biedne kobiecisko, ile wam winna, bo nie jest tego świadoma, że gdyby nie my i czuwanie nasze, jużby w rękach Spytka była, który ciągle na nią czatuje. Dwa razyśmy szpiegów jego łapali.

— A daż sobie Korabiak radę? — syknął rotmistrz.

— Lepiej może niż ja — mówił Szczypior — gardłem odpowiadam za niego.

Bajbuza westchnął.

— Z tym zbójem Spytkiem, co takie pocziwe imię nosi — rzekł — raz się nam rozprawić potrzeba tak, aby mu ochotę odjąć od dalszej imprezy.

— Chyba gdy mu oczy piaskiem przysypimy — zamruczał Szczypior.

— Płakać po nim nie będzie nikt — dorzucił rotmistrz — a tu los tak zdarzyć może, iż jeszcze w tej wojnie, gdy do niej przyjdzie, staniemy z nim w jednym szeregu!

Ręce załamał.

Wieczorem szlachty rozjeżdżającej się dużo zeszło na pożegnanie do gościnnego rotmistrza. Mogli więc najlepiej usposobienie jej wybadać.

Szli niektórzy posępni, znużeni już ciąglą wędrówką na zjazdy, na których nic nie uchwalono, prócz coraz nowych zgromadzeń. Niektórym króla było żal, inni go zrzucić zaraz chcieli, a byli tacy, którym Ponętowski wnówił, że elekcji no-

wej czynić nie było potrzeba, wprost tylko taką republikę fundować, aby ona się sama rządziła bez pana.

— Mieliśmy już tych elekcij chybionych dosyć, Henryk nam ucickł i srom uczynił, Stefan mordował jak chłopów, a Zygmunt sprzedaje. Wybierzemy nowego, g. rzej jeszcze będzie — wołał Ponętowski. — Piasta chcą, zerwie się równość szlachecka, a Piast nam może zalać za skórę gorzej niż obcy.

Takich mów szlachta się nasłuchawszy, z wielkiem znużeniem do domów powracała.

Byli i tacy, co mówili, że senatorowie się dla siebie starali o urzędy i ziemię, a szlachcie za to pokutować kazali... narzekano na prywatę.

Z tem wszystkiem żaden się nie zarzekał jechać pod Sandomierz, aby swego przywileju sądzenia króla nie stracić.

Bajbuza milczał nie wyjawiając zdania swego. Naparł go który, odpowiadał zimno.

— Jam żołnierz, nie statysta.

Drugiego dnia, choćby był rad pośpieszać do Warszawy Bajbuza, ludzie i konie wypoczynku potrzebowali. Zebrzydowski przysłał po niego na rozmowę.

Chociaż się rozstali bardzo zimno, wojewodzie stu doborowych kopijników żal stracić było.

Przyjął rotmistrza z senatorską powagą.

— Nie byłem ja za rokoszem — rzekł —

słyszeliście, ale trudno powstrzymać rozbolałych, oszalałych, pokrzywdzonych. Musiałem się poddać zdaniu powszechnemu.

Cóż wy czynicie z sobą? — dodał zwracając się do Bajbuzy.

— Stoję pod rozkazami pana hetmana Żółkiewskiego — rzekł rotmistrz — to uczynię, co mi on poleci.

Wojewoda się znarszczył.

— Myślałem, że będziecie ze mną, boć mi to po nieboszczyku należało.

— Dałem już słowo panu hetmanowi — odezwał się Bajbuza — a już ciż nie sędzę, aby Ichmość panowie tak blisko z sobą połączeni, nie razem być mieli.

Zebrzydowski nie odpowiedział na to.

— Ludzi dosyć mam — rzekł obojętnie po chwili — ale was, panie rotmistrzu, szacuję i przez tę miłość, jaką wam okazywał Zamojski, obchodzi mnie los wasz.

Skłonił się Bajbuza.

— Losu się ja żadnego nie dobijam — odezwał się — byłem rzeczypospolitej skutecznie służyć mógł.

Zebrzydowski zaczął potem na Radziwiłła narzekać, że mu sprawę swą gwałtownością zwichnął, ale go potrzeba było oszczędzać, bo siłę miał i na Litwie wpływ wielki. Doświadczyli obojga Chodkiewiczowie.

Spełzła tak rozmowa na niczem, a Bajbuza grzecznie lecz zimno pożegnawszy pana wojewodę, powrócił do dworku.

Nazajutrz dodnia, skwaru unikając oddział cały ku Warszawie wyruszył, a że tu niewiadomo, co go czekało, wysłał rotmistrz przodem, aby mieć pomieszczenie dla siebie i ludzi. Sam też powolniej ciągnących kopijników wyprzedził.

Przewidzieć mu łatwo było, że się teraz znajdzie w całkiem odmiennem położeniu i obozie, niżeli bywał dotąd.

Z Zamojskim stał przeciwko królowi, z Żółkiewskim musiał go bronić.

W sumieniu był spokojnym, ale się oglądał dziwiąc sam sobie, jak zaszedł na to nowe stanowisko.

— Rzeczypospolitej bronię nie króla — tłumaczył się sam przed sobą.

Wszystko to, czego się przez czas długi nasłuchał przeciwko Zygmuntowi, przypominało mu się i trudnem stawało do wytłumaczenia.

— Ale z kimże iść? — mówił zadumany — z Zebrzydowskim sumienie broni, Żółkiewski dał dowody, że rzeczpospolitą miłuje. Należała mu się buława wielka, nie dopominał o nią. Jeżeli on króla zmuszony bronić, cóż my?

Czasem pomyślawszy, że wśród regalistów się znajdzie, ramionami poruszał.

— Ktoby się tego był po mnie spodziewał? ja najmniej.

W Warszawie zastali poruszenie ogromne, król się w podróż wybierał. Dokąd?

Przejeżdżającym właśnie przez most wskazano statki u brzegów stojące, które ładowano pośpiesznie. Około zamku roiły się tłumy.

— Król do Torunia i Gdańska ciągnie! — powiadano.

Po co? — nie umiano odpowiedzieć.

Zaledwie z konia zsiadłszy posłał po Kalińskiego, ale go się nie doczekał do nocy. Tymczasem na mieście języka dostał, że w istocie król z piechotą cudzoziemską swą i strażą przyboczną miał iść w stronę Gdańska dla uśmierzenia jakiegoś niepokoju.

Gdy Kaliński spocony nadbiegł, już Bajbuza na łożu odpoczywał.

Nie byli tylko we trzech w izbie sami.

— Cóż? na Toruń i Gdańsk ciągniemy — zawołał do niego Bajbuza — bo i ja z wami. Z panem Żółkiewskim idę.

Kaliński ramionami ruszył.

— Na Gdańsk! na Toruń — zawołał. — Niechaj dla ludzi tymczasem i tak będzie, ale wam jutro hetman powie, że droga wypadnie inna.

Panom rokoszanom zda się, że króla JM. nastraszyli. Dobry pan długo cierpliwość miał, a no

zuchwalstwo skarcić trzeba. Jawnie się zbierają przeciwko panu swemu, maż on czekać?

Bajbuza się z łóżka zerwał.

— Tak jest? — zawołał. — Temci lepiej. Prędzej się to skończy, gdy zobaczą, że się ich nie lęka.

Oczy mu zaświeciły.

Kaliński, który już w ogniu tym od dni kilku był, drżał mówiąc, śmiał się, a ręce zacierał.

— No! i wyście przecież z nami! — zawołał — przyjdźcież na zamek, zobaczcie choć zbliżka króla, królowę, dzieci pańskie, dwór nasz. Wyście tylko zdaleka i mało co widzieli, a nasłuchaliście się potwarzy. Nie tak przecież źle u nas i ohydnie jak ludzie opowiadają.

Król, prawda, nie tak rycersko wygląda i nie tak się lubi wojną parać jak Stefan, ale na koni siedzie, gdy będzie potrzeba i kuli się nie ulęknie, jeżeli właśni poddani strzelać się ośmiela!

O! co za czasy! co za czasy! — dodał Kaliński — czegośmy to dożyli! Rzucają królowi takimi obelgami w oczy, żeby ich najlichszy mieszczanin nie ścierpiał, a nareście i wojnę mu wypowiadają.

— Wojny jeszcze nie wypowiedzieli — odezwał się Bajbuza — ale go pozywają jak winowajcę przed swój sąd! Dosyć i tego! Do tej pory król miał szafunek sprawiedliwości sam tylko, teraz kupy niesworne jego sądzić chcą!



— A wszystko to — wtracił popędliwie Kaliński — przez powolność królewską, która nadto długo czekała na opamiętanie. Przecież teraz skłonili króla, aby wystąpił przeciw jawnym rebelizantom. Żółkiewski z kwarecianemi, gwardye pańskie, piechota, a i ochotników wielu, gdy się razem zgromadzi, rokosz nie dotrzyma, choćby się zuchwale targnął do broni.

— Tylko znowu waszmość — przerwał Szczypior — i rokoszan sobie zbyt lekko nie ważcie. Sam Radziwiłł się na siedem tysięcy pisał, Zebrzydowski tyle drugie postawi, jeśli nie więcej, pościaga się drugich potroszę, tyle, że wojsko będzie znaczne.

— Na liczbę może to być — rzekł Kaliński — ale u nas żołnierz jest, co już w ogniu bywał i zna się z wojną, a z tamtej strony kupy zbojne. Takich lada kopijnicy popędzą.

— Lada kopijnicy! — podchwycił Bajbuza. — Z respektem, mosanie, o kopijnikach, bo i ja do nich należę.

Gwarzyli tak długo w noc. Nazajutrz zwało się jeszcze na miście ciągle, że król do Torunia się uda, a sposobiono się do podróży. Bajbuza się dał namówić na zamek, aby lepiej dworowi i życiu pańskiemu przypatrzeć, ale tu wszystko było tak zamknięte i od złośliwych oczu pookrywane, iż ledwie co widzieć mógł rotmistrz. Na zamku dziwnie cicho było i napozór niecludno, a co się

pokazywało, to miało pozór cudzoziemski, i w tem przeciwko królowi zarzut się wydawał słusznym, że się cudzoziemcami otaczał.

Nawet polacy króla otaczający po większej części się z hiszpańska, lub po włosku, modą europejską nosili, i poznać w nich polaków było trudno.

Wiadomo, że i król stroju tego zawsze używał, a dwór, komornicy i urzędnicy wszyscy prawie obco i cudzoziemsko wyglądali.

Od śmierci też starej królowej Anny Jagielonki, od zgonu pierwszej Anny rakuzkiej, żony króla, język polski i służbę potroszę z dworu rugowano, i za królowej młodszej Konstancyi, która polaków nie lubiła, niemcy przeważnie górę wzięli, a język ich niemal wyłącznie się słyszeć dawał.

Z drugą królową przybyła też ta zagadkowa towarzyszka jej, która wkrótce tak nadzwyczajne znaczenie i wpływ pozyskać miała, panna Urszula Meyerin. Arystokratycznej postaci, poważna, pięknego oblicza, rozumu wielkiego, na dworze rakuzkim wychowana i wyéwiczona, pobożna wielce i Jezuitom oddana, zajmowała i przy królowej i przy dzieciach stanowisko wyjątkowe. Wszyscy, nie wyłączając króla, byli dla niej z respektem nadzwyczajnym. Domyślano się w niej jakiejś krwi kropelki, która ją z domem cesarskim łączyła. Rzeczywiste jednak znaczenie

nadawał jej rozum, nauka i charakter. Radzono się jej we wszystkich sprawach, nawet kościoła i królestwa dotyczących, a tajemnic dla niej nie było żadnych. Wpływ jej na króla, z każdym dniem rosnący, był ogromny. Przez nią można było uzyskać wszystko, nic bez niej.

Małomówna, uprzejma, ując się niedająca lada pochlebstwem, pełna powagi, panna Urszula naówczas jeszcze i pięknemi acz zimnego wyrazu rysami twarzy się odznaczała.

Najznakomitszych rodzin synowie ubiegali się o rękę jej, ale ani o tem słuchać chciała.

Ulubieńcem jej, ale jako wychowaniec tylko, był młodziuchny syn pierwszej królowej Anny Władysław, którego prowadzeniem, choć się niby Prowancy-Władysławowski zajmował, ale panna Urszula miała nadzór nad nim zwierzchni.

Nie było na dworze nikogo, coby jej nie ulegał i nie słuchoał, królowa Konstancya, król, duchowienstwo, urzędnicy.

Rozkazywała tu niemal samowolnie. Trzeba też dołożyć, iż oprócz nadzwyczajnej dla Jezuitów powolności, nie jej zarzucić nie było można, żadnych frymarków, ani chciwości, ani nawet zbytnej chęci popisywania się z władzą swoją.

Prawie obok niej w łaskach pana stał Bobola podkomorzy koronny, dworak niezmiernie zręczny, osobiście królowi dogodny swą słuźbi-  
stością — i włochem przezywany, margrabia Mys-

kowski, marszałek koronny, o którym powiadano, że więcej u niego pies włoski niż dziesięciu polaków ważyło. Ci razem z królem po całych dniach się zamykali, dopomagając mu do alchemicznych doświadczeń, grając z nim w kręgle, w karty, przypatrując się jego próbom złotniczym, lub słuchając muzyki. Tej król był namiętnym niemal miłośnikiem, a śpiewaków i śpiewaczki kosztem wielkim z zagranicy sprowadzał; dopomagał mu w tem także swego czasu muzyków miłośnik Kostka. Słynęli naówczas do kapeli króla należący Claboni, Diomedes Kato (od Kostki na dwór wzięty), Ades śpiewak, Falvio, stary już bardzo Marcin Leopolda, znakomity sandomierzanin Tobiaszek, Szymon z Piątka i mnóstwo innych. Muzyka w kościele, na zamku i w pokoju samego pana, który grawał także, każdego się dnia słyszeć dawała, a niekiedy i w naumyślnie urządzonym teatrze.

Ci, co króla bliżej znali, wiedzieli, że tłumnych a gromadnych, wrzawliwych zabaw nie lubił, a przenosił nad nie ciche i w małym kółku popularnych ludzi. Rzadko bardzo jednego lub kilku duchownych nie znajdowało się na pokojach, po większej części Jezuitów, zakonu, który mu służył gorliwie, ale też sobie służyć kazał i korzystał z nieograniczonego wpływu swojego.

Wśród imion osób do tego zakonu należących a królowi najmiłszych, na których czele stał

O. Bernard, spotykamy i sławne ks. Piotra Skargi. Miał król dla niego i dla osoby i dla znakomitego wymowy daru szacunek największy, lecz O. Skarga nigdy wpływu szczególnego nie wywierał na króla, ani się starał o to.

Wiadomo, że zapytywany o łaski jakie u króla sobie wyrobił, przyznawał się do tego, że starem n woźnicy, który go przez lat trzydzieści powoził, kawałek chleba łaskawego wyprosił.

Tak było w istocie, na kazalnicy wszechmogący Skarga się nie męszał do spraw powszednich; posyłał go czasem król, jak do rokoszan do Stężycy, ale z małym skutkiem. Do takich robót, w których więcej przebiegłości było potrzeba i wyzyskiwania słabości ludzkich niż daru otwartego przekonywania, miał król innych w zakonie ludzi.

Na zamku, pomimo iż się wybierano na wojnę, Bajbuza weale nie postrzegł przemagającej rycerskiej ludności, a ta, która się ukazywała, była jakby w gościnie.

Uderzyło go to nieprzyjemnie też, o czem słyszał dawniej, że z pogardą obyczaju domowego, wszystko, szczególnie na dworze królowej, cudzoziemsko, niemiecko wyglądało i butnieносиło tę swą cechę obcą, niby wyższość jakąś nadającą.

Łatwo się domyśleć, że ci, co się przypodobać chcieli, strój przejmowali, język nałamywali,

i stosowali się do smaku królowej szczególnie, bo ta się nie taiła z odrazą ku wszystkiemu co polskie, i jej winien był syn Jan Kaźmierz swą nietajoną niechęć dla szlachty, z której się tu jawnie naśmiewać we zwyczaju było.

Włoch trefniś dworski Rialto, który łatwo przejmował i potem naśladował miny, chód, mowę krzykliwą, ruchy szlachty, tem sobie największe łaski pozyskał. Nie oszczędzał on nikogo i poczynając od chodaczkowych biedaków, tak dobrze przcdrzeźniał Ostrogskich i Radziwiłłów jak innych.

Bajbuzie na pierwsze wejrzenie się tu podobać nie mogło, w oczach dworaków czytał ich niechęć ku polakom, teraz jeszcze rokoszem podburzoną i nieznającą granic. Królowa chodziła gniewna, król posępny.

Gwałtowność jednak wystąpięń przeciwko Zygmuntowi takich jak Radziwiłła, bardzo wielu zwróciła z drogi rokoszu do króla.

Rotmistrz tego dnia widział się z hetmanem i odebrał od niego rozkazy, które jednak pozostały tajemnicą aż prawie do samej chwili wyjazdu z Warszawy.

Z panów senatorów naówczas niektórzy widząc, że na starcie i walkę się zanosi, słysząc, że pod Lublinem siła już rokoszan było, a pod Sandomierz większej jeszcze się liczby spodziewano, wahali się, czy mieli towarzyszyć królowi

na wojnę domową. Wymawiano się to zdrowiem, to nieprzygotowaniem.

Dostał tego zaszczytu nasz rotmistrz, iż ze swymi kopijnikami, razem ze strażą przyboczną króla, z nim miał ciągnąć

Dziwnem to się jemu, Szczypiorowi i ludziom zdawać musiało, bo dotąd nigdy tak blisko króla się nie znajdowali, a znaleźli się otoczonymi ludźmi, którzy na nich niemal jak na rokoszan spoglądali nienfnie.

Chwila wyjazdu była uroczystą.

Czuł król i ci, co z nim szli, że krok, jaki uczynić mieli, ciągnął za sobą nieobrachowane następstwa. Było to wystąpienie przeciwko narodowi. Pozwany przed sąd, król odpowiadał biorąc za oręż w obronie dostojenstwa swojego.

Tłumaczyło go to, iż znaczna część narodu przy nim stając, zmuszała go niejako do objęcia dowództwa.

Spokojny ten pan, pierwszy raz we zbroi i hełmie mający dosiadc konia, płacząca z gniewu i obawy królowa, żegnające go dzieci, duchowni, dwór, który pozostawiał, składały się na obraz przejmujący i smutny. Wśród otaczających, którzy królowi towarzyszyli jak Żółkiewski i sędziwy Hieronim Gostomski wojewoda poznauński, nie widać było ożywienia, zapалу, ale smutek jakiś i zadumę.

Nie wątpił Żółkiewski, że rozprószy tych,

którzyby się ośmielili wystąpić czynnie przeciwko królowi, ale ostateczność wojny bratniej była boleśną.

Trafiało się, że wojujące z sobą rodziny, jak Stadnicki z Drohojewskimi, całe pulki stawili przeciw sobie, ale to były małe utarczki i waśnie, gdy tu zapowiadała się wojna krwawa i zjadła.

W milczeniu ponurem wyciągano z Warszawy i dopiero w tej chwili ostatniej gruchnęła już nietajona wieść, że wojsko ciągnie przeciwko rokoszanom.

Zebrzydowski wcale się tego nie spodziewał, rachował na poselstwa, układy, targi, zwłoki, ale nigdy na tak energiczne wyciągnięcie w pole, które przypisał Żółkiewskiemu. W istocie jego ono było dziełem.

Po ogłoszeniu rokoszu nie zostawało nic tylko za oręż pochwycić i zapobiedz wojnie, okazując gotowość do niej.

Miał jeszcze pięciuset ludzi swoich w Krakowie wojewoda, gdy go doszła wiadomość, że król z Żółkiewskim ciągnie wprost na Kraków.

Tu zaś nsposobienie umysłów nie było wątpliwem. Lubomirscy, Tęczyńscy, Myszkowscy, Potoccy głośno się oświadczały z królem iść.

Obawiając się swych żołnierzy tu stracić, Zebrzydowski pośpieszył z wyprowadzeniem ich ze stolicy.

Już w drodze dowiedział się o tem król przez



Stefana Potockiego starostę felińskiego, który ze znacznym oddziałem wyszedł na jego spotkanie i połączył się z siłami, jakie król prowadził z sobą.

Rokoszanów część z Zebrzydowskim stała pod Wiślicą.

Wojewoda krakowski conąć się już nie mogąc, nie tylko nie złagodniał, lecz idąc za własnym popędem, postanowił z największą gwałtownością nastać na pozew królowi wydany. Był przekonany, że Zygmunt wojny domowej się ulęknie.

Cała ta podróż z Warszawy do Krakowa dla Bajbuzy była nowością i nauką, gdyż otoczonym się widział ludźmi, z którymi dotąd żadne go nie łączyły stosunki. Oprócz pułków kwarcianych hetmana, ci, których król prowadził z sobą, dowódców mieli cudzoziemców, znaczniejszą część pod chorągwiami szlązaków, morawian, Niemców, którzy się od Polaków odstrychali.

Spoglądano na siebie nieufnie, na obozowiskach wybierano sobie miejsca jak najdalsze, codzien zachodziły waśni krwawe i zatargi u lada wodo-  
poju i pastwiska. Ani z jednej, ni z drugiej strony w ciągnięciu śpiew się wesoły nie odezwał. Polskie tylko pułki zrana wychodziły z Bogardzicą, której stary obyczaj wojskowy odżywił Nowodworski drukując ją dla żołnierzy. Brzmiała ona jak modlitwa i śpiewano ją ze skupieniem ducha jak w kościele. Gdy ona raz przebrzmiała,

wlokły się regimenta mileząco, ponuro, a Bajbuza w małej gromadce swoich osobno szedł, więcej się przypatrując drugim, niż zbliżając do nich.

U boku tylko hetmana miał dawnych znajomych, którzy go z jednej strony znali jako odważnego i doskonałego dowódcę, z drugiej, o czym nawet głośniej było, jako nieco postrzelonego człowieka, który prawdy szukał, z sumieniem miał nieustannie do czynienia, surowy obyczaj zachowywał jak mnich, a dla Rzeczypospolitej swej krew i mienie gotów był poświęcić.

— A! Bajbuza! Bajbuza! — powtarzano z przekąsem. — Rotmistrz, co z kopijnikami na własnym koszczie staje, gdzie tylko o wojnie zaśłyszysz i o żołd się nigdy nie upomina, do żadnego związku naszego nie chce należeć, a w głowie ma pstro!

— Pstro! pstro! — mówili drudzy — a mimo to człowiek rozumny. Hetman Zamojski cenił go bardzo wysoko. Dziwak toć prawda, ale dobrze mu dziwaczyć, bo ma słyszę grosza dużo, a na siebie go nie wyda.

— He! Bajbuza! — wyśmiewali się inni, nazwisko dziwnie brzmiące wyszydając. — Powinien sobie za kapelana wziąć księdza Kapustę, a za chorążego Baudurę.

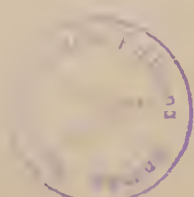
— Chorążym u niego Szczypior — poprawiał ktoś z boku — a chorągiew w takim ładzie i dostatku, jak żadna druga. Dla ludzi ostry gdzie

o powinność chodzi, ale płaci dobrze i na żółd nie czekają, bo ze swego mieszka go daje.

Inni pocichu pomrukiwali o nim, o Spytkowej, o Spytku, bo po ludziach chodziło coś. Spoglądano na niego ciekawie. Czasem wieczorem się kto do namiotu zbliżył, a przyjęto każdego bratersko, ale spoufalić się z Bajbuzą było trudno, bo wiało od niego surowością jakąś niemal mniszą i rozmowa tłusta u jego sto'u nie szła, a rycerskim obyczajem u nas, zawsze się kończyło na podwice, choćby rozpoczęło od najpoważniejszej treści.

Bluznął kto przy nim wyrazem grubym, marszczył się i spluwał rotmistrz; nie pofolgował nikomu.

Więc choć go szanowano zdaleka, nikt tak bardzo spoufalać się nie miał ochoty.



### III.

Nieuawykłym był król Zygmunt do zbyt serdecznego od tłumów przyjęcia, do okrzyków i objawów miłości.

Spotykały go one bardzo rzadko, a i te mogły mu się nieszczerem wydawać, bo usłudni ludzie przynosili wszystko, co przeciwko niemu wymyślano.

Żadna z tych obelg, któremi rokoszanie szafowali, nie pozostała dla niego tajemnicą. Powtarzano je, aby w nim niechęć obudzić tem większą ku nim.

Może po raz pierwszy za tego panowania wjazd do Krakowa mógł serce jego poruszyć. Wyszło mieszczaństwo, wyjechali senatorowie, wysypało się ludu mnóstwo, a król we zbroi, na koniu, otoczony rycerstwem, obudził zapal.

Okrzyki żywe towarzyszyły mu.

Uroczystszym też był ten wjazd, niż się król spodziewał; znaczny zastęp wojska pięknego, jaki Zygmunt prowadził z sobą, zwiększył się przed Krakowem pocztami licznymi i okazałemi, które na powitanie wyciągnęły.

Wspaniale wystąpił Myszkowski marszałek koronny, królowi oddany cały, w ośmset ludzi doskonałej jazdy i piechoty w nową barwę przybranej. Wyglądała ona z cudzoziemska, bo nigdy w Polsce piechoty własnej nie było, a ta, którą Stefan Batory począł zaciągać, na wzór niemiecki się zbroiła i ubierała, ale króla to razić nie mogło, bo ten strój i zbroja były mu najmiłszymi.

Piękny oddział towarzyszył książęciu kościoła kardynałowi Maciejowskiemu, którego dwór też i duchowny orszak okazałości dodawał.

Stanisław Miński podkanclerzy, głuchy, ale bystry człek, ściągnął także chorągiew królowi w pomoc.

Sebastyan Lubomirski kasztelan wojnicki, Jan z Tęczyna, nie licząc pomniejszych oddziałów, które razem zebrane siłę nie do pogardzenia stanowiły.

Szpiegi Zebrzydowskiego z Wiślicy tu podeślane, niezbyt mnsiały miłem okiem na te tyśiące spoglądać, których policzyć było trudno.

Lecz zdawało się Zebrzydowskiemu, otoczonemu najzuchwalszymi z rokoszan, któremu Herburt, Stadnicki i Smogulecki wmawiali, iż ustę-

pować nie powinien bynajmniej, że zuchwalstwem nadrabiać było potrzebą i najlepszą rachubą.

Wmawiali sobie, iż to wystąpienie Zygmunta tylko na postrach było wymierzone, a nie dając się ustraszyć i występując jawnie, było najpewniej zapobiedz wojnie.

Postanowiono więc wyprawić ponownie do króla poselstwo z tym pozwem przed sąd, którego jeszcze formę zaostrzono. Smogulcecki wysilił się na to, aby królowi dać uczuć, że się go nie lękają. Więc po radziwiłłowsku sobie począł. Powoływał króla przed rokosz jak przed najwyższego sędziego, oskarżając o złe rządy rzeczpospolitej, o złamanie wiary, o gwałt praw i nadań odwiecznych, o powodowanie się złym do radzcom.

Przyniesiony pozew ten do Krakowa obudził oburzenie.

Myszkowski i wielu z nim chcieli, aby król gromem i groźbą odpowiedział rokoszanom. Woj-ska już stały gotowe do rozprawy, nie należało rebelizantów oszczędzać.

Za tą radą jednak król nie poszedł, chcąc wszelkie środki powolniejsze wyczerpać.

Żółkiewski zachował się neutralnie; głosowali inni, król się utrzymał przy swoim, odkładając jak był zwykły, dając czas do namysłu.

Odpowiedź króla była wymijającą, zdawał ją na senatorów i za ich radą pójść przyrzekał, na-

pominał o to, ażeby zuchwalstwem nie doprowadzono do ostateczności.

Gdy tu ważyły się zdania i przepowiednie, tymczasem rokosz się wysilał na to, aby okazać groźnym.

Miał zjazd lubelski prawo zwoływania rokoszu? — o to nie pytał nikt, ale po całym kraju szło, iż pod utratą czci i majątku wszyscy się stawić pod Sandomierz byli powinni.

Szlachty wiele ulękło się. Ci, co nie chcieli rokoszu, jechali z obawy, aby górę wzięwszy, nie mścił się na obojętnych.

Herbert wołał głośno, że neutralistowie gorsi są od jawnych nieprzyjaciół. Radzi więc nieradzi ścigali się pod Sandomierz.

W odpowiedzi na ten wjazd królewski do Krakowa, który był okazem niemałej siły stojącej przy Zygmuncie, pod Sandomierz prowadził sam Zebrzydowski osiem chorągwi piechoty, a sześć jazdy; książę Ostrogski kasztelan krakowski jedenaście chorągwi piechoty, szesnaście usarskich i działa polowe; Ligęza kasztelan czechowski w czterysta pieszych, półtorasta usarzów, sto kozaków, wiodł także działa z sobą. Stadnicki miał sześć chorągwi węgrows, osiem chorągwi usarzów, jedną kozacką, a dziesięć piechoty z nowymi długimi muszkietami.

Pola pod Sandomierzem zaległy ufce, jakich nigdy przeciwko nieprzyjacielowi tak nagroma-

dzonych nie widywano. Obozy pańskie, namioty, tabory, broń, zdawały się dla popisu umyślnie zebrane i wyzywały też króla, jakby mu chciały powiedzieć: Patrz, że się mierzyć z tobą mamy czem.

Na żądanie hetmana wyprawiony Szczypior, gdyż nie chciano wierzyć pogłoskom, powrócił wprzód nieonieśmielony, bo strachu nie znał, ale nie tając podziwienią swojego.

— Być może, iż tam wśród tego ludu — mówił — pozbieranego naprędce i po różnych kątach, lichoty i ciurów dla liczby zaciągnięto wiele, ale to wygląda bardzo wspaniale i jest ich ćma.

— Wiele tego może być? — pytał Bajbuza.

— Kat ich wie, ale z ciurami, czeladzią, dworakami, służbą, gdy na sto tysięcy głów ich policzę, nie skłamię. Mówią, że sześćdziesiąt tysięcy akt rokoszowy podpisało.

Bajbuza ramionami zżymnął.

— A ład tam jaki? — zapytał.

— Na początek jest go dosyć, bo i przepisy karności wytrębywano i wybębniano, i sądy doradne ustanowiono, ale przewidzieć łatwo, że się to rozluźni i rozprzęże.

Szczypior musiał iść do hetmana; ciągnano go od jednego do drugiego z panów senatorów, aby opowiadał.

Przybywali też inni z pod Sandomierza, mniej więcej jednakowo opisując co się tam działo.



Nie można było tego zataić przed królem, iż rokosz przybierał groźne rozmiary i wcale się nie miał ku rozprężeniu, które mu zapowiadano. Posępne stały się oblicza, oprócz hetmana, który, pod zarzutem że kwarcianych ściągał nieprawnie od granicy, wcale się nie myśląc z tego tłumaczyć, dodawał otuchy drugim.

— Zbierana drużyna — mówił krótko — a że ją w nowe sukno flamskie poubierano, świeci to... a no! nie wszystko żołnierz co przy szabli chodzi; ja moich jestem pewnym, że darmo jej nie przypasali.

Senatorów, których miał u boku swego, zwołał król na radę.

Bajbuza tymczasem spoczywał i ludzi swoich opatrywał jeszcze lepiej, do czego mu się Kraków nadawał, bo tu i o oręż i o wszelki przybór i o płatnerzy łatwiej było.

Szczypior powróciwszy tak był dni półtora chwytanym i rozrywany, że się prawie z rotmistrzem na osobności rozmówić nie mógł. Jak go u Floryańskiej bramy pochwyceno, tak prowadzono aż do dworku, a potem już mu tchnąć nie dali. Dopiero drugiego dnia z południa, sam zostawszy z Bajbuzą, odezwał się.

— A to dla nas zaprawdę miła rzecz, że z panem Spytkiem w jednym przyjdzie szeregu stać.

— Gdzie?

— A no! gdy wyciągniemy w pole.

— A tyś go gdzie namacał?

— Widziałem go w kilkanaście głów przy Lubomirskim.

Rotmistrz wesa zakąsił.

— Niech sobie będzie kędy chce — rzekł po namyśle — ja tyłkom rad wiedzieć gdzie stoi, abym w tamtą stronę nie patrzył.

Udawał rotmistrz, że mu z tem było jak bez tego, ale sam do siebie mówił.

— Otóm wlaż! Przy pierwszym spotkaniu trzeba mu łeb rozwalić i zadać w oczy infamię. Co z tego będzie? Przecież on to powinien rozumieć i mnie unikać.

Zatem spytał Szczypiora nieco później.

— A wie Spytek, że my tu jesteśmy?

— Mnie się zdaje — odpowiedział Szczypior — że taki gatunek człowieka musi wiedzieć co skórę jego obchodzi, a no, z nim przecie nie gadałem. Kat go wie!

— Gdzieżeś go widział? Bardzo się on tn snuje?

— Przy Lubomirskich wisi, a czasem przy Potockich — zamruczał Szczypior.

— My tam go nie pójdziemy szukać, a że on mnie w drogę nie wlezie, tak mi się zda, chyba by mu życie niemiłe było.

Tymczasem pobyt w Krakowie zbliżał się do końca. Senatorowie chcąc rozbić rokosz, zwołali

drugi taki zjazd do Wiślicy, tak że szlachty dużo zamiast pod Sandomierz ściągnęło się tutaj. Tu umysły były spokojniejsze, ale i na warchołach nie zbywało, bo ich Zebrzydowski nadsyłał.

Tak samo jak w Sandomierzu rokoszowi wojsko pościągane zewsząd dodawało powagi, do Wiślicy też posłano, naprzód hetmana z kwarcianami w jedenaście tysięcy ludzi i dwadzieścia cztery działa, a obok niego stauęli wierni królowi Potoccy, Jan starosta kamieniecki, Jakób i Stefan, którzy wszyscy kopijników samych prowadzili jak Bajbuza, tylko na setnie ich liczyli.

Niespodzianie więc dano znać wieczora rotmistrzowi, a nazajutrz rano już ciągnąć było potrzeba.

To go jednak najmniej obeszło, więcej daleko, iż mu się zdawało niekoniecznie dostojęństwu króla odpowiadającym, takich środków się chwycić jak Zebrzydowski, a poniekąd go naśladować.

Zamruczał pod nosem, że mu się to niedobrem widziało, ale Szczypiorowi rzekł.

— My tu nie panowie rada ale żołnierze, więc na postć runek.

Ten dla kopijników na pagóreczku wśród błota i moczarn znalazł się pod Wiślicą, bo kwarciani i Potockich pulki co lepsze miejsca sobie zabrali.

I tu więc szlachta noczynała się zjeżdżać, ale

tak różnej barwy, że w kole cogodzina się można było spodziewać, iż za czupryny się chwycą.

Szczęściem mitygował dobrze wybrany marszałek Hieronim Sieniawski cześnik koronny.

— Teraz — rzekł do Szczypiora Bajbuza, gdy już napół w błocie namioty i szalasy porozbijali — zobaczysz nową komedję, której takem pewny, jak żem żywy. Przyśle do nas Zebrzydowski, aby nam pod gardłem stawić się kazać i pod infamią do Sandomierza.

My do niego wyprawimy posłów, aby szli na sejm sprawę toczyć nie w takim kole rebelizantów.

Potem p. Zebrzydowski nas złaje, a my jego, a potem...

— A potem co? — zapytał Szczypior.

— Zobaczymy — dokończył widocznie zniechęcony Bajbuza.

Najgorsza i nieprzewidziana rzecz była, że w samej Wiślicy szlachta już z głową rokoszem nabitą, nie tylko króla znać nie chciała, ale i pp. senatorów gnała precz, słuchać ich nie myśląc.

Rzucano im w oczy, że szpiegami króla i jego zausznikami byli.

I tu i tam dnie upływały na wrzawie i rzucaaniu się do siebie wzajemnem.

Stadnicki tylko Djabeł, ze swą logiką djabelską, powtarzał: *delenda Carthago*. Czego czekać?

róbmy konkluzję rokoszu, kaptur ogłosić, nową elekcję...

Ciągnęło się nudnie w Wiślicy, gdy dnia jednego Bajbuza poszedł do namiotu Żółkiewskiego.

— Chciałem prosić miłości waszej — odezwał się — jam tu tak dalece niepotrzebny, kopijników moich zostawiam, pp. senatorowie znowu jadą do rokoszan, pozwólcie mi im towarzyszyć, niech zobaczę co się tam święci.

Hetman się rozśmiał.

— Abyście się nie dali nawrócić szwagrowi mojemu! — odparł.

— O to obawy niema — otworzyście rzekł Bajbuza. — Mnie i tu i tam nie wydają się roboty udatnemi, ale widzieć je... od tegom człowiek grzeszny!

Wziąwszy tylko dwóch z sobą najlepszych czeladzi, przyłączył się do orszaku senatorów Bajbuza, a że mu wojewoda ziem ruskich Goślicki znany był, z nim ruszył pod Sandomierz.

Tu żałował może iż pojechał, bo do widzenia nowego nie było nic, tylko trochę rozrosła Stężyca. Ci sami ludzie, krzyki, zuchwalstwo i ciżba niesforna.

Gdy się senatorowie od króla ukazali, a poznano ich, zaraz na wjeździe o mało nie ciskano błotem. Podnosiły się groźno pięście, krzyczano za nimi: Lizuny królewskie... błyskały szable

zdaleka... ale to posłów nie nastraszyło. Juści choć bezpieczeństwa osób zdawali się móż być pewnymi.

Posłuchanie w kole na dzień następny dano, a wróżył Goślicki, że będzie co do przełknięcia.

Puszczono ich i Goślicki czytał poselstwo senatorów, a Smorzewski pisarz lwowski od stanu rycerskiego, lecz z biedą im dano dokończyć.

Smorzewski nie skonkludował jeszcze, gdy z koła szlachta jakby pijana, wprost z szablami dobytymi wypadła na Goślickiego i na gromadkę, z którą był Bajbuza.

Ten też się miał do korda, a mógł sądzić, że ostatnia godzina wybiła, bo mogli ich na szablach roznieść w oka mgnieniu. Na każdego z nich były tysiące.

Skoczył w porę ze swymi ludźmi Radziwiłł, otoczył posłów nimi i za koło wyprowadzić kazał, gdzie straż postawił. Bajbuza mówić nie mógł z gniewu i gdyby nie to że mu się posuwać nie dawano, byłby rzucił się i zginął.

Ledwie się to poczęło nśmierzać, gdy warchoły nierade iż im się bez ran i krwi obeszło, za ławami senatorskimi siedząc, poczęli się z sobą klócić i ucierać. Podniosły się głosy i wprost łajania, kupa jedna cisnęła na drugą, a potem razem na senatorskie ławy.

Zdawało się, że ich jakiś oblęd opanował.

Tu taka gąszcz była, że nawet rozpoznać nie

mogli dalej stojący, kto z kim, na kogo szedł. Wszyscy się rwali do broni, do koni, do muszkietów, wyrócono ławy, powstał wrzask, zamieszanie... i znowu Radziwiłła zaklęcia, głos, jego ludzi wtargnięcie śmiałe, rozerwało już walkę bratobójczą a bez celu. Wszystko to trwało do bry czas, tak że pod koniec dnia nie było co robić, a posłowie też nie mogąc się pokazywać, odprowadzeni przez Radziwiłłowskich ludzi, pojechali na kwatere, przy której im straż postawiono.

— Panie wojewodo — rzekł do Goślickiego rotmistrz, gdy na miejscu stauęli — święte to są słowa nieboszczyka hetmana Zamojskiego, za Batoiego wyrzeczone, że zmacić wodę lada żaba potrafi, ale ją uczynić spokojną i czystą i mądremu trudno.

Nazajutrz posłowie do koła nie mieli po co iść. Odpowiedź jaką im dać miano, chodziła już po obozie.

Rokosz się nie cofał: królowi przykazywano rozpuścić wojsko natychmiast i w pięć dni stawić się pod sąd panów rokoszanów — szczęściem jeszcze, że nie z powrozem na szyi i boso.

Wojewoda ruski odbierając ten skrypt od Radziwiłła nie okazał po sobie nic. Kazano konie siodłać.

Przez dzień oczekiwania Bajbuza nie próżnował. Wśród stu tysięcy głów niepoznanemn

przejsć i rozśłuchać się było łatwo. Mało kto go tu mógł po nazwisku wiedzieć, a mniej było jeszcze takich, którzy o obrotach jego byli uwiadomieni. Uchodził więc za rokoszanina i słuchał bezpiecznie rozpraw w polu i w kole.

Widocznem było, że ognia podkładano, bo miejscami szlachta zrażona chciała się do domów rozjeżdżać.

— Dla prywaty swej nas ciąga Zebrzydowski, Herburt i drudzy; solą im w oku, że starostwo rawskie dał król Stefanowi Potockiemu i t. p.

Z tem z czem wracali do Wiślicy, nie było się chwalić — ale tu się może innego nic nie spodziewano. Bajbuza jak stał poszedł do hetmana. Żółkiewski choć wiedział co się działo, ciekaw był co mu stary żołnierz powie.

— A cóż rotmistrz?

— Co? ludzi siła, zwłaszcza gąb niecierpliwych — rzekł Bajbuza — są i chorągwie nie do pogardzenia, ale pospolity lud niewiele wart. Nie trzeba się likiem trwożyć, bo choć nas muicj, ale my silniejsi jesteśmy.

— Dajby to Boże! — westchnął Żółkiewski.

— A mnie się zda, że do boju nie przyjdzie; będą się srożyć do samego końca, a gdy działa zagrają, nie dostoją.

Niech tylko król nie mięknie, bo na jeden włos ustąpiwszy im, wszystko stracone.



Z obu stron nastąpiło jakby zawieszenie dalszych kroków.

Bajbuza chodził i ziewał.

Jednego dnia, gdy tak około zamku i kolegiaty wiślickiej murom się przyglądając chodził błędny, na podwórku kościelnym nastęczył mu się ks. Skarga.

Szedł z brewiarzykiem do kościoła wśród ci-szy odmawiać godziny, bo na zamku pokoju nie było. Postrzegł rotmistrza, o którym słyszał że do rokoszan jeździł, a pamiętał go zdawna, i zatrzymał się. Bajbuza przystąpił do niego.

— Cieszy mnie to bardzo — odezwał się ks. Piotr — że ja was tu widzę z nami. Wielu się dało na piękne a zwodne węzowe słowa pochwycić. Smakuje *aurea libertas*, pięknie się wydaje równość i nieposzanowanie ani godności, ani wieku, ani zasługi, ale to małych umysłów i serc rzecz w tem się kochać.

Byliście, słyszałem, w ogniu rokoszowym?

— Ale nie poparzywszy się wrócił — uśmiechnął się rotmistrz.

Dobrzeby temu koniec raz położyć, bo później co dalej będzie to trudniej, król łagodny jest.

— Nie szkodzi to — rzekł Skarga — a na wiele się oglądać musi. I ci, co z nim są, nie wszyscy z sobą zgodni, nie na jedno przystają. Książę Ostrogski chce pośredniczyć a maści... innych też wielu.

Tu ks. Skarga oczy spuścił i przypomniawszy sobie zapewne widoczne ostyganie kardynała Maciejowskiego, nie dokończył już.

W chwilę potem oczy powoli podniósł.

— Wyście z panem Żółkiewskim?

— Tak jest.

— Królowi zbywa na ludziach, coby mu uczciwą a beznamietną prawdę o ludziach i sprawach mówili. Panowie senatorowie z góry patrzą i wierchołki tylko widzą.

Nie byłoby wam wstrętnem przed królem stanąć i czasem mu powiedzieć, co u was w wojsku chodzi, jak wy się na to zapatrujecie?

Zmieształ się Bajbuza nieco.

— Ja bo dworakiem nie byłem i nie potrafię być — rzekł — prawdę inaczej jak całą powiedzieć nie umiem. A na co się zdało to, co ja królowi przyniosę?

— Aby wiedział co jego naród myśli, pragnie i sądzi — rzekł Skarga — nie on naród, który mu grozi i bezcześci, ale ten, co go szanując może nie tak widzieć jak on.

Najlepszy pan

Spojrzał na zadumanego rotmistrza.

— Ojciec mój — odparł Bajbuza — gdy mnie król zawoła a pytać będzie, pewno nie zamilczę.

— Pamiętajcież, iżeście mi to przyrzekli.

To mówiąc Skarga zwrócił się ku kościołowi, a rotmistrz do domu. W głowie mu się to nie

mogło pomieścić, aby do pauza miał być przypuszczonym. Dumnym wcale z tego nie był, ważył po swojemu jak ciężkie to wkładało na niego obowiązki. Radby był wypowiedział się Szcypiorowi, ale z drugiej strony milczenie też zdawało się obowiązkiem.

Nazajutrz komornik królewski przyszedł po niego do marszałka Myszkowskiego prosić na zamek. Wiedział już co to znaczyło, ale omylił się sądząc, że go wprost puszcza do króla. Myszkowski nowemu człowiekowi do pana przystęp mając ułatwić, potrzebował się o nim dobrze zapewnić. Włoch, wyobrażał sobie w Bajbusie, wedle opowiadania księdza Skargi, szlachcica z prostym rozumem domorosłym, a nie spodział w nim wykształconego we włoskich też uniwersytetach i podróżach oryginała, który jak pszczoła zbierał miód nie patrząc kwiatów i świat znał tak dobrze jak on.

Powierzchnowość, gdy wszedł ogromny, siwiejący, niepiękny a dumno patrzący człek, nie mu nie oznajmiła. Myszkowski całe włochem się wydał rotmistrzowi.

— Jakież jest *curriculum vitae* wasze — odezwał się dość grzecznie do wchodzącego. — Ksiądz Skarga wielce nam waszmości poleca.

— Łaskaw jest — odparł Bajbuza dosyć obojętnie. — Prostý ze mnie człek, a pospolicie mnie dziwakiem zową. Podróżowałem wiele, uczyłem

się siła, a nie umiem nic, krom może szablą władać; a mam ten nałóg brzydki, że co myślę, to mówię.

Myszkowski przystąpił bliżej i zagadnął go po włosku.

— Toście się na kortedziana nie zdali!

— I ja tak sędzę — rzekł Bajbuza — dlatego nigdy dworu nie szukał.

Zamyślił się Myszkowski.

— Cóż mówicie o terażniejszych sprawach? — spytał.

— Smutne są tak — rzekł Bajbuza — że i Treny Jeremiaszowe Wacława z Szamotuł, które Tobiaszek śpiewa, smutniejszymi być nie mogą.

— Prawda! — westchnął Myszkowski — a rada na to jaka?

— Mnie o nią chyba nie pytajcie — odezwał się Bajbuza. — W początkach obwinałem strony obie, zdało mi się, że i król powinien był warchołom folgować; dziś już nie czas, bo wszystko wywróca. Nie o samego króla idzie, ale o rzeczpospolitą. Obawiają się rakuszan; cóż gdyby dziś na nas padli rozbitych na obozy? Łatweby mieli zwycięstwo.

Myszkowski ciekawie słuchał.

— Biedny jest ten pan nasz — dodał — liłość obudza. Męczeński to tron jako ruszt Wawrzyńca.

Poszła powoli rozmowa o ludziach i o rzeczach. Myszkowski rad, że mógł po włosku się z nim porozumieć, bo się służby lękał, aby nie podsłuchiwała, bardzo sobie upodobał Bajbużę.

W końcu rzekł.

— Dobiorę chwilę, gdy was królowi przedstawię. Będzie-li pytał, mówcie mu prawdę, ale z należną majestatowi powolnością. Nie zaszkodzi wam łaska królewska, bo nie wiem ażebyście już cokolwiek wysłużyli, choć wiem, że zasług macie.

— Pozwolisz mi, miłość wasza — prędko wtrącił rotmistrz — iż tę rzecz objaśnię. Po rodzicach wziąłem mienie znaczne, nie mam ni żony, ni dzieci, chleba podostatkiem, więc łaską nie gardząc, potrzebnym jej nie jestem.

Myszkowski się uśmiechnął.

— Heroizmus to zbyteczny — rzekł — biorą bogatsi od was — dorzucił — ale taka bezinteresowność nie szkodzi też.

Spytał potem gdzieby go szukać należało.

— Przyprowadziłem stu kopijników hetmanowi — rzekł Bajbuza — u niego się o mnie zawsze dowiedzieć można.

Tak pierwszy krok uczynił mimo woli swej rotmistrz, a czy mu bardzo rad był, trudno sądzić było. Chmurny chodził i milczący.

Gdy się to działo w Wislicy, pomiędzy nią a rokoszem ciągle krążyły bezskuteczne posel-

stwa. Król tem umiarkowańszym być musiał, iż czuł i wiedział, że wielu jego zwolenników gorących stygło.

A gdy z jednej strony Zygmunt nie był spokojny o przyszłość, Zembrzydowski też zawieruchę wprowadzić wywołał, ale codzień dawał dowody, że nią rządzić nie umiał.

Chciał władzę wszelką w ręku swem skupić, aby potem albo królowi się sprzedać, lub go obalić. Zaczynano to wietrzyć i przeciwko niemu też podnosiły się głosy.

Nie bez wpływu były poselstwa króla cierpliwe, poważne a każące, wszakże domyślał się, że pewną siłę miał za sobą, a nie lękał się pogroźek.

Wedle zwyczaju ciągle wojewoda tajemnicami jakimś, które miał objawić kiedyś, potrzasał, a nie mówił nic; zaczęto naglić, aby raz tej niepewności koniec położył.

Po tylokrotnych już rejestrowaniach grawaminów przeciw królowi, przystąpiono do spisowania ich na nowo.

Znaczyło to, że układać się chciano. Zanie-siono je do Wiślicy, poszła odpowiedź zimna. Król nie był dalekim od rozpoznania tych zażeń, ale sposób w jaki mu je rzucano zuchwale od zjazdu, który się samowolnie zwołał, nie mógł być uznanym. Inaczej trzeba było przedsiębrać naprawę rzeczypospolitej.

Wszystko to, choć nieobrachowane ale zbyt się przeciągając, polską wytrwałość wyczerpało. Z tłumów zebranych już część tylko na placu stała. Z tej części, która napróżno chodziła do koła i powracała z niczem, część już poszalasach i namiotach siedziała przy piwie, i Radziwiłł przybywał do koła, a w nim nie znajdował nikogo.

Ostyganie było widoczne.

Skończyło się na rozpaczliwym uniwersale do rokoszowego pospolitego ruszenia pod Sandomierz w październiku, gdy już trawa wyschła, a wichry zimny w polu stać długo nie daje!

Król tymczasem nie widząc sposobu dokończenia sprawy inaczej, za poradą Potockich, za zgodą Żółkiewskiego, zabierał się wyruszyć z Wiślicy.

Dniem przedtem Bajbuza leżący w namiocie z księgą pod ręką, został na zamek wezwany. Komornik szepnął mu.

— Nie zawadzi się tak odziać, abyś miłość wasza nie potrzebował wracać do domu.

Zrozumiał to rotmistrz i ubrał się dostatnio, bogato, ale niepokażno, a czarno, bo ten kolor nad inne przekładał.

Czekał na niego w swej izbie marszałek. Dzień się miał ku wieczorowi.

— Do króla JMci prowadzę was — odezwał się Myszkowski. — Jutro wyciągniemy w pole, kto wie czy się rychło nadarzy zrzeczność, a J.

Król. Mość z zalecenia ks. Skargi kilka razy o was pytał.

Gdy weszli siedział Zygmunt u stołu, z twarzą bladą, spokojną, ułożoną tak, aby nie zdradzała myśli, i dawszy sobie przedstawić Bajbuzę rękę mu dał do pocałowania. Był to już dowód życzliwego usposobienia. Marszałek cofnął się powoli, zostawując ich samych, chociaż zdało się rotmistrzowi, iż go czuł za zwieszoną we drzwiach oponą.

Postać królewska oprócz dostojności, którą wyrażać chciała, nie mówiła nic — ale wejrzenie było bystre i żywe i twarz rozumna. Strój zwykły cudzoziemski, ciemny, białe bardzo ręce z palcami długimi, na których parę pierścieni świeciło, lice też nieco żółte i bezekrwii jeszcze jaśniejszemi czynił. Na szyi miał król łańcuch, który zdawał się zegarek jajowaty umieszczony za spięciem utrzymywać. Na stoliku przed nim stał krucyfiks z kości słoniowej, pod którym z kamieni i złota różaniec spoczywał rzucony, książka z klamrami złotemi tuż obok, była z pozoru sądząc pobożną.

Słabym głosem, cicho, rzucił Zygmunt kilka pytań, dotyczących się osoby rotmistrza, na które on odpowiedział wcale niestrwożony.

Zagadnął potem czy był w rokosszanów obozie i co o nim sądził.



Bajbuza mówił o liku wielkim a małym porządku, dodając w końcu, że im się ostateczna rozprawa przeciągała, tem król pewniejszym być mógł zwycięstwa, bo rokoszanie wielce już znużeni, narzekali.

— Lecz niech nas Bóg uchwata od tego, abyśmy aż orężem krnąbrne karki uginać mieli — westchnął Zygmunt.

— Smutnaby to była ostateczność, lecz Zebrzydowski i mała jego gromadka przewódców, nie spodziewając się przebaczenia, któż wie do jakiej ostateczności się rzuci.

Pomiędzy zadawanemi pytaniami, odpowiedziami i nowem badaniem, wiele upływało czasu, król ważył słowo każde, mówił nieśmiało, a ograniczał się bardzo niewielu słowami.

Z pozoru sądząc wnosić było można, iż dosyć dobrej był myśli.

Po kilkakroć gdy Zygmunt o sprawę rokoszową zagadnął, rotmistrz odparł.

— N. Panie, jam żołnierz, nie przypisuję sobie abym jasno widział. Daleko trzeba szukać przyczyn tego niepokoju, a przyszłoby może obwinić tych, co nie przewidywali jak niebezpiecznie z ogniem igrać. Dziś pożar płonie, wiatr dmucha... ale zgasić jest w mocy waszej...

— Siłą? — zapytał król.

— W ostateczności — rzekł rotmistrz — a

kto wie, czy i łaskawością nie dadzą się ująć zapamiętali.

— Stadnicki? Herburt? — odparł król głową potrząsając.

— Ci są narzędziami w ręku innych — szepnął Bajbuza.

Naostatek, niewiedzieć już jak do tego przyszło, iż król na leżące na stole grawamina wskazał i sam owe zarzuty frymarku korony podniósł.

Bajbuza nie mógł zmilczeć.

— To było początkiem — odezwał się Bajbuza — a na nieszczęście uczynił go ten, którego ja pamięć cześć, nieboszczyk hetman Zamojski; lecz nie spełniłże on obowiązku i mógłże on to utaić?

Przebaczysz mi W. Król. Mość, w tem nie on winien.

Spuścił oczy Zygmunt i zamilkł; odezwanie się to otwarte dało mu miarę człowieka, lecz nie rozgniewał się.

— W początkach i ja — rzekł — z innym wyobrażeniem o Polsce przybyłem do niej. Żle mnie informowano. Godziwem sądziłem, co niemożliwem było.

Westchnął.

— A ten wstręt do cesarskiego domu? — rzekł cicho.

— Ten wiekami się tworzył — odezwał się Bajbuza — winniśmy rakuzkiemu dworowi, że

Węgry i Czechy dla nas stracone zostały. Polska się lękała o swoje swobody.

— Zbytek ich ma! — wtrącił król.

Na tem przerwaną została dosyć już przedłużona i nnżąca dla Zygmunta rozmowa. Myszkowski wszedł razem z ks. Bernardem, który wprost do króla pośpieszył. Wstał z krzesła Zygmunt i głowy poruszeniem a uśmiechem uprzejmym odprawił rotmistrza, który natychmiast zniknął za oponą i odetchnął swobodniej dopiero gdy się w podwórzu znalazł. Tu czekał na niego ksiądz Skarga.

— Byłeś u króla? — zapytał.

— Powracam od niego!

Badajaco spojrział mu w oczy, w których nie może oprócz wielkiego nie wyczytał znużenia.

— Lękam się — odezwał Bajbuza — iż król na mnie wielkiego zawodu doznać musiał. Nadtoście mnie łaskawie mu polecili, i nie spodziewał się pewnie znaleźć prostego żołnierza w zapowiedzianym mu domorośłym może statyscie.

Zwolna rękę białą położył mu na ramieniu ks. Pawęski.

— Mój rotmistrzu — rzekł — wielkiej to ceny rzecz, gdy wiemy, iż z człowiekiem mamy do czynienia, który kłamać nie umie. Największa wasza cnota, że czystą prawdę z was dobyć można. Choćbyście nie powiedzieli nic nowego, po-

wiecie wiele potwierdzając to, co widzieli i czuli drudzy.

Bajbuzie, który z zamku na okolicę spoglądał i w blasku pogodnego wieczora rozłożone u stóp swych widział obozy, nagle się uradowało serce.

— Ojcze! — rzekł — jutro na koń siadamy, jutro ja idę po rozkazy i nie potrzebuję myśleć tylko o tem, abym je spełnił. Co za radość.

— Taka dziecko moje — odezwał się Skarga — jak zakonnika, który wolę swą złożył w ręce zwierzchnika, i spełnia co mu nakazują. Wszędzie zaprawdę tak jest, że rozkazywać chcą ci, co ciężaru władzy nie znają, a cieszą się, że słuchać mogą tacy, co w sumieniu chcą być wolni.

I poszedł do kościoła, a Bajbuza pobiegł do namiotu, w którym Szczypior pod niebytność jego licznych towarzyszków broni przyjmował.

— Jutro więc w pochód! — zawołał wpadając z młodzieńczą żywością Bajbuza. — Wieczór złocisty, dzień się nam obiecuje piękny, *omen* na wyprawę doskonały. Bóg da, że pokój przywrócim tej skołatanej biednej rzeczypospolitej naszej.

Kubek wziął ze stoła i nie mówiąc czyje — *vivat!* — spełnił go duszkiem.

— *Vivat in aeternum!* krzyknęli towarzysze.

---

#### IV.

Pogodnym, prześlicznym rankiem jesieni, na równinach pod Wiślicą Żółkiewski stanął z całą swą siłą na popis przed królem i w pochód przeciwko rebelizantom. Kilkanaście tysięcy jazdy dobornej, pancernych, usarzów, kopijników, kilka tysięcy piechoty, kilkanaście dział składały wojsko to całe, niewielkie liczbą, ale nadzwyczaj świetne, w karności utrzymane, a strojne i zbrojne z przepychem, na który każda chorągiew się wyśadyła, każdy pojedynczy żołnierz zмагаł i łożył ostatki.

Przepyszne siodła blachami obijane srebrnymi i złocistymi, okrycia na konie szyte, rzędy świecące od drogich kamieni, czuby kosztowne na łbach rumaków, skrzydła usarzy, kopie złoczone i malowane z proporcami długo rozwiniętymi, zbroje szmelcowane i złoczone rycerstwa, lampar-

cie i tygrysie skóry, szyszaki z piórami, misiurki, tarcze malowane, sahajdaki szyte bogato, wszystko aż do strzemieni złożonych na turecki kształt wyrabianych misternie, składało się na obraz do tego podobny, który ujrzawszy na granicy Henryk Walezy, zawołał, że tu dopiero uczuł się królem.

Tu też nierycerskiego ducha Zygmunt Waza uczuł może, iż temu narodowi rycerzy panować było zaszczytem ale myśl tę zatrzymało, iż znaczniejsza część jego stała w obozie przeciwnym.

W tej jednak chwili wojsko, któremu hetman dowodził, zdawało się i potężne i niezwyciężone, a król idący z niem razem stał za mnogie pulki.

Nie bez wewnętrznego wzruszenia, po błogosławieństwie w tym kościele, który przypominał Łokietka i losy jego, siadł król na konia, otoczony przedniejszymi urzędnikami dworu swojego. Milezeli wszyscy, pochód ten był pogonią przeciwko zbuntowanej braci. W szeregach jej nie jeden ale tysiące miało rodzonych swych, pokrewnych, ukochanych, sprzyjażnionych.

Pękosławski starosta sandomirski między innymi, spoglądając zdala na pulki zadumany, szcptał do stojącego przy sobie Oborskiego.

— A co, jeżeli mi się brat Prokop nawinie? Pewnie on mnie oszczędzać nie będzie, a ja?

Tu się przeżegnał.

— *Quod Deus avertat?*

Z Pękosławskim tym pewnie tysiące równie myślało. W szeregach przejeżdżający Bajbuza słyszał mruczących.

— Na swoich nam iść każą! dla ich kłótni, że się jednemu cbeiało krzesła, drugiemu laski, jurgieltu albo starostwa, a nie dano im, my się zabijać mamy? brat brata!

— Nie będziemy się bić! — wołał rzeżko drugi — niech się sobie kłóca i godzą, ja tam rodzonego mam... mają ich drudzy. Gdy przyjdzie do rozprawy a zatrąbią, staniemy i nie pójdziemy.

— A jak z dział do nas każe walić wojewoda? — wtrącił ktoś z boku.

Nastąpiło milczenie smętne.

Weselszy z ciurów wtrącił.

— Co wam głowy boleć mają o to, czego jeszcze niema i nigdy może nie będzie. Na to czas jeszcze i rozmyślać i stanowić.

Ja też z Andruszkąbym się nierad na polu spotkał.

— Ale bo nie pójdziemy — krzyczał inny — na swoich nie pójdziemy. Król ma na to Niemców, szwedów, szlązaków, ja nie wiem, może i węgrów, niech tych popchnie.

— Aha! — zaśmiał się inny — i my z boku będziemy spokojnie patrzyli, jak te pludry, lancknechty naszych braci mordować będą. To także miła sprawa!

Na krótki czas widok tego wojska, które jesienne promienie słońca ozłacały i opromieniały jakimś blaskiem i świetnością, które w dumę wprawiały, rozweselił żołnierzy. W niektórych pułkach zanucono Bogarodzicę, inne jechały milczące. Twarze się zaczęły okrywać chmurami, choć na niebie ich nie było i dzień był cudownie piękny, a powietrze jesienne, jakby do pochodu stworzone. Ale każdy spoglądając przed siebie widział tam w sienie dalej jakby widmo obozu braterskiego, któremu Zebrzydowski dowodził.

Z tej niechęci do rozlewu krwi bratniej rozdziły się mimowoli wątpliwości, miał-li król słuszną, czy ci, co swobód odwiecznych narodu bronili?

Kto tu walkę podżegał?

Dyssydenci, myśleli jedni, OO. Jezuiti, szemrali dradzy. Tuż za królem konno jechało ich kilku nieodstępnych, a wśród tych, co sukni zakonnej nie mieli, pokazywano palcami przywiązanych i posłusznych zakonowi.

Gdy ci, co najmniej myśleć byli nawykli i ważyć czynności swoje, teraz zaczynali rachować się z sumieniem, cóż dopiero dźiać się musiało z takim marzycielem jak Bajbuza, który przez życie całe z sobą walczył, drogi szukając prawej, a wątpiąc czy ją znalazł?

Przysłuchiwał się pilno każdemu szmerowi,



*vox Dei* chciał z ust największych prostaczków wybadać.

Przy nim jadący Szczypior wystawiony był na ciągłe pytania.

Ten znowu, raz na koń wsiadłszy i otrzymawszy ordynans, tak już był spokojny w sumieniu, iż ani sobie myślał łamać głowę, co dalej będzie.

Wojsko posuwało się niezbyt pośpieszając ku Połańcowi, w tropy za rokoszanami. Wszyscy dowódcy byli tego zdania, że raz trzeba było skończyć.

Ze strony rokoszan też szlachta wsadzona gwałtem na koń już się troskała wielce o gospodarstwo.

— Tu sam czas siać, rola jeszcze niegotowa, jejmość z włodarzami rady sobie nie da, posładami zasieją, rolę źle uprawią, a na przyszły rok choć rzepe suchą gryż, chleba nie będzie. Króla wypędzim może, ale przyjdzie z głodu umierać.

Śmielsi z nolegów, gdy się im jejmość i dzieci przyśniły, dodnia wsiadali na koń, w las i do domu. Nie mogli wytrzymać dłużej.

Trzecim obozem królewscy stanęli w Połańcu. Znalaziono dla króla dwór i wyporzadzono go jako tako, reszta leżała w polu, a noce były zimne.

Tu nadciągnął z małym jak na siebie, ale świetnym pocztem książę Ostrogski kasztelan

krakowski. Wszyscy widzieli go od początku niepewne zajmującego stanowisko. W obozie rokoszanów nakłaniał do zgody z królem, przy królu tłumaczył rokoszanów i namawiał do układów z nimi

— Jam nie raz ale sto razy gotowość do nich ukazał, lecz trzeba, aby i druga strona inaczej do króla swego przemawiała.

Rola ta pośrednika uśmiechała się księciu, wnosił, że to była właśnie pora, gdy ją powinien był wziąć na siebie. Zagadnął o to O. Bernarda. Jezuita wprowadził go do króla, ale ostrożność radząc. Szło o to, aby książę i wschodniemu kościołowi i dyssydentom zbyt swobód nie wymagał poręczenia.

Tymczasem jednak Ostrogski tylko ogólne przebaczenie chciał wyjednać, bezkarność, zapomnienie uraz, wynagrodzenie szkód rozdawnictwem starostw i t. p.

O to rozdawnictwo rozbiło się zaraz traktowanie.

— Mości książę — zawołał Myszkowski — więc niedosyć przebaczenia za to, za co innego czasu na gardle karzą, trzeba jeszcze nagrodzić Zebrzydowskiego za bunt, a ks Radziwiłła że N. Pana Sodomeczykiem nazywał!

Nikt nie chciał słuchać takich zgody warunków i książę Ostrogski wyjechał z Połonia za rokoszanami, ale bardzo jakoś prędko już niesam,

bo tu na niego patrzano krzywo, z listem tylko wysłał dworzanina.

Donosił w nim, że rokoszanie gotowi byli o warunki się układać i godzili na zjazd w Iwaniskach lub Osicku, na któryby z obu stron zjechało po czterech senatorów i tyluż ze stanu rycerskiego, z niewiększym poczem nad dwóchset ludzi.

Przez ten czas gdy się umawiać miano, wojska z obu stron poza sobą swobodnie na picowanie, to jest po żywność wyjeżdżać miały.

Ale królowi Osiek był już pod bokiem i stanowniczowie wyprawieni, zażądał, aby naznaczono w to miejsce Koprzywnicę. Żądano glejtów, król nie widział ich potrzeby.

Powolność ta Zygmunta, czy jakieś nowe rachuby kazały naprzód Zebrzydowskiemu zwlec układy, a nazajutrz uznano w propozycjach króla obrazę majestatu rokoszowego!

A zatem nie było ze wszystkiego nic.

Wojsko dochodziło do Osieka, gdy krzątający się bardzo Ostrogski dał znać królowi, że rokosz do niego wysłał Pękoślawskiego, Lubomirskiego i Jasickiego. Tymczasem wbrew temu oznajmieniu, Bajbnza wyprawiony na podjazd przez Żółkiewskiego nadbiegł z wiadomością, że rokoszanie precz z pod Sandomierza wyciągają i na wszystkie strony gońców wyprawiają o posiłki.

Żółkiewski rotmistrza jak stał zabłoconego

poprowadził z sobą do króla, który jeszcze się był nie rozłożył.

Bajbuza mu powiedział co przynosił.

— Cóż myślicie? — spytał król.

— Ja — rzekł Żółkiewski — jestem tego zdania co rotmistrz, (wskazał Bajbuzę). Chcemy-li rozlewu krwi uniknąć, trzeba pośpieszać, sięść im na kark.

Zygmunt oczy smętne zwrócił na Bajbuzę, jakby go pytał.

— Ciągnąć?

— Dziśby nam natychmiast potrzeba za nimi iść — rzekł rotmistrz — im śmielej i pośpieszniej, tem skuteczniej. Ktoż wie? posiłki możemy naprzędzić, sam ten pośpiech trwogę wrazi!

Zrezygnowany król zwrócił się do konia, z którego zsiadł dopiero, i nie mówiąc, cngle sobie podać kazał.

— Na koń! — zawołał Żółkiewski.

Ta determinacya tak skora w królu, ożywiająco podziałała na wszystkich. Rażno się rozległo: Na koń! na koń! — i na dany znak trąbki odezwały do pochodu.

Ci, co już się zbierali obozować i odpoczywać, mnsieli biedz popręgi ścisnąć, konie nżdać i saskwy nanowo do siodeł przymocowywać.

— Na koń! na koń!

Wtem za królem się ukazał niespodziany tu

wcale książę Ostrogski, który też od rokoszan przybywał.

— N. Panie — zawołał zdyszany zbliżając się ku niemu — daremna rzecz z szalonymi mówić rozumnie, oni słuchać wcale nie chcą, zachwalstwo przechodzi wszelkie granice. Ja nie pojedę do nich więcej. Stracone moje dobre chęci, pozostają wiernie przy W. Król. Mości.

Zygmunt skłonił głowę i śmiechnął się, ale i tym razem nie odpowiedział.

Postępowano naprzód żywo.

Bajbuza, który oświadczeniu Ostrońskiego przytomnym był, pobiegł o niem oznajmić Żółkiewskiemu.

— Waszmość temu wierzysz? — zapytał hetman i zdumionemu dodał: — Patrzajże gdy ciągnąć będziemy, zobaczysz, iż kasztelan zawaha się znowu.

Bajbuza wzrnszył ramionami.

— Gdyby król był — dodał Żółkiewski — oświadczenie księcia zaraz nagrodził jakim dostojenstwem, któż wie? ale nie odpowiedział nic.

Wojsku dano rozkazy pośpiechu. Nazajutrz Bajbuza tñż wczoraj za królewską strażą jadacego Ostrońskiego już nie znalazł na miejscu. Spytał o niego.

Odpowiadano, iż przyzostał, gdyż oddział jego i on sam, ciąglem przenoszeniem się z obozu do obozu był bardzo znużony.

Jakoż wcale go już widać nie było. Hetman dobrze wyprorokował. Kasztelan zniknął.

Teraz istna już pogoń następowała. Rokoszanie z pośpiechem nadzwyczajnym uchodzili ku Wiśle i ich ranne niedogaszzone ogniska, wieczorem królewscy rozpalali. Bajbuza, który ze Szczypiorem i kilkunastu ludźmi ciągle w przedniej straży był, dał znać, że Zebrzydowski, Stadnicki i Radziwiłł pod Pokrzywnicą ustawili się jak do boju i czekali.

Ale nim król tu dociągnął, oni już się znajdowali w Ożarowie. Cierpliwy, milczący, posłuszny radom król już zaczynał niespokojnie wyglądać rokoszanów tych, o których codziennie mu oznajmowano, a dognać ich dotąd nie mógł, gdy pod Janowcem pokazały się rozłożone ich nfee.

Niemal z radością je powitano, chociaż różne uczucia widok ich wzbudzał.

Cochwila przynoszono nowe jakieś wiadomości. W obozie króla panowała wielka niepewność i rozstrój. Nicktórzy nalegali na to, aby nie folgować, inni się spodziewali jeszcze układów, a gdy doniesiono, że Djabeł Stadnicki, nie wiedzieć z jakiego powodu, ze znacznym oddziałem opuścił Zebrzydowskiego i przeprawił się przez Wisłę osłabiając rokoszanów, Żółkiewski chciał natychmiast iść na nich.

Już niemal rozkazów tych wydania był pe-

wien, gdy sam podjechawszy do króla, znalazł go wabającym się.

— N. Panie! — zawołał — tracimy najdroższą chwilę.

Król westchnął ciężko i z ust dobył się tylko wyraz: Krew! krew!

Począł się niespokojnie oglądać dokoła i szepać. Nieopodal siedzący na koniu Gajewski skinieniem został przywołany.

— Jedź — zawołał król krótko urywanemi wyrazami — jedź, czas jeszcze, niech nie zmuszają do krwi przelewu... Jedź, śpiesz.

Gajewski puścił się natychmiast, a hetman chmurny zsiadł z konia.

W obozie królewskim widać było poruszenie, którego charakteru trudno było odgadnąć. Ważyły się losy. Jeszcze chwila, jeden krok może i krew się polać miała.

Wybór Gajewskiego dworzanina królewskiego, choć niemal przypadkowy, bo się nastroczył oczom, gdy o nim nie myślano wcale, był dosyć szczęśliwy.

Odważny, prędkie, zawsze jasnego oblicza, Gajewski stworzonym był na to, aby przenosił co mu dano, ani psując, ani naprawiając, ani dodając nic, ani się domyślając *proprio motu* co czynić miał.

Król wiedział znając go, iż ani nadto, ani za mało nie powie. Gajewski nie miał się za staty-

stę wcale, lecz pamięć doskonała dozwalała powtórzyć co mu zwierzano, nie zmieniając ani słowa.

W mgnieniu oka, konia nie oszczędzając, puścił się jak strzała ku miejscu, w którym po namiotach i chorągwi łatwo się było wodzów domyślać.

Stosunkowo do spokojnego jeszcze dosyć obozu króla, w którym przytomność jego była już sama rękomią porządku, rokoszanów tabor wydał się Gajewskiemu jakby spłoszonym i niezmiernie zburzonym. Zbierano się kupami, wywoływano, biegali ludzie, dawano i odwoływano rozkazy, kłótnie się rozlegały.

Ponieważ zdala już widziano przybiegającego Gajewskiego, wojewoda wyjechał konno kilkadziesiąt kroków naprzeciw niego pod pozorem oglądania obozu.

Poselstwo to widocznie otuchę jakąś znowu wlało w Zebrzydowskiego. Król się wahał. Razem z Radziwiłłem wpadli do namiotu.

Jaką im dać odpowiedź?

Radziwiłł o zgodzie myśleć nie mógł, dał znak rękę, że pójdzie do ostatka... do krańca, do boju, a nie ustąpi.

To podbudziło Zebrzydowskiego. Szło tylko o formę w jaką odpowiedź odmowną ubrać miano.

Gajewski chodził przed namiotem, obłączony



dokoła przez rokoszan, którzy go pytaniami ścigali, choć im żadnej nie dawał odpowiedzi.

— Niemy jest — wołał Ponętowski śmiejąc się — król Zygmunt jak sułtan turecki takich do poselstw używa. Ci nie zdradzają, bo im język urżnięto.

Wyszedł Zebrzydowski w ostatku i wziął posła do namiotu.

— Rokosz dzień powszechnego zjazdu naznaczył i nie cofa go. Niech król będzie posłuszny głosowi narodu, a nie śpieszy się z rozlaniem krwi, która na niego spadnie.

To nasza odpowiedź — dodał — powiedzcie aby pomyślał dobrze... Krok uczynić łatwo, ale panięci jego zatrzeć nikt nie potrafi. Niech król czeka i na zjazd się stawi.

Gajewski nie odpowiedział nic.

Zebrzydowski powtórzył mu to raz jeszcze.

— To wszystko? — zapytał dworzanin.

— Zda się dosyć wyraźnie mówię — odparł wojewoda.

— Czołem! — rzekł Gajewski i wyszedł.

Konia mu podano, siadł i puścił go czwałem. Po drodze ledwie mógł na obóz rokoszan rzucić okiem, ale łatwo poznał, że go rozbijać na długo nie myślano; niektóre oddziały już się sposobiły przeprawiać za Wisłę, inne za nimi postępowały, brak tylko promów wstrzymywał.

Dla niego jawnem było, że rokosz słabym się czuł i uchodził, a odpowiedzią chciał złudzić.

Dworzanin pośpieszył temu prędzej. Ze wzgórze, na którym stał król z hetmanem i głównymi dowódcami, widać było jak po Stadnickim, łatwe do rozróżnienia ufce Radziwiłłowskie także za Wisłę się cofać zaczęły. Szło to jednak opieszale.

Zebrzydowski pomimo to, nieulekniony czy rozpaczony, pozostawszy sam ze stosunkowo niewielką garścią i trochę ludzi Radziwiłłowskich, zdawał się gotować do przyjęcia bitwy z nierównie już większą siłą króla.

Wojewoda ruski pośpieszył korzystając z położenia tego, do odcięcia mu odwrotu i osaczenia dokoła, ale z rozpoczęciem boju zawahał się.

Nie miał odwagi wziąć na siebie odpowiedzialności stanowczego kroku. Posłał po rozkaz do króla.

Chwila ta rozstrzygała, a nikt nie mógł odgadnąć nawet jakie Zygmunt miał usposobienie, co myślał... Przez cały ranek naradzał się cicho z O. Bernardem, przywoływał Skargę, wołał Myszkowskiego. Żółkiewski po pochodzie nużącym leżał chory, ale oświadczał, że ostatkiem sił na koń sięść gotów.

Znajdowali jednak Potocey i książę Zbarański, iż bez niego obejść się potrafią.

Zapytanie ostateczne wojewody ruskiego wywołało rumieniec na bladą twarz Zygmunta.

Nie nęgało wątpliwości, że po tylu wezwaniach do zgody, które tylko zachwalstwo zwiększały, ustąpić nie było podobna.

To słowo jednak: wojna, bój, krew, nie mogło przejść przez usta pobożnemu panu. Na krótką chwilę cofnął się do namiotu, padł na kolana, modlił się.

Czekano tymczasem. Senatorowie patrzyli po sobie. Zdania ich były podzielone. Spierano się od rana i jedni utrzymywali, że król nie zawaha się dać hasła do boju, drudzy zaręczali, że *cunclator* zwlecze jeszcze, a rokoszanie ujdą.

Żółkiewski więcej może znudzony głuchą walką jaką już przeciwko niemu prowadzono, leżał pod swoim namiotem.

Nasz Bajbuza niespokojny czekał niedaleko królewskiego na rozstrzygnięcie ostateczne, gotów je zanieść hetmanowi.

Z nim razem dosyć starszyszy wojskowej również niespokojnej o koniec, stało z twarzami, na których najrozmaitsze uczucia czytać było można. W jednych budził się niesmak i znużenie, drudzy zdawali niecierpliwi dobrać raz oręż i skończyć nieznośne targi. Nikt jednak się nie odzywał i nie śmiał wyprzedzać rozstrzygnięcia, a ci co po cichu szeptali między sobą, wszyscy byli przeciwko bratniej walce.

Pękośławski starosta sandomirski stojący tu też powtarzał swoje.

— Ciekawym spotkania z bratem Prokopem, jeżeli los nas zbliży na pobojuwisku. Czy ja go rąbnę, nie wiem, ale że on oszczędzać nie będzie gdy się zapali, to pewna.

Smutny uśmiech krzywił mu usta. Wtem namiotu opłotki się podniosły, drgnęli wszyscy, król wychodził, ale i teraz gdy już niósł dojrzwały wyrok, na jego zimnej, martwej twarzy nie wyczytać nikt nie mógł. Królewską tę moc nad sobą miał nawet w najboleśniejszych chwilach żywota, słuchając obelg i wyzywań.

Szedł powoli i nieco opodał stojącemu Januszowi księciu Zbarażskiemu dał znak ręką, aby się zbliżył. Dla wtajemniczonych starczyło to za słowo.

— Oddaję wam straż osoby mojej — rzekł głosem słabym jak zwykle — a razem dowództwo nad wojskiem. Bóg widzi, że się nie spodziewałem przeciwko tych kiedykolwiek walczyć, którzy mnie bronić są obowiązani. Stało się, pycha nieukrócona przywiodła do tej ostateczności, niech Bóg co w sercach naszych czyta, który nas sądzi, rozstrzygnie między nami. Jeżeli krew się bratnia poleje, was wszystkich biorę za świadków, że do chwili ostatniej pragnął tego uniknąć. Zmusili mnie zuchwali.

To mówiąc król rękę wyciągnął i dworzanin

z pod namiotu poskoczył niosąc złożony hełm, który Zygmunt powoli drżącemi rękami włożył na skronie.

Ks. Zbarański dał znak i w szeregach trąby zagrały.

Co naówczas zaszło, trudnem jest do wytłumaczenia.

Ze strony królewskiej w szeregach panowało rozdrażnienie i zapal nieopisany. Widziano ile razy Zygmunt próbował skłonić do układów, zachwałstwo strony przeciwnej przechodziło wszelką miarę.

W niektórych regimentach, nie czekając rozkazów, kopijnicy złożywszy drzewce już chcieli się rzucić na szeregi naprzeciw stojące. Piechota cudzoziemska, ludzie zaciężni, którym tylko łup pachniał, wołali wszystkiemi językami: Naprzód! naprzód!

Tymczasem gdy pułki już się ruszają naprzód, senatorowie siadającego na koń otoczyli króla.

— N. Panie! — zaczęli wołać starsi — tyle już czasu zeszło... jeszcze spróbujmy azali okropnej bratniej nie unikniemy walki.

Król, jakby na to czekał tylko, zatrzymał się zaraz.

— Czyńcież co się wam zda lepszem. Raz jeszcze zdaję się na was, ale koniec temu położyć musimy.

Senatorowie jedni dziękować, drudzy natychmiast o konie i ludzi wołać zaczęli.

Księciu Zbarażskiemu posłano życzenie króla, aby zwłóknął jeszcze.

Być bardzo może, że krok ten starszyzny wywołanym był widokiem tego, co się działo w obozie przeciwnym, a raczej w szeregach.

Zdała nawet można było rozpoznać, że Zebrzydowski nie był panem rokoszanów. Łamały się ich linie, kupami zbiegali niektórzy, naciskano na dowodzących, kilka chorągwi obalono na ziemię. Wrzawa dochodziła aż tutaj.

Kto pierwszy rzucił tę iskierkę buntu w buncie, rokoszu przeciwko rokoszowi? dojść było niepodobna, ale jak ogień po suchej trawie poszła płomieniem.

— Wy coście tego nawarzyli! no! idźcie wy się bić, my nie chcemy! To wasza sprawa. Przepróście króla. Nam co potem, czy wy, czy inni, czy ktokolwiek na krzesłach kurulskich siedzieć będzie i starościński chleb zjadał. Nam co po tem?

Zebrzydowski osłupiał. Muszkiety mu i drzewca rzucono pod nogi.

— Idźcie się wy bić! nam co z tego!

Sam wojewoda musiał na koń siąść i objeżdżać szeregi zaklinając, aby pod bronią pozostali przynajmniej w porządku. I tego się było trudno doprosić.

Wyrzekano na niego i odgrażano się, bo widziano do czego kraj przyprowadził i rokoszanów.

Gdy tak w chwili pogromu, senatorowie wszystko wstrzymali, a król się na ich rozum zdał, Zebrzydowski został zmuszony pogroźkami, krzykiem i zupełnym buntem, wysłać do króla sam z prośbą o rozmowę.

Ponieważ z tamtej strony przewodził Radziwiłł, król wyznaczając od siebie senatorów wybrał nieprzyjaciela jego Alex. Chodkiewicza wojewodę trockiego, Adama Czarnkowskiego łęczyckiego wojewodę, Ossolińskiego podskarbiego i Prytwica kasztel. kamienieckiego, z tych sławnych pogromców tatarskich.

Zebrzydowski sam przybył z Radziwiłłem, ale znowu ustępstw żadnych i pokory nie przyniósł, żądał zadosyćuczynienia żądaniom rokoszan, a dopiero naówczas obiecywał wiarę królowi poprzysiądz. W końcu uderzył się w piersi zaklinając się, że od tego nie odstąpi, choćby miał życie stracić.

Dodać należy, iż między żądania rokoszanów włożył wynagrodzenie ich za poniesione straty.

Zuchwalstwo to w tej chwili wyglądało na urągawisko... porwali się senatorowie oburzeni, a dwu Stadnickich wiernych Zygmunтови przyskoczyło do Zebrzydowskiego krzycząc.

— Ty herszcie buntowników, zabójco własnej ojczyzny... ty, czy i teraz jeszcze szatańskiej nie ukorzysz dumy?

Zebrzydowski zbladł i milczał, bo wiedział, że ze Stadnickimi ani na słowa, ani na pięści walczyć nie było wygodnie. Zaczęto łagodzić i uśmierzać, tymczasem biegały poselstwa do króla i od króla, choć słaba była nadzieja, ażeby z Zebrzydowskim można co dokazać.

W imieniu króla zażądano od Zebrzydowskiego wiadomości od kogo wiedział, iż król zamierzał królestwo swe sprzedać?

W czym król *absolutum dominium* sobie przywłaszczał?

Kogo z pp. senatorów obwiniają o złą wiarę i o niebezpieczne rady?

Oprócz tego król żądał zaprzestania zwoływania tych zjazdów, budzenia niepokoju, robienia rokoszów, a kazał czekać spokojnie przyszłego sejmu. Ponieważ wieczór nadchodził, zaraz Zebrzydowski miał z Radziwiłłem przyjść do ucałowania ręki króla.

Oparł się wojewoda — Co za gwałt? na co ten pośpiech? będzie na to czas, aby królowi okazać należne poszanowanie.

Oczywistem było, że Zebrzydowski tylko zwłokę tym sposobem targował a o zgodzie na prawdę nie myślał. Senatorowie tedy znowu posłali Daniłowicza z groźbą, że albo zaraz przyjdzie, ukorzy się i przyjmie warunki, albo przebaczenia nie otrzyma.



Wojewoda zwrócił się do swoich, podchodząc wściekły do szeregów rokoszan.

— No, to lepiej ginać! do broni! za mną, precz z tem jarzmem.

Ale go zagłuszono, ciskając ze szczękiem oręż na ziemię, odstępowali go wszyscy.

— Nie chcemy! dosyć tego wodzenia nas po rozstajach... nie będziemy się bić dla senatorskich kieszeni i tytułów.

Zaczynały się chorągwie poruszać nad głowami i lud ruszać, chcąc do króla iść z submisją. Opuszczony od swoich wojewoda pienieł z gniewu. Nie takiego się spodziewał końca.

— Dobrze — poskoczył do Czarnkowskiego — dobrze, ukorzę się przed królem, ale dostojęnstwa wojewody nie mogę walać i kalać, mnie się też wzgląd jakiś należy.

Ja to sobie waruję, wyjedzie król na koniu, to i ja mam prawo mu się stawić na koniu i tak go będę witał. Zechce król zsiąść, to będziemy przeciwko sobie iść równo, nie ja sam do niego, ale tak dobrze on do mnie, jak ja ku niemu.

Stadniccy śmiać się poczęli. — Suknię mu wzięto — zawołał jeden — a ten się o guzik oberwany kłóci!

Znowu te szalone wymagania poniesiono do króla, który podniósł oczy w niebo milcząc, a O. Bernard szepnął. — Szatan go opętał.

Tymczasem wieczór się zaczynał robić, rozpalono mnóstwo pochodni, i ludzie wołali.

— Idą! idą! — A drudzy krzyczeli.

— Zgoda! zgoda!

Kto tu w tym ostatecznym momencie rej wiódł, kto prowadził i kierował tak z jednej strony jak z drugiej, nie można było ani naówczas widzieć, ani później dojść. Coś było w tem wszystkim, można powiedzieć, opatrnościowego. Popychano Zebrzydowskiego, głuszono go. Konie szły naprzód jakby same. Wszyscy czuli i widzieli, że się zbliżają do miejsca, w którym król stał i w istocie ukazał się Zygmunt we zbroi, konno, z szyszakiem na głowie opasanym koroną, a dookoła niego senatorowie konno też. Wszyscy oni stali w miejscu wcale się nie myśląc na spotkanie Zebrzydowskiego poruszać.

Tymczasem gromadka ta, w której on był z Radziwiłłem, jechała dalej, ale wtem Chodkiewicz krzyknął:

— Stój! zsiadajmy z koni.

Wszyscy też poczęli posłuszni zsiadać, tylko Zebrzydowski się nie ruszał.

Ale ze wszystkich stron krzyczano na niego.

— Zsiadaj!

Stadnicki Adam porwał go za delię i ciągnął.

— Złaż z konia!

Nie mogąc się opierać wojewoda zmuszony, widząc że nie da już nic sprzeczką, skoczył

z siodła rozjuszony, rozpychając tych, co stali koło niego.

Ci, co go otaczali, zmusili go posunąć się naprzód... szedł z głową spuszczoną, a z krwawych powiek łyzy gniewu się dobywały. Ani wiedział już jak znalazł u ust swoich białą rękę królewską, do której wargi rozpalone przyłożył.

— Mów! mów! — naciskano zewsząd.

Zebrzydowskiemu tchu, siły, odwagi brakło. Podniósł nareście głos.

— Za świadka biorę Boga, przed którego strasznym sądem stanę, żem od początku aż do tego kresu, gdy gotów byłem krew przelać dla Rzeczypospolitej, wszystko czynił tylko w widoku dobra jej. Ślubuję odtąd wiarę W. Król. Mości, ale w nadziei, że żądaniom narodu zechcesz uczynić zadość!

Równie dumnie po nim oświadczył się Radziwiłł.

— Com czynił — rzekł — to nie dla obrazy majestatu, ale przykładem przodków mych, stałem przy wolnościach naszych i tych, choćby gardło dać przyszło, jako prawy szlachcie, nie odstąpię!

Wystąpił z odpowiedzią zamiast podkancle-rzego marszałek Myszkowski.

Tak przy blasku dogasających pochodni skończyła się nie przeciągając już scena, której nikt

zrana przewidzieć nie mógł, a teraz jeszcze ledwie ci, co mniej byli czynni, umieli ją sobie wytłumaczyć.

Król natychmiast znużony zwrócił do namiotu, naprzód Panu Bogu dziękować. Radziwiłła i Zebrzydowskiego, przygniecionych, milczących jawnie jeszcze targających pęta, które czuli na sobie, Czarnkowski na noc wziął do namiotu swojego.

Jaki tam był spoczynek ich, łatwo odgadnąć. Patrzyli na siebie nawzajem niemal wyrzucając ten koniec nieszczęśliwy.

Hetman Żółkiewski był sam w namiocie. Przybiegł do niego rotmistrz gdy już wszyscy się rozeszli.

— A cóż? szczęśliwy koniec bezemnieście osiągnęli? — odezwał się Żółkiewski — tem lepiej. Będę mógł kwarcianych nazad poprowadzić nad Dniepr, gdzie są potrzebni, a i moje miejsce nie tutaj.

Spojrzał na Bajbuzę, który weale na szczęśliwego nie wyglądał zwyciężcę.

— W miłość to nazywacie końcem! — odparł rotmistrz. — *Utinam sim falsus vates*, ale daleko do końca.

Głową potrząsał.

— A toż co? Zebrzydowski króla przecież przeprosił i w rękę całował, rokoszanie jutro broń składają, reszta na sejm zdana.

Bajbuza milczał.

— Nie wiem — rzekł — ale z twarzy Zebrzydowskiego ani Radziwiłła skruchy, żalu, poddania się nie było widać. Gryźli wędzidło pieniać, a będą-li mogli je zrzucić!...

Zresztą nigdyby do tego nie przyszło, gdyby szlachta gwałtem nie zmusiła, widząc że rzeź nieuchronna. Pchano wojewodę.

Żółkiewski nie mówił nic.

— A wy mości rotmistrzu — odezwał się w końcu — co ze swymi kopijnikami myślicie, gdy ich tu nie będzie król potrzebował?

— Miłościwy panie — westchnął Bajbuza — tak jakoś mimo mej woli zabrnąłem daleko, iż sądzę, że czasby do domu na rozpamiętywanie mych grzechów powrócić.

Ze swobodnego ziemianina stałem się prawie kortezanem; król mi już po dwakroć podkomorstwo jakieś dawać chciał, alem ja się do tego nie zdał. Ludzi przy panu dosyć jest, ja się nie czuję potrzebnym.

— Ja też radbym ztąd daleko być — odparł Żółkiewski — bo żołnierzowi tylko w obozie zdrowo. Panowie Potoccy we trzech na teraz królowi starczą. Ja mam co czynić na kresach.

Cieszę się, że kwarciani samem przybyciem szalę przeważyli, ale dalej gdybym tu pozostał,

jużby mi ludzie zazdrośni pod nogami doły kopali. Szkoda waszmościnych kopijników, że się znowu rozejdą, boś miał ich dobranych szczęśliwie, ale ja was do siebie nie namawiam, bo wiem, że bez żołdu służycie zdawna, nie godzi się więc, abyście ponosili ofiary bez wynagrodzenia.

— I owszem — odparł Bajbuza żywo — jam wolny, a lepszego nie mam do czynienia nic, ale niebezpieczeństwo teraz nie grozi żadne... Spocznię.

Westchnął, ale w tejże chwili uśmiechnął się i dodał.

— Byle się jutro nie okazało, żeśmy rokoszowi głowy nie ucięli, albo mu ona przez noc odrosła! Naówczas i miłość wasza i ja, pozostaniemy aż do tej godziny strasznej, gdy się krew poleje.

— Niech się ona nie przelewa! — przerwał Żółkiewski.

Na te słowa wszedł stary Pękosławski.

— A co, panie starosta, winszować sobie mamy — rzekł hetman. — *Si finis bonus laudabile totum.*

— Ino że ja końcowi nie dowierzam — mruknął Pękosławski — Zebrzydowski do namiotu wchodził jak pijany upokorzeniem. Czarnkowski chciał ich karmić i poić, zamknęli się

z Radziwiłłem na radę, a co jutrzejszy ranek  
nam przyniesie?

Ruszył ramionami.

— Nagle się to jakoś bardzo stało! — doło-  
żył starosta.

---

## V.

Dzień następny rozpoczął dla Zebrzydowskiego długi szereg dni ciężkiej pokuty, który śmierć dopiero zamknąć miała. Jasne światło poranka wszystko co wczoraj w gorączkowem usposobieniu działo się przy gasnących pochodniach, wśród nocnych mroków, czyniło niemal nieprawdopodobnem. Gdy po naradach burzliwych trwających niemal do świtu, ujęci snem twardym, duszącym jak zmora, Zebrzydowski i Radziwiłł oprzytomnieli przypominając sobie co się działo wczora, wojewoda krakowski załamał ręce... srom i gniew krwią mu oblewały czoło.

Byli jeszcze we dwu sami. Radziwiłł chodził milczący, dysząc jakby ze znużenia.

— Nie! — to nie może być... to się musi naprawić! Niegodziwa ta hałastra, ci tchórze.



Zostaliśmy sami... nie było co począć... ale na tem nie koniec.

Spojrzał na Radziwiłła, który posepny stał i poruszał ustami tylko, jakby w zębach chciał zgryźć wrogów.

Radziwiłł uchylił w namiocie okienko. Słysząc było pod niem głosy pomieszane, wśród których Zebrzydowski rozeznawał znane rotmistrzów swoich. Przypomnienie wczorajszego ich nalegania, oporu, zdrady, oczy mu zapaliło nowym gniewem. Radziwiłł przysłuchiwał się rozmowie ich ze starszą kwarcią, wśród której i nasz rotmistrz Bajbuza się znajdował, wysłany przez Żółkiewskiego. Jeden z dowódców rokoszowych, mąż pięknej postawy, rycersko wyglądający, strojny wytwornie, wołał głośno.

— Nie czyńcież nam tego sromu, jesteśmy bracią waszą przecie, choć nas zwaśniono. Nie my wiemy, bośmy nie poczynali. Starszyna wołała, niech ona odpowiada, imby karki nagiąć i na nich poszukiwać wszystkiego złego.

Nie każeć nam jak ladajakim ciurom w obce wojska składać broni... srom, zakała. Postąpcież po ludzku, po bratersku, złożym za szeregi broni na wozy.

Bajbuza się wyrwał pierwszy.

— Trzeba na to przyzwolenia królewskiego, ja idę natychmiast na zamek, czekajcie mało, nie wątpię że je przyniosę. Żądanie wasze pocziwe,

stanie mu się zadość. Nam dziś o tem myśleć, jakby zatrzeć ślady rokoszu a nie wytykać tych, co się nim dali obalamucić.

Szybkim krokiem poszedł, a tuż pod namiotem rokoszowi narzekać poczęli, tak że ich wyrazy do uszu dowódców dochodziły.

— Rokosz ich sprawą — wołali — jednemu buławy, drugiemu wojewodzińskiego stołka odmówił król, innemu starostwa, więc rokosz, a my biedacy mieniem, życiem, ba i czią musieliśmy się oddać. Bodaj ich Bóg karał i pomsta nie minęła.

Zebrzydowski chwycił się za głowę.

Po krótkiej chwili wrócił Bajbuza z twarzą wesołą i zdala zawołał.

— Stanie się jak waszmość żądaliście, a gdy broń złożycie, przyjdźcież do króla pokłonić się, przyjmie was.

Rotmistrze pośpieszyli z radością wiadomością za szeregi.

Dwaj dowódcy rokoszu zaledwie mieli czas pozrzuć suknie kazać sobie podać, gdy wszedł Czarnkowski wojewoda łęczycki.

Powitanie z jego strony było dosyć uprzejme, Zebrzydowski zaledwie głową skłonił.

— Czekamy panie wojewodo — rzekł do niego — abyście wczoraj umówionych dopełnili warunków.

Na to Zebrzydowski odskoczył, udając podziwienie.

— Jakich warunków? ja o żadnych nie wiem?

— Jakto? — obrażony odparł Czarnkowski — wszakżeście się zobowiązali wyjawić te tajemnicze pobudki, które was do tak stanowczego kroku jak rokosz skłoniły?

Król się domaga objawienia tej tajemnicy, winniście ją dla własnego usprawiedliwienia. Nam naostatek senatorom zależy na tem, abyśmy wiedzieli kto z pośród nas doradzał królowi zdradę, kto mu *absolutum dominium* radził, kto frymarki ułatwiał. Ogólne obwinienie nas wszystkich podejrzanymi czyni.

Zebrzydowski jak był nawykł czasu rokoszu, począł się zżymać, rzucać, burzyć i opierać.

— Cóż to tak pilnego — zawołał — na to się znajdzie czas i miejsce. Chcecie mi tu jak pojmanemu jeńcowi jakieś narzucać warunki, jam tu dobrowolnie przyszedł, ja nie dam się oprymować. Przed sejmem stanę, tam miejsce.

— Królowi też przysięgę wierności złożycie — dodał Czarnkowski.

— Ja mu jej nie złamałem! — krzyknął wojewoda — nanowo przysięgać nie będę.

Co to są za exorbitancye, co za opresya! Ja tego nie zniosę!

Czarnkowski słuchał cierpliwie. Chciał z po-

czątku zawiązać z nim o to rozprawę, ale parę razy rzuciwszy po słowie, gdy Zebrzydowski mówił mu nie dawał, milczący wyszedł.

Upłynęła chwila długa. Dworzanie Czarnkowskiego przynieśli ranną polewkę i przekąski, ale wojewoda ich nie tknął. Napił się wody. Radziwiłł spory kubek wina wychylił jeden po drugim. Dokoła namiotu słyszeć było przesuujące się głosy rotmistrzów idących do króla.

Zebrzydowski zamknięty w namiocie jak w więzieniu podnosił opłotki, wyglądał i czekał z coraz większem rozdrażnieniem.

Tym razem nie Czarnkowski wszedł napowrót, ale komornik królewski oznajmując, że panowie senatorowie z ks. biskupem przemyskim zgromadzeni, oczekują na ichmościów.

Radziwiłł i Zebrzydowski spojrzeli po sobie znacząco, wzięli za czapki i milcząc szli do izby, w której na nich oczekiwano.

Tu dla Zebrzydowskiego zapowiadała się walka, Radziwiłł mało się do niej chciał mieszać. Zagadnięty odpowiadał krótko, dumnie i jakby gardząc wszelkiem usprawiedliwieniem.

Zebrzydowski z zuchwalstwem, które go nigdy nie opuszczało, naprzód do izby wszedłszy na ławach między senatorami miejsce sobie wyszukał i zajął je, cisnąc się jak przystało krakowskiemu wojewodzie, co najwyżej.

Z czołem podniesionem wcale nie wyglądał na obwinionego, raczej na mściciela.

Biskup Pstrokoński, kanclerz, począł dosyć łagodnie od powtórzenia tego, co Czarnkowski zapowiedział.

Głośnem było nietylko między rokoszanami, ale po całej Rzeczypospolitej to nieustanne odgrążanie się Zebrzydowskiego, że tajemnice wiedział straszne, że one go zmusiły do rokoszu, że miał dowody zbrodniczych zamiarów króla i niecnych rad, jakie mu dawali senatorowie.

Wychodziły tu znowu na jaw owe tak zwane rakuzkie praktyki, frymark korona, zamysły narzucenia Rzeczypospolitej *absolutum dominium*. Ale te wieści kilkadziesiąt już lat powtarzane do znudzenia, które pierwszy na sejmie inkwizycyjnym Zamojski objawił, raz naostatek dowodami poprzeć było potrzeba.

Owa tajemnica Zebrzydowskiego nie mogła być czem innem tylko odsłonięciem straszego spisku. Wszyscy senatorowie domagali się objawienia kto był sprawcą, kto winowajcą; król niemniej nalegał.

Zebrzydowski począł się tłumaczyć... ale gniew i rozdrażnienie tylko dawały się czuć w jego mowie; domagano się faktów, imion, dowodów, tych nie dawał.

Plątał się, oburzał, motał, a naciskany coraz

bardziej wybuchał, ostatecznie powtarzając tylko rzeczy po tysiąc razy już na wiatr rzucane.

Naciskany, opasany zewsząd, zmuszony wreście, aby niezwłocznie odkrył te tajemnice, o których ciągle w czasie rokoszu głosił, opierając na nich zwoływanie wszystkich zjazdów, ogłoszenie rokoszu i t p, Zebrzydowski w ostatku wymienił Myszkowskiego marszałka, którego między senatorami nie było w izbie, jako człowieka, który o zamiarach króla pozbycia się korony głośno mówił.

Posłano do Myszkowskiego, który chorem się tego dnia uczynił, aby z Zebrzydowskim nie spotykać.

Marszałek jak najuroczyściej zaprzeczył, iż nigdy z wojewodą o niezem podobnem mowy nie było; żądał okazania miejsca i czasu.

Zebrzydowski mięszał się coraz bardziej. Przyznał wreście, że on sam o tem z Myszkowskim nie mówił, ale mu powtarzali te słowa ichmość pp. Stefan Kazimirski i Stanisław Chełmski, pierwszy miał to w Tarnowie słyszeć z ust marszałka, drugi w Krakowie.

Odniesiono to choremu Myszkowskiemu, a tymczasem półgłosem, szydersko na ławach senatorskich szeptano: *Nascitur ridiculus mus.*

W istocie wielkie te i straszliwe tajemnice, co wstrząsały rzeczpospolitą, sehodziły do rozmia-  
rów baśni i plotek ulicznych.

Myszkowski z oburzeniem przeczył, a dodawał, że niegodnem było imiona Kazimirskiego i Chełmskiego stawić, gdy ich tu nie mieli pod ręką i za świadków pozwać nie było podobna.

Nic więcej nad to nie było podobna wydobyć z wojewody, który tem mocniej się burzył i rzucał, im sam czuł jak jego zeznania blahy i nedorzeczny powód ogromnemu zawichrzeniu rzeczypospolitej nadawały.

Dla tego więc, że ktoś królowi przypisywał niczem niedowiedzione jakieś frymarki, wojewoda musiał aż rokosz i pospolite ruszenie wywołać!

Ze wszech stron najgwałtowniejsze mu czyniono zarzuty i wymówki, na które wielkimi ale czczemi wyrazy z dumą i lekceważeniem odpowiadał.

Na tem się to miało mizernie skończyć, z upokorzeniem nicznośnem dla Zebrzydowskiego, gdy szmer i rozmowa żywa u drzwi słyszeć się dały i prawie gwałtem je rozwarłszy, weszli całą gromadą główniejsi rotmistrze ze starszą ręką rokoszową.

Na widok ich wojewoda pobladł z gniewu, domyślał się wystąpienia sobie nieprzyjaźnego.

Na przedzie stojący Górski zwrócił się nie do Zebrzydowskiego, ale głównie do senatorów i ks. Pstrokońskiego.

— Myśmy dla onych tajemnic p. wojewody

na koń siedli, słuszną ażebyśmy wiedzieli czego omal życiem nie przypłaciliśmy.

Z rodzajem szyderstwa wymówione wyrazy i spojrzenie na zgnębionego Zebrzydowskiego miało już wybuch jakiś z jego strony ściągnąć, gdy zapobiegając mu, odezwał się łagodnie Gostomski.

— Mamy za co P. Bogu podziękować, iż rozpędził chmury nad rzeczpospolitą wiszące. Z tego co nam tu p. wojewoda krakowski objawił widocznem jest, że ani król praw żadnych nie złamał, ani senator go żaden do tego nie skłaniał. A co było powodem do podniecenia rokoszu, o tem się waszmość dowiecie z pism jego, które ogłosi.

— Mybyśmy-bo radzi o tem z jego ust posłyszeć — rzekł Górski śmiało się zwracając ku niemu. Inni rotmistrze butniej jeszcze i natarczywiej zaczęli się cisnąć ku wojewodzie, a postawy były tak groźne, iż wojewoda poznański musiał pośredniczyć, aby Zebrzydowskiego od nieprzyjemnych następstw ochronić.

Tak się rozegrała jedna ze scen tej tragikomedyi rokoszowej w izbie senatorskiej, z której jak wówczas mówiono, Zebrzydowski wyszedł istotnie jak z łaźni. Łatwo jednak było przewidywać, że za ten srom, upokorzenie, za to stanie kilkogodzinne pod pręgierzem, na spytkach, taki



wiechrzyciel gwałtowny, człowiek tak zręczny, powetować zechce i musi.

Nie upłynął dzień ten cały, gdy się to już czuć dało.

Po złożeniu broni, rokoszanie się zaczęli rozchodzić i rozjeżdżać, ale sąsiedzi, znajomi, krewni, mający swoich w wojsku królewskim nie mogli się nie dowiadywać o nich. Spotykano się na drodze. Następowaly zaproszenia pod namioty i do szałasów pod wieche, których wiele obozy otaczało.

Tu się tedy poczęły serca otwierać.

Z rokoszan wielu już klęło wojewodę, ale znaczniejsza część broniła siebie, jego broniąc.

Bajbuza, który na wszystko miał oko baczne, przechadzając się po obozie, przysłuchując, rozmawiając sam z rokoszanami, poczuł w tem potajemną jakąś robotę Zebrzydowskiego.

Zbyt jednostajnie w różnych stronach, z ust różnych powtarzały się dane z góry nauki. Rokoszanie się użalali nad losem wojewody i u niektórych znajdowali posłuch.

Najzabawniejszem ze wszystkiego było, że przechadzający się tak Bajbuza natrafił pod jednym z szałasów znajomego sobie Gubiatę, ze swadą nadzwyczajną broniącego wodza rokoszan, do których nigdy nie należał.

Był to widocznie świeżo zaciągnięty szermierz, który sobie za język zapłacić kazał i nosił się z nim od namiotu do namiotu.

Gubiata miał ten dar, że do szlachty drobnej, z której był krwi i kości, umiał mówić jej językiem, jej pojęciami.

Niepostrzeżony w mroku, Bajbuza stał i słuchał. Gubiata grał rokoszanina doskonale.

— A godzi się to mospanowie bracia, abyśmy tak tego wodza naszego w nieszczęściu opuścili? Pośliznęła się noga! Czy on winien temu? Toż go zdrajcy tacy jak Dyabeł i inni opuścili i na łup królowi dali.

Czy to on złego chciał? he? czy my, co jesteśmy nasieniem narodu i jego najlepszą częścią, ukorzym się tak panom senatorom, żeby im go wydać na męki? Oni go ukrzyżują!

Trzeba, żeby wszystka szlachta i królewskie wojsko też broniło go! nie dopuściło infamii i potępienia. Gdyby mu się było powiodło? he? dopieroby go na ołtarz nieśli... padł ofiarą...

— Ależ bo winien — zawołał ktoś z boku — winien, niech pokutuje.

— Nie winien! — krzyknął Gubiata. — Chciał dla nas dobrego...

— A narobił licha! pocóż się brał, kiedy nie zdurzał!

— Gadaj waszmość zdrów — przerwał Gubiata — onby był na swem postawił, ale go zdradzano na każdym kroku. Zazdrościli mu, że rósł, zlekli się, że on tu całą rzeczapospolitą zawładnie.

— A pewnie — zawarczał inny — ma kto władać, to wolę króla, co nam go Pan Bóg dał, niż takiego, co się chytrością narzucił.

Gubiata wziął się w boki.

— Siłaby o tem mówić — rzekł. — Dziś na obalonego łatwo krzyczeć, ale to był mąż, to był mąż!

Ktoś się rozśmiał.

— Herburtównej mąż! — zażartowano.

Nie zmięszał się Gubiata.

— Widzisz waszmość — wtrącił — i w tem był rozum nawet, że się z Herburtówną żenił, bo wiadomo, że Herburtowie są wszyscy nie dworacy, nie lizuny, ale rokoszanie. A kto mu testamentem zlecił syna i majątek? no i cały rozum statysty przekazał? hetman Zamojski.

— Tem się nie chwał — rzekł drugi — bo hetman w wojsku był żelazną ręką.

Gubiata zwrócił rozmowę.

— Jak Boga kocham, trzeba go bronić — dodał.

— A no jak?

Nastąpiło milczenie.

— Jak? — zamruczał Gubiata — nim się na cztery strony świata rozleziemy, powinniśmy pójść do pp. rotmistrzów i nasiąść na nich, aby oni do króla w poselstwie się udali za Zebrzydowskim.

Senatorowie go zgryzą, zjedzą, zniszczą. Wie-

dzą, że on ich wszystkie niepocziwe tajemnice, konszachty, targi, frymarki zna i penetruje. Przepadnie Zebrzydowski a z nim szlachta cała, bo to był jej obrońca.

Śmieli się jedni, ale byli i tacy, co potakiwali.

— Albo to nie było pięknie — mówił dalej niepocziwy burzyciel — widzieć jak przed tym stutysięcznym tłumem naszym bledli staruszkowie senatory i cicho odmawiali Zdrowański. Co to my znaczyli pod Zebrzydowskim? nie stanie go, nie stanie nas, rozpędzą i znowu toż samo jarzmo nam nałożą.

— Jakie jarzmo? — zapytał ktoś.

Gubiata musiał się namyśleć trochę, nim do wyjaśnienia jarzma przystąpił, ale figurą retoryczną zręcznie się z tego wyplątał.

— Waszmość pytasz, jakie jarzmo? — zawołał — albo go na szyi namulanej nie czujesz? Nie wiecie więc, jakie jarzmo nosimy? O *tempora!* o *mo-res!* a więc już tak odrętwieliśmy, iż nawet sromoty i niewoli naszej nie czujemy, i że pytamy kędy jarzmo, gdy ono nas dusi?

Uśmiechał się Bajbuza i chciał z pogardą odchodzić już, gdy się głosy zerwały, że do króla poselstwo za Zebrzydowskim powinni rokoszanie wyprawić, a do niego i inni z rycerstwa się przyłączyć.

Popierano wojewodę, wołano, że go dworakom,

niemcom i włochoom na pastwę się dawać nie godzi. Czynniejsi tego ruchu motorowie krzatali się już, gdy rotmistrz z tyłu stojący za Gubiata, za kołnierza go ujął i jak piłką nim rzucił.

Przerażony krzyknął litwin, ale poznawszy Bajbuzę, oniemiał.

Zląkł się okrutnie.

— Za mną! — zawołał rotmistrz — słyszysz? za mną!

Nie mógł się opierać Gubiata, bo wiedział, że z rotmistrem żartów nie było, poszedł ze spuszczoną głową posłuszny. Nie mówiąc do niego słowa, Bajbuza go do swojego namiotu zaprowadził i na wstępie rzekł do Szczypiora.

— Wziąć go pod straż, a jeśli się będzie wysliznąć próbował, to go związać.

Z oburzeniem wskoczył zaraz za rotmistrem do namiotu niezmiernie poruszony litwin.

— Za pozwoleniem — zawołał — ale ja jestem, zdaje mi się, wolny człek, szlachcic, i mnie tu nikt nie ma prawa sekwestrować i więzić.

— Więc o to się rozprawisz później — rzekł Bajbuza — ja ci nie ucieknę, ale ty mi kwarcianych tu buntujesz, tego ja dopuścić nie mogę.

— Albo mnie rokoszaninem być nie wolno — odparł łagodniej Gubiata — bądź waszmość sprawiedliwym tak jak bywałeś dotąd.

Proszę o ucho łaskawe. Nic nie jestem winien! nic. Mówię co myślę, a myślę, co mi...

— Kazano myśleć i mówić — przerwał Bajbuza. — Ile ci za to dali?

Gubiata spuścił głowę i potrząsł nią.

— Nie dano mi nic — rzekł krótko.

Śmiał się rotmistrz.

— Nie wykłamięs mi się — dodał — do jutra, póki się rokoszanie nie rozejdą i wszystko to nie skończy, posiedzisz pod strażą.

Gubiata tarł czuprynę.

— Mniejsza z tem — rzekł — ale muszę przypomnieć, że nawet jeńcom wojennym należy się głodu i pragnienia ich zaspokojenie.

Nie odpowiadając Bajbuza się zbliżył ku niemu.

— Słuchaj, trutniu! — rzekł — mów mi prawdę! Kto cię najał, abyś siał tu rozterki... co ci dali?

— Sumiennie mogę wyznać, iż poważnej osobistości, która mnie skłoniła do tego, żem w imię miłosierdzia za Zebrzydowskim przemawiał, nie znam. Ale miał na sobie delię dostatnią i rysiem podbitą, a rysia lada kto nie nosi. Neguję jak najuroczyściej, ażeby mnie miał przekupić, nie jestem sprzedajny. Dał mi odchodząc, gdy już byłem przekonany, dwa talary, widząc że butów będę potrzebował bardzo rychło... ale od brata szlacheica się przyjmuje pomoc na czei nie szwankując.

To mówiąc złagodniał znacznie Gubiata.

— Ja do rotmistrza najmniejszej urazy nie mam za przytrzymanie — dodał — chociaż jest ono ograniczeniem swobody mi należnej, a u mnie *aurea libertas ante omnia*, ale znając serce miłości waszej, wiem, że to się stało omyłką. Nie ruszę się ztąd, i owszem, pozostaję aż do końca.

Gdybym kącik miał, tobym mógł dalej przepisywać Rokosz Gliniański, który rozpocząłem właśnie.

I pomacał za żupan wsunięte papiery.

— Historya bardzo ciekawa — rzekł — a może miłości waszej nieznana.

— Daj mi pokój — mruknął Bajbuza. — Kłamstwa są.

— Kłamstwa! — zawołał Gubiata — a któżby mógł wymyśleć wszystkie okoliczności?

Nie słuchał już Bajbuza i precz mu kazał iść.

To co podobni Gubiacie mniejsi i więksi przygotowywali pociechu, nazajutrz na jaw się ukazało. Poselstwo jakieś od rycerstwa wogóle poszło do Myszkowskiego, domagając się, aby je do króla przypuszczono. Lecz że i ludzie byli podejrzani i cel wątpliwy, marszałek wyszedł się rozmówić z nimi. Od pierwszych słów wydali się z tem, że w sprawie Zebrzydowskiego przychodzili, a niezręcznie wyrywające się wykrzykniki zdradziły, czego żądać mieli.

Myszkowski poszedł się naradzić i powrócił do nich z tem, że król przyjąć nie może, nie

uznając, aby do niego mieli prawo się zwracać od rokoszan już rozwiązanych posłowie. Na sejm zresztą wszystko się odkładało, a król wyjeżdżał natychmiast do Krakowa, gdzie go łatwo znaleźć mogli.

Już też Jakób Potocki dowodzący strażą królewską i kopijnikami wydał do wojska rozkazy, aby zapobiegając wszelkim zmwom, kwarciani i wszelki żołnierz do namiotów Zebrzydowskiego się zbliżać nie śmiał, a rokoszan w obozie nie cierpiano.

Poruszenie umysłów było widoczne, obawiać się mógł łaćno, aby zręczny wojewoda nie korzystał z niego, tembardziej, że — namyśliwszy się — i on i Radziwiłł udawali zupełnie przejednanych, przyrzekali co chciano, zobowiązali się słownie i na piśmie nie zwoływać więcej zjazdów i t. p.

W całym ciągu tego pochodu za rokoszanami i pod Janowcem, nasz Bajbuza bardzo był czynnym, w części z powodu że chętnie się nim posługiwano, wysoko ceniąc człowieka, a daleko więcej z własnego popędu, który go zmuszał badać, przypatrywać się i pragnąć wyrozumieć wszystko, co mu się nastroczało.

Król, który dla niego jak dla znaczniejszej części otaczających go osób okazywał się obojętnym, niekiedy Bajbuzie życzliwie się uśmiechał, kazał mu przychodzić, słuchał i z liczby tych, co się do służby poufałej nie rachowali,



wyróżniał go. Przepowiadano mu, że dostanie urząd na dworze, co on ruszeniem ramion przyjmował.

Czasem go o to zagadywał Szczypior.

— A co to będzie jak król was poprosi: zostań waszmość przy mnie.

— To mu ślicznie podziękuję — mówił Bajbuza — nie mogę. Mamże ci się tłumaczyć? Dopóki to nieszczęsne rokoszowanie trwa, muszę mu służyć, bo mi go żal, a już ci królem naszym jest, ale gdy wszystko wejdzie w karby należyte, jadę do Nadstyrza.

Mówiłem ci, króla mi żal i szanuję go, choć pokochać trudno, a dalej poza nim co stoi, nie podoba mi się. Królowa pobożna, prawda, ale ostra, szorstka i tak nas nie lubi, jak my jej nie cierpimy.

Prawda że znowu trudno od niej wymagać, aby nas kochała, gdy wie, że ją szkalują, męża za nią prześladują, a przeciw niemu spiski wiążą i nie dają mu tchnąć.

Dalej cały dwór jak wyspa na morzu obcy, cudzoziemski i wyjąwszy kilku polaków, Skargę, Myszkowskiego, Wolskiego, co najmiłsze królowi, to zagraniczne.

Wejdiesz tam, zobaczą że polak, milkną wszyscy i patrzą jak na raroga, a poza plecami co się dzieje! nie patrzeć.

Król znudzony temi polityeznemi sprawami,

umęczony, targany, a lubiący spoczynek i zajęcia inne, jestem pewny, że teraz dlatego się najbardziej cieszy ze skończenia rokoshu, iż będzie mógł swobodniej z Wolskim i Sędziwojem prażyć jakieś ingredyencye, co oni alchemią zową, potem śpiewu posłuchać, potem się pomodlić, na klawi-cymbale pobrzakać i tym podobnie.

Jeżeli był stworzony na monarchę, to na takiego, coby tylko w niedziele i święta reprezentował majestat, pięknie się ubrawszy i potem wrócił do ulubionych zabawek. Dobrym jest, ale u nas niedosyć dobrym być.

Królowa więcej ma charakteru, a może najwięcej ta Meyerynka, co wszystkimi wodzi, a nawet biednego Władysława nielubionego przez królowę, broni, osłania i pieści.

Wszystko to OO. Jezuici, Meyerynka, alchemicy, muzyka, złotnicy, gdy się na to zbliżka patrzy, w końcu męczą. Naród się nie przywiąże do takiego dworu, to darmo, a familia królewska, począwszy od małych dzieci nauczona z okien zamkowych na szlachtę przechodzącą pluć...

Nie, nie — kończył rotmistrz — na dworze mi tchuby brakło.

Króla przeprowadzę do Krakowa z jego gwardya, ale dalej nie pójdę, pożegniam i wrócimy.

— A już bo mi się stęskniło za naszym kątem — mówił rotmistrz.

— Żebyście wiedzieli jak mnie? — wyjąknął Szczypior. — Nie żalby było, żebyśmy na wojnę szli, ale to ani pokój, ni wojna, i z kim wojowanie, z biedną szlachtą, którą tacy panowie Zebrzydowscy miotają!

Wkrótce potem ruszono do Krakowa niebardzo śpiesząc.

Jedną z okoliczności, która Bajbuzę zrażała ode dworu, było i to, że choć się nigdy Żółkiewski nie skarżył, widocznie było, iż wpływ jego i znaczenie przez Potockich zostało zachwiane.

Mąż to był nadto rozumny i wielkiego ducha, aby zbyt na utracie faworów cierpiał, lecz niesprawiedliwość bolała. Król dla niego był chłodnym, nie dopaszczał mu się zbliżyć; szacował go, ale może więcej uniżoności i akomodowania się wymagał, więcej głośnych oświadczeń, z którymi Żółkiewski był oszczędny.

Czuł tak swą godność, iż nie przypuszczał, aby jej można było ubliżyć. Nie tak niecierpliwy i gwałtowny jak Chodkiewicz, w spokoju swym daleko był więcej imponującym.

Żółkiewski już był w początku pocieszył się tem, że rokosz nareście skończony i pogrzebiony, lecz, pomimo że na dworze także się tem łudzono, zaczynał powoli wątpić równie jak Bajbuza.

Cały ten przeciąg czasu spędzony napół

w obozie, potroszę na dworze, na starym rotmistrzu zrobił wrażenie smutne bardzo.

Szczypior coraz częściej słyszał go powtarzającego.

— Im człowiek żyje dłużej, tem ludzie mu się wydają bardziej politowania godnymi, a strasznie maluczkiemi stworzeniami. Na kogo tu i na co rachować!

W ciągu podróży do Krakowa rotmistrza wcale do króla nie pozywano, rad był, iż o nim zapomniano — ale się mylił.

Na ostatnim noclegu marszałek Myszkowski wezwał go do siebie, i winszując łaski pańskiej, zapowiedział, ażeby po przybyciu do Krakowa do niego się stawił, bo król z nim się chce widzieć.

— Wdzięchen jestem panu naszemu za jego łaskawość dla mnie — odparł uprzedzając Bajbuza — ale właśnie chciałem się też pożegnać, bo mi do domu potrzeba.

— Cóż waszmość w domu robić będziesz? — rozśmiał się marszałek, który z nim zawsze rozmawiał po włosku. — Wasze miejsce tu, jesteś człowiekiem wychowanym do służby królewskiej. Na żadnym z przymiotów pożądaných ci nie zbywa.

— Dziękuję miłości waszej — skłonił się Bajbuza — alem już mówił i powtarzam to,

właśnie największego dworaka przymiotu nie mam, mówię prawdę.

— Tak, ale musisz ją powiedzieć gładko i zręcznie — dodał marszałek. — Prawda potrzebna jest, a to właśnie sztuka podawać ją tak, aby się nią przyjmujący nie dławili.

Z tem Bajbuzę pożegnał, a gdy wyszedł, Kalińskiego spotkał, który z wielką porciechą swą winszował mu, iż jak słyszał, u króla miał wielkie zachowanie pozyskać.

— No, zobaczysz — dodał Kaliński — że się jeszcze krzeselka dosłużysz i łańcucha.

Łańcuch, o którym wspomniał Kaliński, był rodzajem oznaki szczególnej łaski króla i ozdoby był wielkim wizerunkiem jego. Powiadano, że w części łańcuchy te sam król robił z pomocą złotników. Mieli je naówczas już Mniszech, Bobola, Wolski i Nowodworski. Na dworze ich odznaczano żartobliwem nazwiskiem panów łańcuchowych.

Bajbuza ramionami ruszył.

Wcale się nie dobijał tego odznaczenia, choć wielu nawet panowie, którzy łańcuchów od króla nie mieli, kładli zwyczajne i udawali, że są obdarzonymi, ale się to wprędce wydawało.

Wjazd do Krakowa, choć go chciano uczynić tryumfem, nie był wcale tak świetny, jakim go widzieć pragnęli niektórzy. Ludności się wysypało dosyć ciekawej, ale stała zimna — król nie

obudzał sympatyj, pogrom rokoszan nie wydawał się zupełnym. Coś w powietrzu zwiastowało, że ta obrzydliwa domowa wojna skończoną nie była.

Starsi rokoszanie zamiast się gnać do dworu, aby przejednać i uzyskać przebaczenie, wyraźnie od niego stronili.

Z ziem różnych przychodziły wiadomości, że główni warchołowie zjeżdżali się, radzili, i wcale nie dawali za skończoną.

Tylko zaślepieni dworacy wmawiali w siebie i w króla, iż już nie nie pozostawało tylko rany goić, jakie rokosz zadał.

Wszyscy obwiniali jednego Zebrzydowskiego, chociaż oprócz niego zajadłych rebelizantów było wielu, a ci uszedłszy zawczasu z pod Janowca, nie rozpuszczali swoich oddziałów i na coś się zdawali oczekiwać.

Wedle rozkazu rotmistrz stawiał się na zamek do marszałka, który po krótkim oczekiwaniu do króla go wpuścił. Stał właśnie Zygmunt u stołu i w rękę trzymał bardzo piękny wizerunek młodziuchnego królewicza Władysława, do którego się uśmiechał.

Położył go na stole i siadłszy pozdrowił ręką ruchem Bajbuzę Zawsze mówienie, zwłaszcza do tych, z którymi się rzadko widywał, przychodziło Zygmuntowi z trudnością. I tym razem rotmistrz oczekiwać musiał, nim cicho się odezwał.

— Radbym, ażebyś mi waszmość pozostał. Słyszę, że do domu powracać życzysz?

— Tak jest, N. Panie — rzekł Bajbuza. — Gdyby, uchowaj Boże, potrzeba wypadła, w którejbym W. Król. Mości zdać się mógł, stawić się nie omieszkał, ale teraz mamy choć chwilowe uspokojenie.

— Chwilowe? — podchwycił król.

Rotmistrz skłonił głowę.

— Niedowierzam niespokojnym duchom.

Zygmunt westchnął.

— Większego pobłażania trudno było okazać — dodał po malej przerwie. — Czegóż oni mogą żądać?

— Odgadnąć to trudno.

Król kazał sobie opowiedzieć potem o ostatnich chwilach rokoszu, o rozejściu się jego, o pogłoskach, jakie chodziły, a rotmistrz krótko i chłodno główniejsze rzeczy, podług swego przekonania, zebrał i wyłożył. Nie taił, że w przejednanie nie wierzy.

Następnie, ostrożnie Zygmunt zapytał o Żółkiewskiego, chcąc się o jego usposobieniu dowiedzieć, tak aby Bajbuza tego nie postrzegł. Nie było to bardzo zręcznem. Rotmistrz się złożył nieświadomością swoją i tłumaczył tem, że hetmana widywał mało. Wrócił raz jeszcze Zygmunt do niego samego, i próbował go przy dworze zatrzymać, ale Bajbuza usilnie prosił

o odpuszczenie go do domu, zaręczając, że stawić się będzie na zawołanie.

— No, to jedź waszmość — odparł naostatek król — jedź. Kopijnicy ci ciążą, rozpuść ich jeżeli chcesz, lub oddaj komu, a na sejm do mnie przybądź sam. Mamci sług dużo, ale...

Zawahał się.

— Dobrzy są, nie narzekam, wszakże ci, co chcę, nie umięją — i z uśmiechem dodał: — Waszmość, który umiesz, powinienesz chcieć.

Tak odprawiony Bajbuza, nad wieczorem się dowiedział, że mu król parę pięknych koni ze swej stajni kazał przyprowadzić. Był to podarek, bo wiadano, że pieniędzy rotmistrz nieładny.

---



## VI.

Zebrzydowski niedługo namyślał się dokąd miał się schronić po rozprószeniu rokoszan. Majętności jego były zniszczone, zasoby wyczerpane, synowi nadana Lanckorona zablizko leżała od Krakowa, pozostawał mu Zamość i ogromne dobra po hetmanie, któremi jako opiekun zarządzał i władał. Zdawało mu się, że myśl tego oporu wziął w spadku po Zamojskim, dlaczegoż nieboszczyk do spełnienia jej przykładać się nie miał?

Pojechał więc wprost i osiadł na zamku w Zamościu, ale starając się nadać pobytowi temu pozór wypoczynku i usunięcia się od spraw publicznych.

Niewiele osób mógł oszukać, gdyż nigdy może czynniejszym nie był. Charakter i temperament czyniły go nadzwyczaj zmiennym w postępowaniu.

niu. Cel pozostawał jeden, ale drogi i środki zależały od okoliczności, od osób, od wpływów, nawet od humoru chwili.

Wrota zamku stały od miasta zamknięte, z tej strony panowała cisza, ale przez furty boczne, z za tyłów nieustannie się wkradali przybawający, jedni z wyrzutami, drudzy z pytaniami i radami.

Znaczniejsza część całe niepowodzenie składała na Zebrzydowskiego, który był wodzem i hetmanem. Wszystkie klęski zrzucano na barki jego.

W tych, co niedawno jeszcze widzieli wojewodę w sile wieku, zdrowia i energii rycerskiej, mężem wierzącym w swą przyszłość, obudzał on teraz litość, tak straszliwie zestarzał nagle, zapadły mu oczy i policzki, zmieniły się rysy, taka boleść niewysłowiona malowała się na zmęczonym obliczu. Ręce mu drżały, chwiały się chodząc, a gdy się postrzegł, że zdradzał osłabienie, prostował się nagle, dobywał sił, i pragnął pokazać, że złamanym nie był. Wkrótce potem opadał znowu.

Najmniej rzecz drażniła go i gniewała. Dostyc dawniej obojętny w rzeczach wiary, stał się teraz pobożnym do fanatyzmu, co go od namiętych gniewu porywów nie ratowało.

Z rodziną swą naprzemiany najezulszy, niekiedy zamykał się od niej i nie dopuszczał do

siebie. Domownicy, dawniej już nawykli do tego burzliwego usposobienia pana, drżeli teraz nie mogąc odgadnąć nigdy, co go wprowi w największą złość i uniesienie, a co pozostanie obojętnem.

Z kolei wszyscy dowódcy rokoszan, jeśli nie jawnie, to potajemnie przybiegali do niego na rady. Z kolei Herburt, Stadnicki, Pękosławski, Łaszczy Piotr, zięć wojewody, nawet Ostrogski i Radziwiłł skrycie się wciskali na zamek; kto nie chciał być postrzeżonym, przyjeżdżał nocą, stawiał konie w podwórzu i uchodził gdy rozedniało.

Częstokroć przybyły poczynął od zajadłej kłótni, od krzyków, któremi się komnaty rozlegały; potem ucichała wrzawa i rozstanie zwykle bywało zgodne i spokojne.

Wojewoda listy i posłów rozsyłał na wszystkie strony, odbierał ich też wiele. W izbie, w której siedział zamknięty, spoczynku nie było ni dnem, ni nocą. Służba się mieniała u drzwi na czatach, nie zasypiając. Wojewodę budzono gdy usnął, bo takie były rozkazy. Wszyscy prawie zaczynali od najgwałtowniejszych wyrzutów, a kończyli na tem, że rokосу za rozbity i rozwiązany nie uważali.

Zebrzydowski słuchał, nie sprzeciwiał się, popychał drugich. Sam się nie zarzekał współuczestnictwa, lecz na oko chciał, aby się wydawało, że o niczem nie myśli.

Przyjechał kto z tych wątpliwych pośredników, którzy jak ks. Ostrogski obu stronom schlebiali, czekając z której potrafią skorzystać, naówczas Zebrzydowski opowiadał, że zrzekł się już dowództwa i wszystkiego, że chce i potrzebuje odpocząć, że do niczego mięszać się nie będzie. Utyskiwał na straty, a królowi wszelkimi możliwemi drogami dawał do zrozumienia, że tych strat spodziewał się wynagrodzenia.

Ale rada otaczająca króla na samą myśl kupowania tego herszta rokoszan oburzała się.

Nikt zresztą pochwalić się nie mógł, ażeby całą myśl wojewody odgadywał. Sprzecznym był z sobą samym. Gdyby nawet jednak chciał zupełnie dalszych wicherzeń zaniechać, nie byłby w możności zerwać wszystkich węzłów, jakie go łączyły z rokoszanami, którzy nie myśleli sromotną klęską pod Janowcem dać się związać.

Ci, których on rokoszanami uczynił, jak Smogulecki, teraz jego trzymali w związku.

Natychmiast po rozjechaniu się z pod Janowca dało się słyszeć, że Zebrzydowski był oszukany, sponiewierany niegodnie, że wszystko poświęciwszy padł ofiarą.

Cały ten ruch nurtujący podziemnie, dworowi wydawał się mało znaczącym i niemogącym następstw pociągnąć za sobą. Doniesieniom o nowych knowaniach nie dawano wiary, lub je lekceważono.

Myszkowski tylko, którego dotknął swem oskarżeniem Zebrzydowski, nie mogąc mu go darować, pragnąc się pomścić, wskazywał w nim królowi nieprzebranego wroga.

— On póki żyw spokojnym nie będzie — powtarzał marszałek — dobre mu wszelkie środki, potwarz, kłamstwo, krzywoprzysięstwo... Rokosz rozbity, powiadacie... a ja nie wiem czybym uwierzył Zebrzydowskiemu, gdybym go na marach widział.

To pewna, że czy z naprawy wojewody, czy mimo jego woli, nie przestawano w szlachcie utrzymywać niechęci przeciwko królowi i dworowi.

Na samym zaś dworze dawały się postrzegać pewne odcienia przekonań. Tak kardynał Maciejowski żądał powołności dla Zebrzydowskiego, gdy Myszkowski nastawał na zgubę jego; w wojsku Potoccy różnili się zdaniem z Żółkiewskim; Chodkiewicz królowi wierny, dumą swą zrażał; księcia Ostrońskiego pewnym być nikt nie mógł.

W samych rodzinach różnice przekonań były wielkie; dwu Stadnickich szło z królem, jeden przeciw niemu. W sposobie postępowania z rokoszanami król zawsze łagodność zalecał i dawał jej przykład, senatorów wielu doradzało snrowość i postrach a grozę. Wiedzano, że Herburt z Batorymi spiskował i ich na tron prowadził,

chciano na nim przykładu kary, któraby postrach wraziła.

W pośrodku Rzeczypospolitej każda ziemia niemal, idąc za ludźmi wpływowymi, dzieliła ich przekonania. W Wielkiej Polsce Smogulecki ze swymi pomocnikami rokosz utrzymywali i podpalali, w Sandomierskiem, poczęści w Krakowskiem chciano spokoju, ale tu Zebrzydowski miał swych tajemnych podburzycieli.

W Zamościu się jednoczyły wiadomości z całej Rzeczypospolitej i z pewnością wojewoda daleko był lepiej oświadczony ze stanem umysłów, z tem nawet, co się działo na dworze i między senatorami, niżeli sam król i rada jego.

Uspokajając Zygmunta łudzili się tu wszyscy. Rokosz uważano za niemożebny. Zebrzydowskiemu nie uczynić nie chciano, nie miałoż starczyć, że go puszczone bezkarnym?

Tak stały sprawy niejasno jeszcze, a w Krakowie mówiono o zwołaniu sejmu, którego się domagali szczególnie rokoszanie, gdy jednego dnia stary rotmistrz Urowiecki, który teraz młodemu Tomaszowi Zamojskiemu był dodany dla nauki rycerskich ćwiczeń, ujrzał zdumiony wchodzącego do swej izby starego, dawno niewidzianego przyjaciela i towarzysza broni, Bajbuzę.

— A cóż ciebie, ty regalisto, mogło do nas rebelizantów sprowadzić? — zawołał wesoło go witając.

Rotmistrz nasz z Urowieckim o sprawach ogólnych nie zwykł był nigdy rozprawiać, znał go jako doskonałego dowódcę na polu i w obozie, ale nie sądził, aby Urowiecki rozbierał kiedy zbyt ściśle za co, z kim i przeciw komu walczy.

— Włóczę się, jak widzicie, po kraju — począł Bajbuza — a będąc w pobliżu Zamościa, ponieważ dawniej panu wojewodzie byłem znany, chciałem mu się pokłonić.

— Biedny człek! — westchnął Urowiecki — zobaczycie, żal patrzeć na niego. Męczennik! Co go ta impreza kosztowała! Fraszka pieniądze, ale krwi i żywota. Od czasu tego rokосу chwili nie miał spokojnej, a teraz wszystkiemu on winien, za wszystkich pokutuje!

Urowiecki mówiąc ręce łamał.

— Będę ja mógł go widzieć? — spytał Bajbuza.

— Nie wątpię o tem — rzekł rotmistrz — chociaż tam u niego zawóz wielki... drzwi się nie zamykają.

I Urowiecki przerwał nagle.

— Ale wy! wy! z Żółkiewskim przy królu... jam się tego nie spodziewał. Mnie się zdawało zawsze, że wy pójdziecie z nami torem przez nieboszczyka Zamojskiego wybitym.

— Mój rotmistrzu — unikając rozpraw odparł Bajbuza — składają się dziwnie czasem

ludzkie rzeczy. Człowiek nie tylko idzie nie gdzie chce, a dokąd musi, ale i drugich prowadzi.

Dajmy temu pokój.

Urowiecki popatrzywszy na chmurne jego oblicze, urwał nagle i począł o tem, co go teraz najgoręcej obchodziło, o młodym Tomaszu, który tak piękne rokował nadzieje, iż godnym ojca następcą być obiecywał.

Bajbuza nasłuchawszy się pochwał, przynaglał ciągle o swą rozmowę z Zebrzydowskim, ale do wieczora się ściągnęło, a dostąpić do niego nie było można.

O zmroku już wpuszczono do przyciemnionej komnaty Bajbuzę.

Zebrzydowski siedział w krześle zgarbiony i twarzy jego wcale nie mógł rozeznaczyć rotmistrz. Przywitanie było bardzo zimne. Wojewoda miał pamięć doskonałą, mógł się więc domyślać Bajbuza, iż wiedział po której on stronie się znajdował. Czuć było, że mu tego nie przebaczył.

— Z Krakowa pewnie odedworu jedziecie — odezwał się Zebrzydowski. — Nie tajno mi, że i u p. Żółkiewskiego i u króla macie łaski. Cóż was do mnie sprowadzać może?

Bajbuza pomileczał chwilę.

— Wierność moja pamięci hetmana, którego miłość wasza byliście wybranym i wyznaczonym spadkobiercą.

Zebrzydowski zamruczał coś niewyraźnego.



— Nie będę się tłumaczył — mówił dalej Bajbuza — dlaczego stanąłem i stoję przy p. Żółkiewskim, ani winił miłości waszej, żeście tak srogo przeciw królowi wystąpili, ale ta miłość jaką mam dla spadkobiercy hetmana zmusza mnie tu z prośbą i przestrogą.

Zebrzydowski przerwał mu nie dając kończyć i oburącz sparlszy się na poręczach krzesła powstał.

— Wy, do mnie? z przestrogą?

— A dlaczegożby nie? — przerwał z dumą rotmistrz. — Wiem co się dzieje na dworze, w kraju i około was, panie wojewodo, obawiam się o was, sumienie mi każe ostrzedz. Na miłość Bożą, dajcie już pokój rokoszowi!

Zebrzydowski cały się zatrząsł.

— A zkadże? jak? wiesz, że ja o rokoszu myślę? Ja siedzę spokojnie, jam jeszcze nie wydychał tego, com wycierpiał. Nie mięszam się do niczego, czekam na sejm, choć mi słowa nie dotrzymują, choć ze wszystkich obietnic dotąd nic!

To mówiąc padł na krzesło.

— W. miłość możesz to mówić komu się iście podoba — począł powoli Bajbuza. — Jestem wielkim miłośnikiem rzeczypospolitej, gotówem dla niej wszystko poświęcić, nie mam nic do czynienia, więc sprawy bieżące badam i znam lepiej niż inni.

Wasza miłość jak byliście tak jesteście głową i duszą rokoszu, a ten rokosz, o którym mówią że skończony jest, wiąże się nanowo, sposobi i znowu grozi zaburzeniem.

Ale nie sprawi on nic, tak jako i pierwszy; król ma po sobie dosyć sił i ludzi, uprzedzi was. Daj Bóg, aby nie gorszy był koniec niż pod Janowcem.

— Ależ to zuchwalstwo niesłychane — krzyknął wojewoda — wy do mnie przychodźcie bakałarzować i uczyć co czynić mam! Toć śmiechu godna! zaprawdę! ale razem to oburza! Coście wy, a co ja?

— Ja jestem szlachcicem wam równym — zawołał Bajbuza — wy macie prawo króla łajać, a jabym nie miał prawa słów prawdy wam powiedzieć? dlaczego?

Zebrzydowski śmiał się gorzko.

— Cóż więcej? — zapytał — co więcej? na tośmy przyszli my senatorowie, że nas lada kto rozumu uczyć chce. Co więcej, mości rotmistrzu.

— Że wszystkie te spiski nowe Smoguleckiego i wykrzykiwania Łaszcza, i podburzania Pękośławskiego są wiadome, że każdy wasz krok śledzony, że wszystko to wysiłki próżne, a teraz gdyście królowi nanowo wierność ślubowali, podwójnie winne zdrady.

— Milez — przerwał wojewoda — kto cię tu posłał?

— Nikt, ja sam — rzekł zimno Bajbuza —  
więcej wam powiem o tem, co ja wiem z robót  
waszych mało kto tak jest uwiadomionym jak ja,  
może nikt. Przychodzę z przestrogą, bo nie życzę  
wam zła. Na miłość Bożą cofnijcie się, powstrzy-  
majcie, zerwijcie z tymi, co wam niegodziwe  
rady dają!

Z tego co mówił rotmistrz, jedno tylko  
utkwilo w pamięci wojewody.

— Wiesz więcej niż drudzy? szpiegujesz więc  
mnie? Korzystasz z tego, żeś tu miał przyjaciół  
i znajomych; a wiesz co szpiegów spotyka na  
wojnie?

— Szpiegiem nie jestem — zawołał Bajbuza. —  
Dosyć do Wielkopolski pojechać, a pobyć między  
szlachtą, aby się dowiedzieć co tam z rozkazu  
waszego się gotuje. Myślicie znowu rokosz zwo-  
ływać i bezkrólewie ogłaszać, a Herbert ma już  
króla gotowego zanadą.

Wojewoda powtórnie zerwał się z krzesła, nie  
był już panem siebie.

— A wiesz ty komu w szpony wpadłeś z tem  
słowem zuchwałem? — krzyknął. — Znasz ty  
Zebrzydowskiego?

Nie odpowiedział Bajbuza. Wojewoda wal-  
czył z sobą jeszcze.

— Instygatorem myślisz być przeciwko mnie,  
jeżeli ci się zastraszyć nie uda! Poniesiesz się

z tem na dwór, aby królowi w łaski wkupić!  
I myślisz, że ja ci ztąd dam wyjść cało?

Rotmistrz na to zagrożenie odparł chwilą milczenia, jakby dawał czas do namysłu.

— Nie chcecie słuchać życzliwej rady — rzekł — nie pozostaje mi więc, tylko boleć nad tem, co na siebie i na kraj ściągniecie. Uczyniłem co sumienie kazało.

Czołem.

Ruszył się wychodzić już Bajbuza, gdy Zebrzydowski w ręce bić i wołać zaczął na czeładź swoją, która natychmiast przerażona przez dwoje drzwi wpadła razem.

Zebrzydowski ręką dygocącą wskazywał na odchodzącego Bajbuzę.

— Wziąć go, do wieży... wziąć go... napadł mnie.

Nie przyśpieszając kroku, ale nie zważając też na wołanie, rotmistrz rękę położywszy na szabli wychodził powoli i przestąpił próg; żaden z dworzan i sług nie śmiał się zbliżyć do niego.

Zebrzydowski nie przestawał powtarzać.

— Imać go! na wieżę z nim!

Cała gromada dworzan posypała się za wolno postępującym Bajbuzą. Niektórzy z nich przewidując że opierać się będzie, bocznemi korytarzami zabiegli naprzód, aby drzwi zamknąć

i zbrojno stanąć w takiej liczbie, by się im bronić nie mógł.

Zebrzydowski wstawszy ścigał odchodzącego oczyma i powtarzał.

— Wiązać go! imać!

Wrzawa i szmer całą ludność w tej części zamku wywołała z izb. Nikt nie rozumiał co się stało. Stary Urowiecki posłyszawszy hałas, wpadł pierwszy i dowiedział się o tem, że wojewoda kazał ująć kogoś przed chwilą do niego wpuszczonego. Nie wątpił, że szło o Bajbuzę.

Spotkali się oko w oko.

— Na Boga, co się stało? — krzyknął Urowiecki.

— Wojewodę mimowoli obraziłem, kazał mnie uwięzić... ale nie może być, aby chciał wolnego szlachcica z dobrem słowem przychodzącego we własnym ukrzywdzić domu.

Rotmistrz pośpieszył do wojewody, ale nim usta otworzył, ten mu je zamknął.

— Ani słowa! wziąć go! wziąć go! ja odpowiem. Bronić się będzie, rozsiekać, rozsiekać... ja odpowiem.

I coraz głośniej, namiętniej dodał.

— Urowiecki, gardłem odpowiesz jeśli wyjdzic, wziąć go.

Rotmistrz widząc go tak roznamiętnionym, nie śmiał się sprzeciwiać, aby nie drażnić. Zawrócił się nazad i zawołał do Bajbuzy.

— Za mną.

Mileżący, wcale nienastraszony rotmistrz ręki nie odejmując od szabli szedł za Urowieckim. Ale jeszcze na dół nie zeszedł, gdy wysłanych sześciu bajduków i starszy nad nimi otoczyli Bajbnzę, Urowieckiemu oświadczyli, że ma ustąpić, i ściśniętego tak poprowadzili ku więziennej wieży.

Bronić się nie było sposobu, ani myślał też rotmistrz, pewnym będąc, że wojewoda ochłonawszy puścić go rozkaże.

Skleciona izba z oknami w kraty opatrzonemi, pusta i zatęchła, otworzyła się; przestąpił próg, a ciury pośpiesznie drzwi żelazne za nim zarygowały.

Takiego końca rozmowy z gwałtownym wojewodą nie spodziewał się Bajbuza, lecz dotąd więcej go to dziwiło niż przestraszało. Nie przypuszczał, aby na naleganie Urowieckiego, po rozmyśle Zebrzydowski wolności mu nie przywrócił. Znany z popędliwości i mnogich popełnionych gwałtów, popełnić je mógł w chwili zapamiętania, ale rozmyślnie...

Bajbuza usiadł na ławie przy ścianie i zadumał się. W izbie zupełnie było ciemno, a przez okna z podwórza zaledwie słabe jakieś wpadało światło. Dokoła panowała cisza. Uderzenia o podłogę stajenną kopyt końskich, kazały się gdzieś stajen domyślać w pobliżu. Potrzeba było

mieć cierpliwość, a na tej Bajbuzie nie zbywało. Cochwila oczekiwał, że posłyszysz kroki, głosy i że stary Urowiecki przyjdzie go wyswobodzić.

Gdy się to działo z nim, na górze wojewoda wściekły się po swej izbie rzucał odgrążając, gdy Pękośławski, który przed kilkunastu godzinami przybył tu, usłyszawszy o jakimś zajściu, przybiegł do wojewody.

Ze wszystkich rokoszan tego imienia godnych, którzy się rodzą nimi i umierają, Prokop Pękośławski był ze krwi i kości najczystszy, był nim w każdej dnia godzinie, w każdym położeniu, nie mógł żyć i trwać bez jakiegoś rokoszowania. Rokosz nieustający wiódł w domu, woził go po sąsiedztwie, narzucał najspokojniejszym. I teraz po rozprószeniu pod Janowcem, on był najgłówniejszą sprężyną do odrodzenia rokoszu.

Zastawszy wojewodę w tym stanie rozdrażnienia w jakim go rzadko widywał, Prokop uradował się mocno.

— Mów co się stało?

Dławiąc się i krztusząc Zebrzydowski począł całą historję swej rozmowy z Bajbuzą, o którym Pękośławski już dawniej słyszał.

— I wziąłeś go? — zapytał w końcu.

— Kazałem zamknąć.

Tu Zebrzydowski tłumaczyć począł, że go znalazł doskonale ze stanem rzeczy oświadczonym i że był człowiekiem niebezpiecznym.

— Ściąć go bestyę! — rzekł krótko Pękosławski.

— Niemożna — odparł wojewoda — ma nadto przyjaciół. Będą się mścić na mnie.

— Myślisz go puścić?

— Nie mogę — zawołał Zebrzydowski — niebezpiecznym jest. Jednym takim kretem mniej co ryje pod ziemią, zawsze coś znaczy... Zamknę go.

— Tu? — zapytał Pękosławski.

Oba głowami potrząsali. Zamość był nadto na widokn, ukryć go tu na zamku trudnem się здавало, a dać o tem mówić wiele, niedobrem było. Zebrzydowski namyślał się.

— Poślij go do Lanckorony — rzekł Pękosławski.

Myśl ta podobała się Zebrzydowskiemu. Wiedział o tem, że dawne stosunki łączyły Bajbuzę z Urowieckim, nie użył go więc do niczego... kazał przywołać węgę Janasza, którego miał zdawna w usługach, i pocichu mu wydał rozkazy.

Gdy w parę godzin potem Urowiecki przyszedł wstawiać się za uwięzionym, Zebrzydowski z tą chytrością, którą czasem się posługiwał, odpowiedział mu zimno.

— Już go niema, wyjechał.

Rotmistrz skłonił się, pewnym będąc, że uwolniono Bajbuzę. Zajrzał do więzienia, w istocie tam go już nie było.



Janasz odebrawszy rozkaz, ani chwili nie zwłócząc, ludzi sobie dobrał i z nimi wszedł do więzienia.

— Z rozkazu pana wojewody — rzekł wchodząc — mam was odwieźć tam, gdzie wam przeznaczono. Nas jest dosyć aby zmusić, gdybyście się opierali, a rozkaz mam, choćby ubić przyszło to spełnić co wojewoda postanowił. Siadajcie na koń między nas i po wszystkim.

Bajbuza ani się bronić ani z żołdakami rozprawiać nie myślał, ulegał przemocy spokojny i pewny, że mu ktoś w pomoc przyjść musi.

Szabli węgier nie próbował odbierać. Noc była gdy na konia siadł i otoczony ciasno przez hajduków wyruszył z zamku, małemi, krętymi uliczkami w pola otaczające.

W pół godziny później byli już na gościńcu wśród lasu.

Całą tę przygodę lekce sobie ważył Bajbuza; obrażony Zebrzydowski mógł go tak więzić czas jakiś, jak nieraz chwyтали i trzymali Stadniccy Herburta i nawzajem, Tarnowskiego wojewoda i t. p., lecz o życie się obawiać nie miał powodu. Pewnym był też, iż począwszy od Urowieckiego, przyjaciele jego przybiegną Zebrzydowskiego przebłagać i wyjednają mu swobodę. Tymczasem jednak zatrzymanie go nie było na rękę, bo zamierzał przeciwko nanowo wiążącemu się roko-

szowi czynnie wystąpić i miał już po temu obmyślane środki, ludzi i drogi.

Ufał, że oczekujący na niego Szczypior, jak tylko się albo dowie o tem, co go spotkało, lub zaniepokoi zniknięciem nagłym, nie pozostanie bezczynnym, a na dworze też nie opuszczą go przyjaciele.

Z kierunku w jakim opuściwszy Zamość jechali, domyślać się dokąd go wieziono nie mógł, ale wnosił, że w jednym z zamków należących do Zebrzydowskiego, gdzieś w głuchym kącie go osadzą. Lanckorona wcale mu na myśl nie przyszła, bo ta i nadto była blizką Krakowa i liczyła się jako posiadłość nadana jego synowi. Wojewoda wybrał ją na poddaną myśl Pękośławskiego może dlatego, że tam właśnie szukać znikłego Bajbuzy niktby nie próbował.

Z kilku słów, które się rotmistrzowi wyrwały z ust, czuł Zebrzydowski, że o jego robotach był uwiadomiony; przytrzymać go więc a choćby sprzątnąć ze świata wydawało mu się koniecznością.

Janasz węgier miał polecenie nietylko go zawieźć do Lanckorony i w Dorotce tamtejszej osadzić, (bo Dorotkami wówczas wieże więzienne w tych okolicach nazywano powszechnie), ale pozostać na straży, gdyż miejscowym nie ufał. Przykazano mu więźnia tak trzymać, aby z ni-

kim ani się widywać, ani mówić nie mógł. Węgiek wiedział, że głową swą za niego odpowie.

Tego wieczora Zebrzydowski nie uspokoił się aż mu doniesiono, że Janasz wyjechał z więźniem, a w rozmowie z Pękosławskim powracał ciągle do Bajbuzy i do zdrady, której się lękał.

— Przed czasem mnie wskażą — mówił niepokojny — a ja wiele mam do czynienia nim rokosz się nanowo zwoła i nie chcę ażeby mnie najeżdżano i niepokojono od króla. Tylko co niewiadać, jak tu senatorów wysłać z napomnieniami do mnie. Ten łotr mnie już palcem wytykał i mówił, że wie o wszystkim... Kto wie? gotowi byli przejąć listy do Smoguleckiego?

Szczypior pozostawiony w Nadstyrzu tyle tylko wiedział o rotmistrzu, iż w pilnej sprawie na dni najdłuższej kilkanaście się oddalił i czekać na siebie kazał. Przed nim się Bajbuza nigdy nie tłumaczył ze swych czynności, chyba gdy do nich mu Szczypior był potrzebny. Oczekiwano więc powrotu rotmistrza, gdy zamiast niego, porzuceni ludzie, wóz i konie w Zamościu, o których przytrzymaniu nie pomyślano, niedoczekawszy pana wieczorem, napróżno go wyglądając przez noc całą, przestraszeni rozbiegli się dowiadywać o niego. Wiedzieli, że ku zamkowi się udał, ale tu o nim nikt im nie umiał nic powiedzieć.

Urowiecki był przekonany, iż go już wolno puszczono, gdy zrana na miasto wyszedłszy, przy-

padkiem się spotkał z hajdukiem Bajbuzy i dowiedział od niego, iż nie powrócił do gospody. Na myśl mu przyszedł Pękosławski, potem wyprawienie nagłe w nocy Janasza, i zląkł się o rotmistrza. Z Zebrzydowskim pod te czasy żartów nie było.

Przed lada służą się wygadać ze swych podejrzeń nie mógł, i podumawszy trochę podszeptał mu.

— Nie macie czego tu czekać, powracajcie do domu, a dajcie znać komu należy, iż rotmistrza wam tu w Zamościu nie stało.

A gdy hajduk chciał rozpytywać więcej, dodał niecierpliwie.

— Wybierajcie się ztąd póki eali, rozumiesz! Rady nie dacie panu żadnej, a w domu trzeba żeby wiedzieli, że go niema.

Ruch nakazujący i naleganie Urowieckiego sprawiło, że hajduk już nie namysławiając się do gospody pobiegł, konie kazał posiodłać i natychmiast wymknął się z miasta.

W czas się to stało, gdyż w kilka godzin potem Pękosławskiemu myśl przyszła ludzi Bajbuzy szukać i ich też zagarnąć, aby nie rozsieli trwogi, ale pobiegł ich dopytywać zapóźno, nie rychło się dowiedział, i zmiarkowawszy ile godzin mieli przed nim do ucieczki, nie puszczał się w pogoń.

Nieliczny więc ów poczet przestraszony po-  
ciągnął wprost do Nadstyrza i właśnie gdy Szczypior się zaczynał już o rotmistrza troszczyć, przybył  
beapański do domu.

Choraży dowiedziawszy się od hajduka co  
się stało, jak szalony począł się rzucać, nie wie-  
dząc co począć. Przypuszczenia najstraszniejsze  
mu na myśl przychodziły. Hajduk tyle tylko  
mógł mu powiedzieć, że wyszedł na zamek do  
wojewody i więcej nie powrócił. Szczypior wie-  
dział co teraz trzymał Bajbuza o wojewodzie;  
znał go, że prawdy nie taił, a Zebrzydowski  
gwałtownym był i zapamiętałym nad miarę.

Mógł go więc zabić nawet.

W całym dworze, gdzie wszyscy tak do pana  
byli przywiązani, niczmierna trwoga, żal, niepo-  
kój poruszyły sługi, rezydentów, komorników  
i resztę kopijników, która się pozostała jeszcze  
przy Szczypiorze. Wszyscy gotowi byli biedz,  
jechać, ratować. Choraży bodaj nanowo oddział  
zebrać dla odsiczy. Ale przeciw komu? do-  
kąd? Z Zebrzydowskim walczyć, z taką garścią?  
Łamał głowę Szczypior, a czując że wszystko  
na nim polegało, natychmiast listy do hetmana  
Żółkiewskiego, do marszałka Myszkowskiego i do  
innych około króla bawiących osób wyprawił,  
z oznajmieniem, iż rotmistrz w Zamościu praw-  
dopodobnie przez Zebrzydowskiego został albo  
ujęty... albo nawet... stracony!

Sam rzucając się na wsze strony po radę, tegoż dnia pobiegł zaraz do Spytkowej i w progu z wielkiego żalu, nie przygotowując ją do tego krzyknął.

— Rotmistrza naszego niema! W Zamościu go jakieś nieszczęście spotkało. Poszedł na zamek do Zebrzydowskiego i więcej nie wrócił. Jak w wodę wpadł. Ludziom jakaś dobra dusza poradziła uchodzić do domu. Dali mi znać! Co mam począć?

Spytkowa jak stała wybiegłszy naprzeciwno Szczypiorowi, tak ręce załamawszy, krzyknęła i padła zemdlona. Szczęściem, że ją na ręce dziewczęta chwyciły w porę, aby głowy nie rozbiła na wznak rzucając. Gdy ją potem otrzeźwiono, poczęła płakać, zawodzić, i nierychło dopiero męstwa nabrawszy oświadczyła Szczypiorowi, że gotowa jest sama, byle on jej dał ludzi, jechać do Zebrzydowskiego. Było jakieś dalekie pokrewieństwo między nią a rodzinami im blizkimi, zamłodu znała wojewodę; zresztą nie ustraszało ją nic, na wszystko się chciała ważyć, aby rotmistrza ocalić, jeżeli czas jeszcze było.

Szczypior jak oszalały naprzemiany to wołał: — Zabili go — to się porywał i sam sobie zaprzeczał: — Nie może to być, nie ważyliby się...

Nie zdawało mu się, aby Spytkowa pomódz

co mogła, i zrozpaczony potem gotów był przyjąć pośrednictwo, nie wiedząc co czynić.

Jejmość zaś jak w pierwszej chwili oświadczyła się z gotowością do podróży, tak trwała w tem. Szczypior ofiarował się jej sam towarzyszyć. Obojgu im zdawało się, że jednej godziny do stracenia nie było, jejmość więc natychmiast się wybierać poczęła, a chorąży do Nadstyrza po woźniki, kolebkę i ludzi popędził, chcąc aby jak przystało wystąpiła i w drodze miała wygodę.

Przygotowania odbywały się z takim pośpiechem, iż nazajutrz spłakana Spytkowa mogła ze swą towarzyszką już siaść do kolebki, a Szczypior wc dwadzieścia koni ciągnął za nią. Wprost tak wyruszyli do Zamościa. Bajbuza tymczasem, z którym Janasz węgrzyn obchodził się jak z jeńcem wojennym i z oka go na chwilę nie spuszczał, tak że nad śpiącym straż stawiał z gołym mieczem, doprowadził go wreszcie do Lanckorony. Tu, do osadzenia w wieży przywiezionego od wojewody więźnia, nie pytając kto był, nie robiono najmniejszej trudności. Więzienie dolne było natenczas puste, do niego więc wtrącono Bajbuzę, nimby obmyślano, gdzie i jak go potem umieścić. A że w Lanckoronie oprócz burgrabi nad zamkiem starszego nie było nikogo, ten zaś wojewody się lękał jak ognia,

wszystkie Janasza rozkazy spełniał jak najściślej.

Stary, otyły, ciężki już ów zamkowy pan, był nie z ręki Zebrzydowskich nad nim przełożonym.

Trzymał się on już tu z dawnych czasów, i o to tylko dbał, aby miejsca nie utracił. Zresztą Zebrzydowscy, czy ktokolwiek Lanckoronę trzymał, wszystko mu było jedno, byle on ze swą liczną rodziną mógł się w niej mieścić, i konie wypasać, ordynaryę pobierać, a z różnych na zamek dostarczanych zapasów i robocizny do niego przeznaczonej korzystać.

Marek Bruszka zwał się pan burgrabia. Pod jego klucz dostał się znużony podróżą Bajbuza i zaledwie mógł rozglądać po izbie zgniłą słomą na pół zarzuconej, gdy burgrabia przyszedł zajrzeć mu w oczy. Z ubioru i postawy poznawszy, iż nie z lada więźniem miał do czynienia, Bruszka bardzo się tem ucieszył.

Bajbuza na wstępie mu zapowiedział.

— Wiedz wasze, że ja tu wiecznie przecie siedzieć nie będę, a jak za dobre się wypłacić mam czem i mogę, tak za złe odpowiecie.

Marek na to po namyśle zamruczał.

— Nie jestem złym człowiekiem, na męki was brać nie będę.

Spojrzeli sobie w oczy i Bajbuza wyczytał



z wejrzenia burgrabiego, iż mu na wstępie coś dać należało. Sięgnął do kalety i wcisnął garść groszy, które Marek szybko do kieszeni wpuścił, i nie mówiąc już nic wyszedł natychmiast precz, zamykając troskliwie za sobą.

---

## VII.

Rotmistrz nasz miał dosyć mocy ducha, aby w położeniu najprzykrzejszem nie rozpaczać. O sobie zawsze chodziło mu najmniej, wytrzymać mógł wiele, a przeszłe życie zahartowało go na wszystko. Zdawało mu się więc, że i więzienie, które znał dotąd tylko z powieści, potrafi nie bolejąc, nie jęcząc przecierpieć z mężstwem niezłomnem. Ale nie szło tu o niego, był potrzebnym, zobowiązał się do wielu czynności, miał sobie do wyrzucenia, że się naraził nierozważnie na niewolę. Ale któż się mógł spodziewać takiego gwałtu po wojewodzie?

Jedyną pociechą jego było, że się o niego wiele osób upominać musiało, i że wojewoda zmuszonym w końcu być mógł do wypuszczenia go. Uwięzienie, jak sądził, nie mogło pozostać tajemnicą. Liczył na marszałka Myszkowskiego,

na hetmana, na Urowieckiego nawet, na wszystkich przyjaciół swych.

Najmniej się spodziewał po Szczypiorze.

W Lanckoronie dziedziniec, wśród którego stała Dorotka, stara wieżyca okragła, był odosobniony i ruch zamkowy wcale tu nie dochodził. Dniem i nocą panowała głucha, martwa cisza grobowa, przerywana tylko ilekroć ze strony ogołoconej z murów wieher się zrywał, który wył, świszczwał, szumiał najdziksze głosy.

Marek burgrabia obrachował to, że najkorzystniej będzie dla niego nikomu więźnia nie powierzać, ale strzedz go samemu.

Pierwszego dnia zaraz z pacholkami przyszedł słomę odmienić i najpotrzebniejszy sprzęt dostarczyć, ale klucza nie dał nikomu. Nosił go za pasem, pod pozorem, iż się lękał odpowiedzialności. O jedzenie Bajbuza nadto był dumnym aby się upominał, chlebby mu starczył, a gdy burgrabia przyniósł w garnuszku krupniku i piwo, był zupełnie zaspokojony. Płaszcz służył mu w części za posłanie, a trochę za pokrycie.

Nawykły do czynnego życia, w początku miał tyle do myślenia, iż próżnowanie uczuć mu się nie dało, ale w kilka dni był wycieńczony, znękanym, gorzej niż po najcięższym pochodzie.

Okno jedyne było wysoko i widok z niego niewieleby go rozerwał; na ścianach gdzieniegdzie wyrzeżane głoski i liczby prędko przeczytał

wszystkie. Sen nie brał go, godziny zaczęły wydawać się niezmiernie długimi. Pierwszy raz zrozumiał, jak straszliwą karą było odjęcie swobody.

Duch jego wyrywał się napróżno, umysł pracował gorączkowo, nie mógł nic. Przemówić nawet nie miał do kogo. Bruszka, który w pewnych godzinach zjawiał się, do rozmowy nie okazywał najmniejszej ochoty. Słuchać mrużąc był gotów czas jakiś, ale na pytania odpowiadał niechętnie albo nawet milczeniem.

Pieniądze brał zawsze bez trudności, lecz tak jak gdyby go one do niczego nie zobowiązywały.

Co najgorszem się zdawało rotmistrzowi, że takim, jakim był dnia pierwszego, bez najmniejszej zmiany pozostał następnych dni. Postępu w spoufaleniu niepodobna było uczynić. Grosz nie skutkował, dobre słowo nie rozbrajało. Wygody życia, gdyby o nie szło, burgrabia się ofiarował dostarczać za pieniądze, ale od niego się o czemś dowiedzieć, nawet o nazwisku zamku, było niepodobna.

Oprócz Bruszki Bajbuza nie widywał nikogo, potem nawet i pachółkowic nie przychodzili tylko do progu.

Na trzeci czy czwarty dzień Bajbuza zażądał jakiegokolwiek bądź książki.

Burgrabia okazał zdziwienie wielkie, nie nie

odpowiedział, a później zapytany mruknął, że nie ma.

Naprawdę mu rotmistrz wmawiał, że ksiądz jakiś być musi, a gdzie jest ksiądz, musi być księga. Potrzeby jej nie rozumiał Bruszka. Papieru zaś i atramentu wręcz grubiańsko odmówił.

Bajbuza się niecierpliwił.

— Czegóż się ty lękasz? — zawołał w końcu z gniewem. — Murów tych półtorałokciowych ci nie rozbiję, nikogo nie widzę, papier sam nie wyleci, a nie mam co robić, choć wściec się!

Nazajutrz jako zajęcie Bruszka ofiarował materyał do strugania strzał, ale więzień go zburezał.

— Z bydlęciem tem — rzekł w duchu — nawet rozmówić się trudno. — Przestał więc nie tylko mówić, ale patrzeć na burgrabiego i dawać mu podarki. Dało się to odczuć w jedzeniu zaraz, ale Bajbuzę rozgniewanego na suchy chleb mógł skazać, nie upomniałby się o nic.

Liczył dni niecierpliwie, cochwila, cogo dzina oczekując naprzód oswobodzenia, na które w początku bardzo rychło rachował napewno.

Tymczasem upływały tygodnie, a nic się nie zmieniło. Bajbuza tylko począł żółknąć, chudnąć i słabnąć. Powietrze więzienne, którem oddychał, nieodnawiane, ciężkie, duszące, wilgotne, zgniłe, zabijało go powoli. Zrozumiał, że takim więzieniem można było po pewnym przeciągu czasu

tak zamordować zwolna skazanego na nie, jakby mu toporem głowę ucięto. Duch mógł być krzepkim jak pierwszego dnia, a nawet cierpieniem się podnosić; ciało, w którym mieszkał, staowało się dlań niegościnnem.

Wyprosić lub kupić u Bruszki pozwolenie wyjścia na powietrze, upokarzało go. Nie mogło to przecież trwać długo.

Jednostajność dni następujących po sobie, jak dwie krople wody do siebie podobnych, stawała się sama męczarnią. Bruszka nie dawał z siebie dobyć nic. Pytania obijały się o jego uszy na próżno.

Bajbuza uląkł się wreszcie znękania, które czuł codzieln więcej. Milczenie otaczające było mu niepojętem.

Nikt więc się nie upomniął o niego? nikt nie szukał? nie starał wyswobodzić? Gorzkiemi wyrzutami zaczynał miotać na ludzi, a po namyśle tłumaczył ich, składając wszystko na mściwość niepocziwego Zebrzydowskiego.

W początkach z rachubą dni szło jako tako, później i z nią się jakoś splątał Bajbuza. Po burgrabi i jego odzieży mógł rozpoznawać niedziele i święta, i postrzegł, że rachunek swój zmylił. Począł więc kreskami na murze upływające dni znaczyć.

Najsilniejszy nawet umysł nie mógł długo przenieść takiej męczarni bezkarnie.

Bajbuza uląkł się o rozbiłkane i zbujałe myśli własne. Marzył niesłychane rzeczy.

Z rachunku kresek już się składały miesiące, gdy jednego dnia w otwartych drzwiach, zamiast Bruszki, ujrzał Bajbuza wchodzącą z garnuszkiem i miską kobietę starą, brudną, której pacholek drzwi otworzył.

Spojrzała ona bojaźliwie na siedzącego więźnia, zbliżyła się do stołu, postawiła prędko przyniesioną strawę i śpieszyła się cofnąć, gdy rotmistrz ją zatrzymał.

— A gdzież Bruszka?

Stara głosem drżącym, słabym zamruczała.

— Chory, chory!

Pośpiesznie dobył pieniędzy Bajbuza i wstawszy dopędził uchodzącą u progu. Wcisnął jej garść pełną.

— Posłuż mi dobrze — rzekł — nie będziesz żałować.

Stara zdziwionemi oczyma, cheiwie się długo przypatrywała groszakom... twarz się jej mieniła.

— Czegoż chcesz? — zapytała cicho.

— Od księdza jakiegokolwiek książki, to na-przód — zawołał Bajbuza — a potem rozmówimy się, zapłacę co zechcesz.

Szybko zaczęła chować pieniądze stara, odwróciła się, skinęła głową i palec położywszy na ustach wyszła.

Powrotu jej oczekiwał nazajutrz Bajbuza z niecierpliwością wielką. Tym razem ostrożna stara przyszła sama jedna bez pacholka. Na twarzy jej malowała się ciekawość gorączkowa.

Pod płachtą niosła coś zawiniętego, była to gruba książka, którą położyła na stole. Bajbuza otworzył ją i znalazł brewiarz stary łaciński z agendą. I to mu bardzo pożądanem było.

Stara sparła się na stole i czekała widocznie aby jej powiedział, czego więcej żądać może. Rotmistrz zaczął od ogólników. Obiecywał za ponioć i usługi nietylko pieniądze, ale dom, grunt i ziemię.

Staruszcze oczy pobłyskiwały.

— Bruszka chory — rzekł w końcu Bajbuza — ja się tu duszę, ja tu zginę. Gdybym choć nocą na godzinę wyjść mógł w zamknięte podwórze, powietrzem tchnąć. Przecież nie ucieknę, zamek ma wysokie mury, pozamykajcie furty, postawcie straż.

Stara na to bardzo głową potrząsać zaczęła, nie odpowiadając, ale dając do zrozumienia, że rzecz była bardzo trudna.

Bajbuza kusił... Wydobył złoto i dał jej sztuk parę, obiecywał cobyłko chciała.

— Bruszka mnie zabije — zamruczała stara.

— On o niczem wiedzieć nie będzie.

Potrząsała głową. Nie obiecywała nic, ale wię



zień widział, że obietnice jego złotych gór nie przebrzmiały bez skutku. Wyszła zadumana.

We dwa dni potem nocą wypuszczony w podwórko ciasne Bajbuza, przez krótką chwilę przechadzać się mógł po niem, pomiędzy murami, nad którymi tylko kawał nieba gwiazdzistego powitał z niewysłowionem uczuciem.

Stara czatowała gdzieś za drzwiami, nie dała mu długo oddychać tem czystem, orzeźwiającem powietrzem wieczora. Musiał powrócić nazad do ciasnej swej izby, ale i krótka chwila wytechnienia orzeźwiła go.

Myślał już czyby się całkiem wyswobodzić nie mógł, jeśli Bruszka chorować będzie dłużej?

We dnie teraz czytał modlitwy, o ile mu światło pozwalało... myśli miały się czem zająć.

Lecz cóż znaczyło to opuszczenie okrutne, nielitościwe przez wszystkich? Stara wyciągała chciwie dłonie, otwierała wieczorem drzwi na podwórko, służyła z obawą jakąś razem i chęcią zasłużenia się, ale z niej dobyć, dowiedzieć się czegoś nie było podobna. Jedno tylko nazwisko zamku szepnęła.

Spytana o zdrowie Bruszki potrzasała głową.

— Leży — rzekła — leży — i pokazała na piersi, minę przybierając bardzo smutną.

Najrozmaitsze a najdziwniejsze myśli oswobodzenia wiły się po głowie rotmistrza. Mógł siłą opanować klucz, lecz cóżby mu pomogło

z jednego podworca wydobyć się na drugie i zostać tam nieochybnie ujętym?

Potrzeba było czekać na jakiś cud, na pomoc z zewnątrz, której Bajbuza nie przestawał się spodziewać.

Tak, z niesłychaną powolnością wlokły się te więzienne dni bez końca, noce nieprzespane.

Jednego ranka stara wedle zwyczaju przynosząc jedzenie położyła przed Bajbuzą drugą książkę.

Zrozumiał z jej zwycięzkiego uśmiechu, iż się naprzód domagała nagrody, którą dał chętnie, potem że ksiądz był taki litościwy, iż sam książkę ofiarował, ale prosił, aby mu pierwszą jutro zwrócono.

Chwyciwszy przyniesioną Bajbuza na pierwszej karcie jej znalazł znaną ręką Szczypiora napisane wyrazy:

— „Jam już tu, będzie wszystko dobrze“.

Radość i lekki okrzyk, który mu się wyrwał, byłyby go zdradziły przed kim innym, dla starej były one tylko oznaką, że książki pożądał wielce.

Natychmiast po wyjściu starej musiał obmyśleć rotmistrz jakby na brewiarzu coś nakreślić. Nie miał innego inkaustu nad ten, którym się cyrografy szatanowi pisały na duszę — własną krew. Zamiast pióra użył słomki z posłania i rozciąwszy palec napisał:

*„Laus Deo in aeternum. Salvum me fac ab omnibus persequentibus me, et libera me!”*

---

Nie śmiał pisać ani wyraźniej ani więcej.

Szczypior tu, na tropie, to była tak dobrze jak swoboda! Wiedział, że po nim się wszystko spodziewać może, odżył, siły mu zdawały się powracać; lękał się tylko, aby mu stara z twarzy nie wyczytała, iż stał się innym.

Każdego wieczora, gdy umilkło wszystko, przy każdym wypuszczeniu na podwórku, spodziewał się czegoś.

Niecierpliwość rosła. Stara tymczasem przychodziła w zwykłej porze, nie przynosząc nic nowego i nie odpowiadając na pytania tylko swem niewyraźnem mruczeniem i ruchami rąk i głowy. Szczypior nie dawał znaku życia.

Jednego wieczora, gdy rotmistrz wcale się już nie spodziewał nikogo, bo go z podwórka, po którym się przechadzał, nazad do izby zamknięto, usłyszał brzęk kluczków i chód mężki, wcale niepodobny do przewlekłego chodu swej stróżki. W progu ukazał się naprzód obwinięty chustami o kiju wlokący się Bruszka, za nim baba, a za nimi w podróznym stroju uzbrojony... Szczypior.

Szedł tak właśnie jakby tu panem był i miał prawo rozkazywania, głośno mówiąc, z podnie-

sioną głową, a Bruszka i jego wyręczycielka słuchali z uszanowaniem.

Stanąwszy w progu dał znak rotmistrzowi i spytał głośno:

— To ten jeniec?

Bruszką zamruczał.

— Idźcież sobie — dodał na drzwi wskazując Szczypior — ja was tu nie potrzebuję za świadków, gdy go badać będę. Ty stary możesz nazad iść do łóżka, a klucze zostawić kobiecie.

Bruszką się pokłonił w milezeniu i natychmiast wysunął, stara też poszła za nim, a Szczypior zobaczywszy że się oddalili w podwórko, dopiero sam drzwi zamknął.

Bajbuza rzucił mu się na szyję.

— Na rany Chrystusowe — zawolał — czyń co chcesz, waż co tylko można, a wyswobódź mnie. Niewola gorzej tatarskiej, bo tam choć w dybach i łykach człowiek powietrzem oddycha wolnem i porusza się, a tu...

Ale jakimże ty sposobem tu rozkazujesz? — dodał.

— A cóż? udaję posłanego od wojewody? — rzekł Szczypior. — Gdyby mi się powiodło na mocy tego ciebie ztąd wyrwać... ale... nie wiem... Z Bruszką poszło dobrze, ale jest przy załodze człek, który wcale inaczej na mnie patrzy i coś zdaje się podejrzewać.

— Ale jeżeli inaczej niemożna — wykrzyknął Bajbuza — zbierz ludzi stu, półtorasta, ile chcesz, proś o nich u Żółkiewskiego, wprost padnij na zamek i wydobądź mnie siłą.

Szczypior nie dał mu mówić.

— Bądź spokojnym, byłem żyw był, nie zaśpię.

Bajbuza od tak dawna pozbawiony możności nawet poskarżenia się na nieszczęście swoje, wyłał się teraz z całą boleścią, która się w nim nagromadziła. Szczypior wyrzucał mu własną winę, niepotrzebne nastroczenie się wojewodzie.

Rotmistrz chciał aby go z sobą natychmiast wyprowadził, ale chorąży uznał to niemożliwem. I tak zuchwalstwu swemu winien był, że go tu wpuszczono, kłamstwo mogło się wydać na progu, a naówczas życia nie byłiby pewni. Nie było według niego innego środka, tylko niespodziany napad na Lanckoronę, która ani załogi wielkiej, ani przygotowania do obrony nie miała.

Szczypior jednak warował sobie, że i innych sposobów wyswobodzenia próbować mu wolno. Miał proboszcza i wikarego, którzy do zawiązania stosunków na zamku pomocą i pośrednikami być mogli.

Bajbuza nalegał. Wśród tych krzyżujących się pytań i odpowiedzi czas upływał, tak że Szczypior ledwie już mógł zawiadomić rotmistrza, iż Spytkowa w jego sprawie jeździła do wojewody.

Zebrzydowski tak jak przed posłami od senatu zapierał się, że do rokoshu teraz i nowych knowań wcale się nie mięsza, zaparł też aby Bajbuzę więził.

— Stawił mi się zuchwale — rzekł — kazałem go wziąć pod wartę, alem go wypuścił. Pojechał, nie wiem gdzie się znajduje. Jeżeli gdzie na drodze burdę zrobiwszy zabit, to nie moja rzecz. Ja o nim nie wiem nic.

Wypadkiem od pijanego Janasza dowiedział się szpiegując Szczypior o jeńcu zaprowadzonym do Lanckorony, a resztę doszedł na miejscu.

Nalegał Bajbuza o pośpiech.

— Zlituj się, abym tą niewolą nie udusił się, nie zadławił, nie przepadł marnie, pośpieszaj. Dam okup, jaki zechcą.

— O okupie mowy niema, kiedy nie chcą przyznać, że was trzymają — rzekł Szczypior. — Inaczej radzić musimy. Spytkowa jeździ i wszelkie porusza sprężyny nadaremnie, zapierają się was.

Zbyt długo pozostawszy na rozmowie musiał się w końcu chorąży oddalić, a Bajbuzę tylko może więcej jeszcze podrażnionego niż przedtem zostawił.

I znowu powróciły dni oczekiwania milczącego, ciszy głuchej a jednostajnej i próżnych badań starej stróżki, która nie odpowiadała prawie na pytania. Bruszka znowu leżał w łóżku.

Dni, które rotmistrz znaczył na ścianie, sze-

regiem nowym stały jak wieki długie, a o Szczypiorze słyhać nie było. Nie zmieniono jednak postępowania z Bajbuzą, nie obostrzono dozoru i ztąd wnosić mógł, że Szczypiora zuchwałe wtargnięcie przeszło niepostrzeżone.

Po dosyć długiem wyczekiwaniu, które zniecierpliwionemu rotmistrzowi dłuższem się jeszcze wydało niż było, nowa książka przyniesiona przez starą stróżkę zawierała list chorążego przylepiony do okładki. Był on długi i chociaż przynosił znak życia od Szczypiora, więcej może zniecierpliwił, pogniewał rotmistrza, skazanego na bezczynność, niż pocieszył. Czytał go i odczytywał wiele razy, przeklinając dołę swoją, która mu ręce wiązała. Szczypior zaklinał, aby miał cierpliwość, rozpisując się zarazem o rokoszu i wszystkim o czemkolwiek mógł dowiedzieć.

— „Kochany rotmistrzu — brzmiało pisanie chorążego — nie przeklinaj mnie, nie poczytuj tego za niedołęztwo, za tchórzowstwo; Bóg widzi, dotąd niemożna było nic uczynić, bo ważyć się mi nie godzi tylko na pewno. Gdybym się porwał, a nie udać się miało, zgubiłbym was.

„Gdy pocznę to chyba najpewniejszy, iż wyzwolić was muszę... więc i obmyśleć trzeba wszystko bacznie. Życia mojego dla was nie pożałuję.

„Wojewoda siedzi przyczajony, cicho, jako za-

jąc w kotlinie, czyni się chorym i pokutującym, powtarza wszystkim, którzy do niego przyjeżdżają — nie mięszam się do niczego, o niczem wiedzieć nie chcę — ale nikogo nie oszuka tą układnością i wiadomo wszystkim, że jest sprężyną a pobudką do nowego rokoszu, który nieochybnie stoi przed nami. Nie chcą mu wierzyć w Krakowie, ale się zapóźno bodaj przekonają.

„Z naprawy wojewody zięć jego Smogulecki i Grudziński wojewoda rawski, rozgniewany na króla że mu sochaczewskiego starostwa odmówiono, a najgłówniej warchoł i krzykacz Piotr Łaski, którego znacie dobrze, bo kędy był wszędzie bez burdy nie wyszedł, gardlują i buntują w Wielkiej Polsce.

„Łaskim się posługują, aby Smogulecki nie był widoczny, bo wiadomo, że on a Zebrzydowski jednym są.

„Ściągnęli szlachty różnej, tych szczególnie, co tumult i wrzawę łaćno zrobić umieją i krzyczą jeden za dziesięciu dokoła, w połowie Februarij, i tam Łaski rej wiódł. Postanowili Zebrzydowskiego nie opuszczać, bolejąc że on został zdradzonym i zaprzędanym; rozesłali ztąd uniwersały po całej rzeczpospolitej, jakim prawem, to oni sami tylko wiedzą, zwołując rokoszowy zjazd znowu na 20 Martij do Jędrzejowa. Z tego ich uniwersału, którego kopii nie mogę tu załączyć, tyle wypisuję, że na miłość ojczyzny zaklinają,



na krwawe łązy uciśnionej szlachty, aby się wszyscy stawili.

„Item piszą w nim: „Zaledwie rokoszowi z pod Janowca rozjechali się, ścigano ich, wyśmiewano, prześladowano wszędy; podskarbi jak wprzód trwoni dochody publiczne, na każde rozkazanie królewskie spisują się wojska zagraniczne, pomnażają liczbę dział i narzędzi wojennych, jak gdyby król na nieprzyjaciół wiary chrześcijańskiej miał ciągnąć; zwleczone sejmu zwołanie, już ciężkie jarzmo niewoli tłoczy się na karki nasze... *et sic porro*“.

„W kole marszałkował Ponętowski, taki gardłacz jako i Łaski, a w Krakowskim i Sandomirskiem wysadzili równego im Pękosławskiego, który do króla zuchwałe poselstwo wysztytował z wyrzutami. Próbowali też, nie wiem jakim szczęściem, pozyskać sobie kardynała Maciejowskiego, ale wątpię aby zjednać potrafili.

„Król posyłał monitując Zebrzydowskiego za te knowania, na co on, jako wyżej pisałem, odparł wyrzekając się wszelkiego udziału i świadomości.

„Ponieważ nigdzie na tych nie zbywa, co w mętnej wodzie coś ułować się spodziewają, i ten rokosz odgłos znajdzie, ale niewszędzie. Sieradzanie oświadczyli się przy królu, z czem starego Boxę Radoszewskiego albo posłali lub wysłał. Król na sejmiki uniwersały rozsyła.

„Tyle *de publicis* — pisał Szczypior — a co się tknie Nadstyrza i majątności waszych, cale spokojni być możecie, że tam ich jako własnego dobra sługi wasze strzegą. Jejmość pani Leszczakowska, mimo wieku, dosyć rzeżwa i trzyma się dobrze, Rabski choć na nogi podupadł, na umyśle rzeżwy... Zaklinam — kończył — abyście cierpliwości zażyli, dopóki mi Bóg nie dozwoli was wyswobodzić, co kosztem własnego żywota radbym przyspieszył“.

Po tym liście słotny i zimny miesiąc marzec przeszedł na próżnem oczekiwaniu, począł się kwiecień, a niecierpliwość Bajbuzy dochodziła do ostatecznej granicy. Po nocach już oka nie zmrużył, tak mu się ciągle zdało, że nadchodzącego dla wyzwolenia go Szczypiora słyszy.

Naostatek kwiecień też do terminu swego dochodził, a Szczypiora jak nie było, tak nie było. Książki też, to jest listu od niego nie odebrał Bajbuza, co go utwierdzało w przekonaniu, iż lada godzina nadejść musi.

Gdy tak nocy jednej na barłogu swym bezsenno spoczywał rotmistrz, albo raczej zżymając się rzucał i męczył, do Boga próżno wdychając o pomoc, a do obrazów cudownych wota różne ofiarując w duchu, usłyszał pukanie jakieś do ściany, jak mu się naprzód zdało.

Zerwał się więc nasłuchując zkądby ono pochodziło, i doszedł, że niedaleko legowiska jego

w mur młotem uderzano pośpiesznie. Nie czekając więcej natychmiast odziewać się począł i zbierać oręż jaki miał, aby w gotowości być, gdyby wyłom w murze zrobiono, czego się tejsze nocy spodziewał.

Tymczasem prawie do rana samego trwało coraz go wyraźniej dochodzące bicie w mur gruby i z twardego kamienia polnego przed wieki zlepiony, który jako jedna zlał się skała. Razem ze dniem ustały uderzenia młotem i wszystko ucichło. Cały dzień potem spędził czuwając rotmistrz, ale musiał przy starej stróżce udawać, jakby o niczem nie wiedział.

Z nocą, jak się spodziewał, znowu łamać mur rozpoczęto i późno już było, gdy naostatek Bajbuza kamienie w nogach łoża ujrzał poruszające się nieco, i rzucił pomagać do ich wydobywania.

Nim jednak otwór rozszerzono dó tyła, aby on się nim mógł wydobyć z więzienia swojego, wiele znowu czasu upłynęło, i gdy Bajbuza wazył się w ciasną szyję, jaką mu rozprzestrzenie się starano, dzień zaczęło. Że się w niej nie uduślił, winien był temu, iż go ludzie za nogi pochwycawszy siłą wyciągnęli, a potem między siebie wzięwszy po gruzach i piasku wyprowadzili aż w zarośla u stóp zamkowego muru. Szczypior był ciągle przy nim. Niedaleko stały gotowe konie, ale Bajbuze winem i wodą musiano krzepić

po wielkim wysiłku i znużeniu, nim się na siodło mógł podnieść. Raz zaś siadłszy, Szczypior pewnym był, że się bądź co bądź utrzyma, dopóki w nim życia stanie.

Nie było chwili do stracenia, gdyż jak skoroby ucieczkę więźnia odkryto, pogoń wysłać musieli. Rachował przecież rotmistrz, iż nie wprzódę się postrzegą, aż o zwykłej godzinie, o której mu ranną polewkę stara stróżka przynosiła, a do tej było jeszcze daleko.

Z Lanekorony w żadną stronę bezpieczniejsz uchodzić się nie zdało jak do Krakowa, ale właśnie na tym gościńcu i pogoń ścigać mogła.

Szczypior miał z sobą ludzi dwudziestu, których on nazywał elierami, tak jako w wojsku wybór zwano naówczas, najdzielniejszych i najsprawniejszych. Z nimi choćby i dwa razy liczniejszą napaść mógł odeprzeć, a wielki gościeńiec do stolicy prowadzący, na którym zawsze prawie się spotykało poczty różne i kupców z towarami, do pewnego stopnia od napaści zabezpieczał.

Puścili się więc, Bajbnę w pośrodek wiawszy, który rychło się powietrzem i ruchem orzeźwił, bez namysłu do Krakowa, koni nie lutując. Dwie lub trzy godziny mając przed pogonią, Szczypior ująć przed nią się spodziewał.

Podkop pod mur, który tyle ciężkiej pracy kosztował, i do którego Szczypior górników aż

przybierać musiał, okrywały zarośla z tej strony zamku mur w części otaczające, tak że otwór chyba przypadkiem mógł być znaleziony.

Liczono więc na pewną ucieczkę, ale zawiodła rachuba... Uderzanie w mur zwróciło z wieczora uwagę jednego z pachołków zamkowych, który do ziemi ucho przyłożywszy, długo się przysłuchując z ciekawości, wieczorem o tem, nie burgrabiemu choremu, ale dowódcy małej załogi, staremu też, ale bardzo ruchawemu i czynnemu Czabińskiemu doniósł. Zgromił go zrazu Czabiński, utrzymując, że się przywidziało niezdarnemu chłopu, lecz nocą niepokój go opanował. Zbudził pachołka i poszedł z nim sam nasłuchiwać.

Tu dopiero się przekonawszy, iż w istocie kucie jakieś podziemne słychać było, choć nie domyślał się co to być mogło, ze dniem postanowił na zamku zrobić pilne poszukiwanie.

Gdy dobrze rozedniało, a Bajbuza jeszcze nie daleko był od Lanckorony, Czabiński po zamku wszędzie z tej strony, gdzie się uderzenia słyszeć dały, izby jedna po drugiej otwierać sobie kazał. Do rotmistrza nie wpuszczano go nigdy i tym razem burgrabia się przeciwiał temu, ale stary Czabiński nałajawszy mu, klucz prawie siłą pochwycił i poszedł do więzienia. Chory Bruszka mu nie towarzyszył, szła tylko stara stróżka, która od progu zobaczywszy

tarczan próżny, dziurę u stóp jego w murze, kilka kamieni na środek izby wytoczonych, ziemi kupe, z krzykiem jak oszalała pobiegła do burgrabiego.

Czabiński się tylko obejrzawszy, zmiarkował, że jeśli pośpieszy, może sobie pozyskać wielkie względy wojewody, chwyciwszy uchodzącego; kazał więc natychmiast najlepszym z załogi ludziom na koń siadać, sam zbroję wdział i na oślep puścił się gościńcem ku Krakowu.

Zamiast spodziewanych godzin jakich pięciu lub sześciu, Szczypior z Bajbuzą nie mieli teraz nad dwie może. Starczyłyby one przy pośpiechu, gdyby nie zbytne zaufanie Szczypiora, który rotmistrza widząc wycieńczonym bardzo, namówił go z gościńca w bok do szlacheckiego dworu dla posilenia się i trochę spoczynku. W tym to dworze u niejakiego Laskowskiego, dalekiego krewnego, Szczypior przez cały czas podkopywania się przesiadywał i miał tu z ludźmi bezpieczne schronienie.

Bajbuza się opierał, utrzymując że nie mu nie potrzeba oprócz swobody, lecz chorąży go zmusił, a za bezpieczeństwo głową chciał ręczyć.

Zajechali więc przed dwór, koniom tu tylko wody i trochę siana dając, sami zaś wstąpili na miskę krupniku i piwo. Przeciągnął się jakoś

popas, przy dobrej myśli, mimowolnie, tak że gdy na koń siedli znowu i na gościniec krakowski wyjechali, mieli za sobą Czabińskiego o niewiele stai.

Ratowało ich to, że pogoń wcale nie znała uchodzących i niebardzo się ważyć mogła na pierwszy lepszy poczet spotkany na drodze. Czabiński byłby ich może pomiął nawet, ale się ludzie Szczypiora zdradzili sami.

Zaledwie się bowiem pogoń ukazała, niespokojni chwycili za broń i widocznie gotować poczęli do walki. Czabiński, któremu szło wielce o to, aby się zasłużył i okazał gorliwość swoją, bez namysłu rzucił się na Szczypiora, który zbiwszy się z ludźmi w kupę, hakownicy kazał gotować, aby ognia dać natychmiast. Nastąpiło starcie, w którym siły z obu stron były równe, ale żołnierz rotmistrza daleko dzielniejszy i śmielszy, musiał wziąć górę.

Pomimo wielkiej wrzawy i zachęcania Czabińskiego, który krzyczał nieustannie: Bij! zabij! — hajducy jego ledwie się spróbowawszy ze Szczypiorowymi w części tył podali.

Ugodzony kulą padł sam dowódzca, a to było hasłem dla reszty, aby poszła w rozsypkę. Bajbuza chociaż osłabły długiem więzieniem, nie mógł się powstrzymać aby szabli nie dobyć i razem ze Szczypiozem nie rzucić się za uchodzącymi. A tu go hajduk, któremu na karku siedział, od-

wróciwszy się koncerzem ciężkim znowu w ramię toż same, które już raz ranione było, cięciem silnem z konia zwałił. Padł i on sam wprawdzie zaraz rozsiekany przez kopijników Szczypiora, lecz Bajbuzę potem już na koń posadzić nie było można, musiano po wóz słać i na nim się wlec z rannym do Krakowa.

Drugiej pogoni nie lękano się już weale, lecz rana rotmistrza do rozpaczey przyprowadzała, bo go w tej chwili gdy najczynniejszym pragnął być, znowu na czas jakiś uczyniła bezwładnym. Przodem posłał chorąży do Krakowa, aby i doktora i wszystko co rannemu potrzebnem być mogło przygotowano, a sam przy wozie jadąc, dopiero drugiego dnia rano z nim dostał się do stolicy.

Tu dwór właśnie, król i wojsko przygotowywało się do wyjścia dla sejmu zwołanego do Warszawy.

Wiadomość o oswobodzeniu Bajbuzy byłaby zaraz się rozeszła po mieście, ale on sam i Szczypior nie chcieli, aby o tem szeroko rozpowiadano, i o ile mogli taili całą przygodę.

Przywołany doktor ranę uznał dosyć ciężką, zwłaszcza że prawie w tem samem miejscu wypadła, gdzie już pierwsza kość naruszyła. Bajbuza się tem pocieszał, iż, jak on utrzymywał, wszelkie rany u niego prędko się goić były



zwykły. A że się na swobodzie czuł, powiadał, że ją jeszcze okupił tanio, tak mu zamknięcie dolegliwem się stało.

Doktor, niejaki Ochocki, który naówczas słynął zwłaszcza z tego, iż około rannych bardzo dobrze i szczęśliwie chodzić umiał, obiecywał, że pomimo ciężkiego obrażenia ręki, on prędko zdoła wygoić ją i władzę przywrócić. Lekarz to był dla rycerstwa stworzony, wesół, żartowniś, do kielicha ochoczy, sam potroszę żołnierz, bo za obozem nieraz jeździł czasu wojny, znający obyczaje i naturę polskiego rycerstwa, z którem doskonale obchodzić się umiał. A że Bajbuza na wstępie mu wielkie wynagrodzenie przyobiecał, jeśliby go rychło na nogi postawił, Ochocki po całych dniach i nocach się ofiarował siedzieć przy nim i czuwać nad raną.

W Krakowie ponieważ wozy już królewskie stały do podróży gotowe, a hetman Żółkiewski rycerstwo sprawiał mające mu towarzyszyć, z nikim się widzieć nie było można, oprócz jednego Kalińskiego, który nadbiegł razem uradowany i przestraszony.

Od niego dowiedzieli się, że król do rokoszan pod Jędrzejowem zebranych posyłał znowu Wołłowicza i księcia Zbarażskiego, do upamiętania ich przywodząc; a drudzy byli tego zdania, aby zamiast poselstwa do nich słać, wprost cią-

gnać po drodze na Jędrzejów i rozpędzić, co by łatwo stać się mogło. Król zawsze przelew krwi unikając do ostatniej chwili nie zgodził się na to i wprost kazał do Warszawy iść z sobą Żółkiewskiemu i Potockim.

---

## VIII.

Kaliński dla miłości rotmistrza, któremu chciał służyć, bo ani Szczypior, ni on z Krakowem dosyć obeznani nie byli, wyprosił sobie zwłokę i pozwolenie późniejszego do Warszawy przybycia. Pozostał więc przy rannym razem z dr. Ochockim; a przydał się wielce nie tak dla przyniesienia leków, plastrów, napoju i jadła, jak dla rozerwania go i opowiadania o tem, co się na dworze i po świecie działo pod ten czas, gdy nieszczęśliwy Bajbuza ciężką niewolę swą cierpiał na zamku w Lanckoronie.

Nie zmieniała ona wcale ani charakteru, ani sposobu myślenia rotmistrza, który już za starym był, ażeby go cokolwiekbądź na nowego człowieka przerobić mogło.

Pozostał tak samo marzycielem, gotowym do wszelkich poświęceń dla dobra publicznego,

jakim był od młodości, ale mniej niż kiedykolwiek jasno widział, dokąd, jak i pociąg było potrzeba, ażeby usłużyć Rzeczypospolitej.

Opowiadania Kalińskiego co chwila okrzyki podziwienia z ust jego wyrывały. Nie mógł tego pojąć, jak wielcy mężowie, do których liczył Żółkiewskiego i Chodkiewicza, mogli tam, gdzie o *salus reipublicae* chodziło, sprzeczać się o pierwszeństwo i odmawiać posłuszeństwa; nie rozumiał kardynała Maciejowskiego, gdy dla niezrozumiałych mu pobudek zdawał się skłaniać ku Zebrzydowskiemu i przemawiać za nim; zdumiewał się Ostrogskiemu, który nie wiedział na którą się przechylić stronę i zdawał targować o to, co dla siebie na tem zyska!

Często więc, gdy Kaliński w prostocie ducha opowiadał mu jak rzeczywiście stały rzeczy, jak się ludzie obracali nakształt wietrzników za lada powiewem, jak mieniały się z dnia na dzień przekonania, Bajbuza na łóżku swem rzucał się zapominając o zbandażowanej ręce i wołał.

— Plotki prawisz, czernidła mi powtarzasz, gdzieżby tacy ludzie mieli tak małymi być!

Naówczas Kaliński obrażony mnożył dowody i przekonywał, że mówił prawdę, a nieszczęśliwy rotmistrz rozpaczał.

— Gdzież są ludzie? gdzie są bohaterowie? na co zejdzie ta Rzeczpospolita, gdy prywatą z każdym dniem górę nad wszystkim brać bę-

dzie. A toć służba rzeczypospolitej kapłaństwem jest, a nie kramem, w którym o zarobku myśleć przystało. Za kimże tu teraz iść, na kogo patrzeć? kompasu niema! człowiek mały jak ja zabłąkać się musi.

Szczypior i Kaliński, którzy nigdy tak górnio rzeczy nie brali, a zapatrywali się na sprawy wszelkie ze stanowiska poziomego, śmieli się nie-dobrze rozumiejąc Bajbuzę, a może nawet posadzając, że nieco musiał być postrzelony.

Szczypior oddawna niepomierną ofiarność Bajbuzy miał za rodzaj szalu.

— Gdzież to rzecz słyszana — mówił — żeby tu kto skarbiec swój wycieńczał, ludzi na swoim żołdzie trzymał, sam szedł krew przelewać, wszystko rzucał dla służby, a ani o żołd, ani o jurgielt, ani o żadną bonifikacyę się nie upominał nigdy, nie nie chciał, o nie się nie starał!

Magnaci się o starostwa rozbijają i gdy im odmówi król, do rokoszu idą, a ten ani prosił nigdy, ani gdy mu obiecywano upominał się i nie żąda nic.

Kaliński to tłumaczył wielką żądzą rycerskiej sławy, ale naprawdę i tej Bajbuza tak nie był żadnym, że niejednen raz drugim ustępował zasługę tego, co sam uczynił, mówiąc z prostotą śmieszną.

— Ależ tu nie idzie o to czylim ja to uczynił albo ty, czy kto trzeci, tylko aby rzecz była

dokonana... *Salus reipublicae suprema lex*. A mnie co z tego, gdy imię moje wybębnić będą? Tyle tylko, że mogę się w próżność wbić, rozum postradać i nadać się jak drudzy pyszałkowie.

Więc żartobliwie między sobą go zwali świętym, za co się też gniewał.

— Jestem człowiekiem dobrej woli — mówił — ale pono słabego umysłu, gdy do siwego włosa drogi sobie nie znalazłem i spokoju na duchu nie mam. Radbym świat widzieć godnym tego Boga, co go stworzył, a więcej w nim czuję szatańskich mętów, niż jasnej myśli Bożej! Ślepym chyba być muszę.

Doktor Ochocki, który najmniej może Bajbuzę rozumiał i miał go za jakiegoś komedyanta, prawiącego ambaje, aby ludzi durzyć, przerywał zwykle utyskiwania Bajbuzy najprozaiczniejszymi w świecie uwagami.

— Ale bo poco świdrować i mędrować tak bardzo? Ja robię to co dziś powinieniem uczynić, a o resztę się nie troszczę. Każdy tej rzeczypospolitej pocziwie służy, kto swój obowiązek spełnia, szewc co buty szyje, ja co rany zaszywam i ichmość co je nieprzyjaciołom zadajecie. Więc poco tu sobie suszyć głowę?

Bajbuza się obruszał.

— Dobrze to wam mówić — wołał — bo lekarz ma zadanie bardzo proste, ale ci co służą rzeczypospolitej czasu fakeyi i rebelii, gdy nie-

wiedzieć gdzie iść, muszą się przecie z sumieniem swem rachować!

— *Errare humanum est!* — przerywał Ochocki — więc gdyby się omylili? jeżeli szli wedle sumienia i przekonania, nie są winni!

— A jeżeli prywatą nimi kierowała? — wołał Bajbuza.

— Tedy powołani na sędziów sądźcie ich, karzcie — mówił doktor — ale pamiętajcie na to, że *caro infirma*, i że człowiek stworzenie słabe.

— A! toż to właśnie nieszczęście nasze, żeśmy słabi — dodawał Bajbuza. — Potrzeba nas hartować od kolebki, po spartańsku chować, a nie miękzyć i psuć jako dziś czynią. Zbytków się wyrzec należy, płochość zawczasem karcić.

Gdy tą drogą puszczał się Bajbuza, naówczas słuchacze spoglądali na siebie z politowaniem, bolejąc nad tem, że człowiek tak pocziwy, takie mógł w głowie chować zające.

Doktor mu wyrzucał, że chyba ze świata kłasztor chce zrobić, co nie może być, Szczypior ramionami poruszał, Kaliński śmiał się.

Więzienie, w czasie którego długo sam ze swemi myślami mieszkał rotmistrz, jeszcze go uczyniło więcej egzaltowanym i dziwaczniejszym. Choroba też przyczyniała się do tego, że umysł niecierpliwy, niewolą cielesną znękany, najosobliwszemi wybrykami się rozrywał.

Z Warszawy po wyjeździe króla i wyjściu wojsk przychodziły na zamek wieści powoli i niezbyt szczegółowe. Mało kto pozostał tu z osób wyższe zajmujących stanowiska, bo wszyscy na sejm pociągęli.

Wiedzano tylko, iż król z wielką powściągliwością, jak zawsze, do rokoszan się odzywał, łagodnie ich wzywając do opamiętania, do posłuszeństwa, gdy oni ze swej strony tem gwałtowniej i zuchwalej grozili i bezkrólewie wprost już ogłaszaali.

Ale oprócz Zebrzydowskiego, który znowu jako głowa i wódz najwyższy występował na czołe, nie miał rokosz ludzi wielkiego znaczenia. Radziwiłł i on przodowali, Herburt tylko rwaniem się i śmiałością swą coś znaczył, mieniem zaś i wziętością nie mógł się chwalić, Grudziński mało znanym był, a reszta jak Smogulecki, Pękosławski, Kazimirski, Łaszczyca tylko dokazywali wiele. Żadne z wielkich imion nie stało na aktach rokoszu nowego, który wiele utracił od pierwszego zawiazku swojego, a trzymał się tylko jakąś rozpaczliwą siłą.

Grawamina zaś, które zapowiadano jako straszliwy oręż przeciwko Zygmuntowi, ciągle były powtarzaniem jednych i tych samych praktyk rakuzkich, frymarków koroną, zdrady kraju i t. d.

Z temi ludźmi się już tak osłuchali, a dowo-



dów na poparcie zarzutów tak brakło zawsze, iż nikt już ich słuchać nie chciał. Dla tych, co więcej byli wtajemniczeni w Zebrzydowskiego myśli i zamiary, to było jawnem, że groźnym się stawił, aby ostatecznie znużywszy niepokojem i rebelią skłonił króla do układów, mogących mu ogromne wynagrodzić straty.

Nietylko bowiem majątności własne, ale i Zamojskiego małoletniego mocno nadszarpnięte były wydatkami na rokosz i wojsko zaciągane poczynionemi.

Nieprzyjaciele zaś wojewody, a na ich czele Myszkowski, wołali że dosyć dla niego będzie, gdy przebaczenie uzyska; nagradzać go zaś byłoby zgorszeniem i zachętą dla podobnych jemu warcholów.

Nie chciał temu wierzyć Bajbuza, gdy od tych, co bliżej hetmana Żółkiewskiego stali, doszła wieść, iż i on teraz skłaniał króla o ile mógł do powolności dla Zebrzydowskiego. Wprawdzie szwagrami byli, ale od pierwocin rokoshu hetman zrozumiał to, iż przy królu stać był obowiązany.

Pomawiano go pocichu już o pobłażliwość dwuznaczną, przeciwko czemu rotmistrz mocno się oburzał i brał go w obronę, gdyż po Zamojskim najwyżej go stawiał ze wszystkich otaczających Zygmunta ludzi.

Tymczasem Potoccy, którzy mu zazdrościli,

Chodkiewicz, a na dworze króla co z nimi trzymało, nieufność do niego starało się obudzić.

Więści o tych intrygach dworskich rotmistrza wprawiały w niezmierne gniewy przeciwko potwarcom; chciałby był biedz na miejsce, stać przy hetmanie i nie dać się szerzyć uwłaczającym mu posądszeniom.

Rana, przy największych staraniach dr. Ochockiego, nie dawała się tak rychło zgoić jak pragnął Bajbuza.

— Gdybym ją wam ładajako zalepił — mówił doktor — cóż potem? odnowiłaby się, ręka by władzy nie miała, a wybyście mnie potem przez całe życie przeklinali, żem was mańkutem uczynił. Cierpliwość miejcie, na sejm bardzo nie byliście potrzebni, jest tam bez was dosyć, a do rozprawy z rokoszanami przed końcem sejmu trudno żeby przyszło, i kto wie, czy przyjdzie nawet.

Król powolny i dobry, da się uprosić i puści winy w zapomnienie.

— Gdyby do wojny przyjść miało, a jam tu związany jak baran leżeć musiał, gdy ojczyzna wołała, doktorze... rozpaczby mnie zabiła.

Ochocki śmiał się.

— Cierpliwości! — powtarzał — mnie się zdaje, że choćby do domowej, braterskiej wojny przyszło, na biedę, to szczęśliwy kto do niej nie będzie zmuszony... a wy, mości rotmistrzu, tak

się na nią rwiecie, jakby ona przysmakiem była?

— Rwę się do niej, choć wiem, że ona świętokradzką jest i niegodziwą — wołał Bajbuza — ale właśnie największy to dowód poświęcenia dla Rzeczypospolitej, gdy człowiek jej służy aż do takiego terminu, krwi braterskiej. Płakać będę na pobojuwisku, ale gdy idzie o uspokojenie, o zakończenie tego zgorszenia, tej sromoty, chcę iść jako drudzy i obowiązku dopełnić.

Więc, chociaż rotmistrz jeszcze zaledwie mógł się z łóżka dźwignąć, Szczypiora wyprawił, aby kopijników nanowo dobierał i dopełniał, bo przyrzekł hetmanowi, że z nimi przyciągnie. Choraży chwilami tylko do Krakowa mógł zaglądać, resztę czasu kopijnikom poświęcając.

O całej tej przygodzie rotmistrza, jego samowolnem uwięzieniu i wyswobodzeniu, innego czasu pewnieby mówiono wiele, ale teraz tyle było codzień nowych powieści, tyle rokoshowych gadek, że o Bajbuzie nikt nie myślał.

Cały miesiąc kwiecień i maj upłynęły tak w pustym Krakowie na przysłuchiwaniu się temu, co tu z Warszawy dochodziło. Jednego dnia powiadano, że sejm się odprawiał niczem niezamącony, a rokoshanie coraz słabli, bo ich odstępowali nawet przyjaciele wojewody, drugiego głoszone, że w pobliżu od Warszawy stojący

obozem rebelizanci mieli na miasto najść i sejm rozpędzić.

Wszystko to tak niecierpliwiło już Bajbuzę, że gdy rana bliska była zupełnego zagojenia, a on czuł się na siłach, wręcz Ochockiemu zapowiedział, że pod koniec czerwca bądźcobądź, choćby z ręką na opasce, z kopijnikami do Warszawy wyruszy.

— Rób sobie co chcesz, a ja com postanowił nie cofnę — mówił Bajbuza — dłużej czekać nie mogę. Wedle moich wiadomości i przewidywania, jeśli się rzeczy nie zmienia, król po skończonym sejmie w pole przeciwko rokoszanom wyciągnie, a ja naówczas przy hetmanie muszę być.

Szczeńściem dla doktora i dla rotmistrza, rana się około tego czasu całkowicie zbliżniła, smarowaniami tylko i wannami z ziół różnych Ochocki chorego starał się pokrzepić tak, aby mógł niewygody wyprawy znieść bez szwanku. Sam zaś Bajbuza tak się już czuł i na duchu i na ciele silnym, że nie czekając końca czerwca, z Krakowa postanowił wyruszyć. Zabierał z sobą Kalińskiego, który jako dworak za życiem w antykamerze i łapaniem w niej plotek zatęsknił.

Wiosna była bardzo piękna i podróż ta z kopijnikami, ludem wesołym a ochoczym, obiecywała się jak przejażdżka przyjemna, bo po drodze o rokoszanach słyhać nie było.

Jednego więc poranku pogodnego, za bramą

Floryańską połączywszy się z chorągwią swoją, którą powitał niemal ze łzami, Bajbuza po mszy świętej i błogosławieństwie, Bogarodnicę kazawszy zaśpiewać, wyjechał w towarzystwie Kalińskiego i Szczypiora.

Czuł się jakby odrodzonym znowu na koń wsiadłszy, z szablą u boku, z koncerzem u nogi, z sahadakiem na plecach, wśród starych towarzyszków broni.

— Boże mój — zawołał — na coś się i niewola przydała, bom nigdy tak swobody rozkoszy nie czuł, a nią się nie cieszył jako teraz... a już w tem zamknięciu srogiem niejedną raz myśli przychodziły, że mi Bóg nie dozwoli swobodnie oddychać powietrzem tej ziemi.

I łzy miał na powiekach.

W najweselszem usposobieniu, bez pośpiechu zbytniego jechali tak koni nie zamęczając ku Warszawie, a po drodze już dochodziły ich wieści, że król właśnie się sposobił wyjść w pole, bo wszelkie próby porozumienia się rozchwiały, a Zebrzydowski króla już w Zyguncie znać nie chciał. Siły jego połączone z Radziwiłłowskiemi, Herburto wemi i szlachta z Wielkopolski przez Smoguleckiego ściągnięta, przewyższać miały te, które mi Żółkiewski, Potocki i Chodkiewicz rozporządzali.

Ale regaliści rachowali na to, iż kwarciarzy żołnierz karniejszy był i stał jeden za wielu rokoszan.

Wieczorem jakoś przyszło oddziałowi Bajbuzy do miasta wchodzić, a nikt tego nie przewidywał, że rozchodzący się właśnie sejm, rozjeżdżający senatorowie, ich dwory, kupecy, których do miasta ściągnęło sejmowanie, tak ulice zapełniali, iż wejść do miasta było trudno.

Opóźniło to znacznie na wieczorną godzinę obrachowane przybycie rotmistrza, a Szczypior pomimo najusilniejszych starań z kopijnikami swymi inaczej jak noga za nogą ciągnąć nie mógł, cochwila to ogromnemi wozami, to ściskiem pijanej gawiedzi, to nawet trzodami bydląt hamowany w pochodzie.

Wjazd zaś, na który chorąży rachował, że oczy warszawianek i mieszczaństwa ściągnąć powinien, wcale nawet postrzeżonym nie był, tak Warszawa wypróżniająca się zajęta była tymi, których żegnała.

Rotmistrz z Kalińskim, choćby byli mogli pośpieszyć przodem do dworku, nie chcieli Szczypiora z jego kopijnikami zostawiać za sobą.

Szło zaś w ciasniejszych uliczkach tak opornie i nie bez zatargów i kłótni, że nieustannie stawać musieli, niekiedy siłą wozy rugując i przejście sobie czyniąc. Nigdy żaden z nich Warszawy nie widział tak wzburzonej, tak nabitej ludnością najrozmaitszą, a tak razem rozszalałej i wrzawliwej. Zdawało się jakby coś z rokoszu za murami jej rozkołysanego i tu się czuć dawało.

Kaliński, który wprost na zamek jechał, po-  
żegnawszy rotmistrza, nazajutrz mu się obiecał  
z wiadomościami, których jeszcze tego wieczora  
spodziewał się podostatkiem przyzbierać.

Na placu, który na obóz dla żołnierzy umyśl-  
nie najęty był i przeznaczony, kopijnicy znaleźli  
wozy nieuprzątnięte w porę i to znowu rozło-  
żenie się opóźniło. Słowem noc nadchodziła już,  
gdy Szczypior i Bajbuza uznojeni w ostatku do  
izby weszli, gdzie im wieczerzę zastawiono, i rot-  
mistrz zbroję z piersi zrzuciwszy, rękę wycią-  
gnął, aby okazać, że nią władza jako dawniej  
i znużenia nie czuje.

— Spoczynek się nam należy — rzekł — za-  
robiliśmy nań dziś lepiej niż dni innych, bo do  
Warszawy się dostać było trudno, jakby do  
twierdzy, której nieprzyjaciół broni; a no, ode-  
techniemy!

Szczypior okna otwierał. Oba byli wesołej  
myśli. Wtem zdala głucha wrzawa jakaś, dziwna  
doszła ich uszów.

— Miasto dysze i chrapie — rozśmiał się  
Bajbuza — sen ma ciężki.

— Ba! — odparł Szczypior — coś to nie na  
sen patrzy... posłuchajcie!

Oba stanęli w otwartem oknie. Od strony  
starego miasta i zamku głuche warczenie tłumu,  
przerywane krzykami słychać było. Szum oprócz

tego i trzask jakiś ponad tę falę głosów zmieszanych się wyrwał.

— Ależ to północ blisko, a ta gawiedź miejska uspokoić się nie może! — zawołał Bajbuza.

— Gawiedź miejska? — podchwycił Szezy-pior — nie, to chyba poczty jakie i ciury od pańskich dworów burdy wyprawiają; ależ przy królu strażę są i marszałek od tego, aby w pobliżu zamku wrzawy takiej nie dopuścił. Cóż to ma znaczyć?

— W istocie niepojęty nieład pod bokiem dworu, pod zamkiem samym.

Mówili jeszcze, gdy na ciemnem niebie w stronie z której wrzawę słyhać było, naprzód słabe światło się rozlało szeroko, potem jasny płomień buchnął do góry.

— Gore! gore! — dały się słyszeć krzyki w ulicy.

— Gore!

Gorzało w istocie i pożar już był tak gwałtowny, że wkrótce nawet oddalone ulice czerwonym odbłaskiem swym rozjaśnił. Dzwony u fary, u P. Maryi, u Bernardynów i Jezuitów jęczeć poczęły.

Z początku stłumiony ów gwar zmienił się w straszliwy ryk jakby zrozpaczonej ludności. Co żyło wybiegało na ulicę, kupcy uciekali z wozami, które sobie drogę zapierały, ścisk nie dawał ani uchodzić, ani przybiedz na ratunek.



W mgnieniu oka Bajbuza i Szczypior lekkie tylko zbroje na piersi wzięwszy, krzyknęli na czeladź i biegli już ku zamkowi, gdyż ogień zdawał się w tamtej szerzyć stronie.

Ale szablami przyszło torować sobie drogę, tak wszędzie tłumu obcych i mieszczan pełno było i nabitó. Uchodzący wołali, że budy i kramy na starem mieście zajęły się pierwsze, a ogień szybko rozniósł po sąsiednich domach.

Zamek, fara, budowy bliższe ogniem pożaru całe były oblane. Przed bramami zastali strażę królewskie, Myszkowskiego na koniu, kupy mieszczan lamentujących, którzy nie wiedzieli jak ratować siebie i miasto.

Wydawano rozkazy napróżno.

Tymczasem ten sam motłoch, co ogień podrzucił pod bogate sklepy kupców parskich na sejm przybyłych, rozrywał już towary, plądrował i rabował nietylko budy płonące, ale domy mieszczan, z których starano się coś ratować.

Popłoch wśród ciasnego rynku, na uliczkach wąskich panował straszny; nikt nie umiał i nie śmiał ani płomieni szerzących się zalewać, ani budowli i dachów od płonących już oddzielić, aby szerzenia się ognia nie dopuścić.

Bajbuza w pośród tego zamętu znalazł się w swoim żywiole, otrzeźwiony, przytomny, mężny. Jednym rzutem oka objąwszy położenie, obrachowawszy niebezpieczeństwo zagrażające

zamkowi, przypomniawszy sobie, iż rokoszanie stali niedalej jak pod Jeziorną i że wzniecony pożar mógł być ich dziełem, z którego zamierzali korzystać, sam pobiegł ku zamkowej bramie, a Szczypiora odprawił z rozkazem, aby kopijnicy na koń siedli i na straż do króla przybywali.

Gdy przerzynając się przez skupione w ulicach i przerażone gromady ludu, dworskie czeladzie seuatorów, czeladź rzemieślnicza, Bajbuza dobił się do wrót zamku już zapartych i przez Myszkowskiego obwarowanych strażą, znalazł w pierwszym podworcu króla samego ubranego jak do wsiadzenia na koń, otoczonego urzędnikami i dworem swoim.

Zygmunt III i w tej chwili tak groźnej, w której w istocie najścia rokoszan spodziewać się było można, nie stracił swej zimnej krwi i przytomności. Stał w ręku ciskając różaniec z krzyżykiem i niekiedy półsłowy rozkazy wydając.

O. Bernard, kilku Jezuitów, dowódcy straży byli przy nim. Myszkowski konno u wrót ustawił wojsko, którego część hetman sam wyprowadził za miasto ku Jeziornie, aby na wszelki wypadek nie dopuścić napaści do murów.

Wtej chwili właśnie królowa, z Ursulą Meyerin, z dziećmi i całym fraucymerem swoim wychodziła z zamku i skierowała się ku kościo-

łowi farnemu, gdzie już przed wielkim ołtarzem kapłan stał z błagalną modlitwą i organ się rozlegał wielkim głosem pieśni: Święty Boże!

Powaga tego królewskiego dworu, obojga państwa, sług nawet, które przestraschu okazywać nie śmiały, zapatrując się na króla i królowę, wzbudzała poszanowanie.

Jakby za procesyą ciągnęły zakwefione niewiasty królowej, mierzonym krokiem, z modlitwą na ustach spokojną. Tylko na oczach królowej, gdy pomijała męża, który wydawał rozkazy i odbierał doniesienia, blask pożaru odbił się we łzach u powiek zwieszonych.

Nawet w tej strasznej godzinie Zygmunt umiał majestat swój utrzymać i wszelki okaz wzruszenia przytłumić w sobie. Gdy marszałek Myszkowski, podkomorzanie, komornicy zaledwie zdyszani i rozgorączkowani mówić mogli, król odzywał się ze spokojem i chłodem dni powszednich.

Ukazanie się Bajbuzy, którego umiał cenić Myszkowski i wszyscy dworacy króla, powitano z radością. Sam Zygmunt dał mu znak głową, że go poznał i rad mu był... a że zdala ani go przywołać ani przemówić nie mógł do niego, wysłał komornika z rozkazem, aby się w zamku zatrzymał.

— Doniesście N. Panu — zawołał rotmistrz — że ja wprost z Krakowa przybywam i jeszcze

nie miał czasu obozem się położyć, a kopijnikom moim kazałem, aby się tu natychmiast do strzeżenia osoby pańskiej stawili.

Zajął więc miejsce u samej bramy rotmistrz, razem z dowódcami straży cudzoziemskich czuwając, aby ciżby nie dopuszczać, która aż pod wrota się parła, oszalała strachem i zuchwalstwem grabieżników, na starem mieście sklepy i domy pod pozorem ratunku obdzierających.

Pomiędzy senatorami u boku króla się znajdującymi panowało to przekonanie, iż ogień, o którego podłożeniu nie wątpiono, umyślnie dla obudzenia przestachu i nieładu rzucony, miał posłużyć rokoszanom do najścia na Warszawę i króla. Pomimo, iż Żółkiewski już przeciwko domniemanego napadu z częścią wojsk wyciągnął za mury i czuwał, nie uspokoił się dwór i wyglądano wśród miasta samego jakiegoś wybuchu, wcześniej przygotowanego.

Być też bardzo mogło, że rokoszanie, zwłaszcza zuchwały Herbut, coś podobnego osnuli, lecz przytomność hetmana i Myszkowskiego nie dopuściła wykonania. Skończyło się na rabunku kupieckich sklepów i wozów, na ogromnych stratach w rynku starego miasta, którego domowstwa zajmowały się z kolei jedne po drugich, stając łupem płomieni i grabieży.

Ratunek był prawie niemożliwy, gdyż ogień wkrótce takie przybrał rozmiary, tak gwałtownie

się rozlał na wszystkie strony, że dostąpić nawet do płonących kamienie nie było podobna. Ludzie z życiem tylko starali się z nich wydobyć.

Cochwila jakaś część zajętych domostw zapadała się z łoskotem, rozpryskując iskrami i głowniami po dachach sąsiednich i łożę ognia nowe ścieląc dokoła rynku; cochwila łuna szerzej się rozlewała po niebiosach nad miastem całym, a głos nawet dzwonów zaledwie wśród strasznego wycia tłumów i trzasku ognia niekiedy jękiem bolesnym słabo słyszeć się dawał.

Nadciągających kopijników swoich Bajbuza wprowadził na zamek i na pierwszym u bram miejscu postawił ze Szczypiozem.

Noc już ustępowała brzaskom poranka, ale ponad zamkiem i miastem gęste dymy i wyziewy pożarne dnia nawet dojrzeć długo nie dawały.

Król z częścią dworu zwrócił się ku kościołowi, gdzie kapłan wyszedł z pierwszą mszą świętą, wysłuchał jej razem z rodziną, klęcząc i modląc się zawsze z tym samym spokojem, którego dochodzące do kościoła wrzaski nie mogły zamącić... i zostawując królowę na modlitwie, gdyż dopóki trwał ogień nie chciała na zamek powracać, sam stanął w pośród swych straży aby wiedzieć co się w mieście i na przedmieściach działo.

Spodziewane jednak wtargnięcie rokoszan, gdy dzień biały przez nagromadzone dymy prze-

darł się nareście, coraz mniej okazało się możliwem. Hetman dawał znać, iż jego strażę, które rozesłał dla powzięcia języka, nigdzie oddziału żadnego, oprócz luźnych picowników, nie spotkały.

Jedno więc niebezpieczeństwo groźne zażegnane zostało, ale pożar w rynku tak się wzmógł i spotężniał, że nie tylko bliższym kościołom i gmachom, ale samemu zagrażał zamkowi. Musiał Myszkowski na dachach ludzi posadzać opatrzonych w haki i kubły z wodą, którzy padające tu nieustannie żuzle i iskry gasili.

Z tej pieczołowitości o gaszenie ognia, która o wszystkim zresztą zapomnieć kazała, korzystali rabusie, bezkarnie uchodząc z łupami za miasto, i wybierając drogi, na których wojsko ich nie mogło przytrzymać. Mała tylko liczba kupców, którzy już towar swój w wozach mieli naładowany i przed pożarem za mury miejskie wyciągnęli, zdołała mienie swe ocalić.

Nadchodzący dzień straszliwy odkrył obraz zniszczenia w rynku, w którym dokoła stały tylko okopcone murów szczątki, ściany zczerniałe kamienic, kominy, a w środku gorzały jeszcze kupy gruzów, do których ludność dostać się nie mogła, aby z nich coś ocalić.

Ani pachołkowie miejscy, ani urząd nie tu nie mógł w chwili rozprężenia powszechnego i nieładu, gdy każdy myślał tylko o sobie, życie lub ostatki własnego ratując mienia.

Nad rankiem ogień cokolwiek uśmierzać się począł, ale niebezpieczeństwo trwało jeszcze i tak wojsko jak dwór króla pozostać musiał na straży. Królowej dotąd z kościoła wyprowadzić nie zdołano. Około południa dopiero szerszeniu się dalszemu ognia zapobiedz się udało, albo raczej sam on grubemi murami wysoko podniesionemi został wstrzymany. Wojsko jednak nie zeszło ze stanowisk swoich i dwór tylko z królem i senatorami do komnat mógł powrócić. Naostatek i królowę panna Urszula Meyerin, która pokilkakroć wychodziła i powracała do kościoła, zdołała namówić, aby z dziećmi na zamek spocząć po tej straszliwej nocy wróciła.

Ochłonięto z przestachu, a chociaż straty poniesione przez miasto były bardzo dotkliwe, musiano sobie wieszować jeszcze, że się nie ziściło przewidywanie jakoby rokoszanie z zamieszania tego korzystać chcieli. Czujność hetmana, dwóch Potockich i marszałka Myszkowskiego zapobiegła może zuchwałemu targnięciu się, które wszyscy przewidywali.

Że pod Jeziorną w obozie czuwano i oczekiwano na jakieś hasło noc całą i powitano łunę na niebie radośnie, o tem później się przekonano z opowiadań pobranych jeńców.

Bajbuza, chociaż po podróży ludzie i konie wielce wypoczynku potrzebowali, nie zszedł też ze swego stanowiska u wrót zamkowych, aż do-

brze zpołudnia, gdy kwarcianych część powróciła do miasta i zastąpić mogła jego kopijników. Sam marszałek Myszkowski, który o nim wiedział i pamiętał, powołał do siebie.

Rotmistrz znalazł go rozciągniętego na łożu i ledwie dyszącego ze znużenia, po całonocnem niepokoju i krzátaniu się wśród płomieni i ciżby ludu. Slabym głosem przywitał go Myszkowski.

— Pan Bóg was tu w porę przyprowadził — rzekł — bo choć napozór próżną straż sprawialiście u wrót, przekonany jestem, że tylko czujność nasza i prędkie opamiętanie się ocaliło nas od gorszego daleko. Rokoszanów i Zebrzydowskiego ręka w tem widoczna... Posłużyli się tylko mołochem, który dla siebie z tego skorzystał.

Teraz zaś, gdy niebezpieczeństwo to przeszło, jedno nam pozostaje, dłużej już rokoszu nie cierpieć, który nam tchnąć i spocząć nie daje. Iść potrzeba na nich, rozprószyć i okazać, że bezkarnie nadal macie nie da król dla prywaty pokoju rzeczpospolitej; ale pan to jest łagodności niewyczerpanej, dobroci serca zbyt wielkiej, chrześcijańskiego miłosierdzia, i cierpi za te swe cnoty.

Myszkowski przypomniał sobie dopiero uwięzienie Bajbuzy i podnosząc się na łożu spytał.

— Cóżś to waszmość w szponach był u Zebrzydowskiego? jakim cudem ci się z nich wydobyć udało?



— Niewarto opowiadać — rzekł Bajbuza. — Ze wszystkiego najcięższą dla mnie była niewola, a potem rana odniesiona, która mnie w Krakowie tak długo wstrzymała. Teraz jestem na posługi króla i p. hetmana, a głosuję też, aby sprawę tę nieszczęśliwą zatargu braterskiego jakimkolwiek kosztem raz zakończyć.

— Bez krwi nie będzie jej końca! — zawołał Myszkowski. — Straszna to rzecz wyrok taki wydawać, lecz dopóki Zebrzydowski a Herburt żywi będą, póty my spokoju nie skosztujemy.

Król posły za posłami, uniwersały słał za uniwersałami do obłąkanych, zwlekał, cierpiał, naostatek mieczem musi rozstrzygnąć czego łaskawością nie mógł.

Nagrody chcą za to jeszcze, że króla zbezcześciwszy, rzeczpospolitą na obozy rozdarłszy, grawaminów nie dowiódłszy, raczą się skłonić do pacyfikacyi! A cóżby dla cnotliwych pozostało?

Westchnął Myszkowski.

— Gdybyś waszmość z kopijnikami swymi, razem ze strażą króla przy dworze mógł pozostać, chętnieby to król widział. Jeżeli więc p. hetman was nie pożąda gwałtem, bądźcie z nami i dożywajcie do spodziewanego rychłego końca.

— Rad posłusznym będę — odparł Bajbuza — byleśmy istotnie końca i pokoju docze-

kać mogli i *Te Deum laudamus* zaśpiewać...  
A! gdyby bez krwi rozlewu się obeszło.

Marszałek potrząsnął głową.

— Dałby Bóg, ale są winy, których nie obmyć prócz krwi nie może.

---

## IX.

Noc dnia 29 czerwca 1607 roku w obozie królewskim, który na krótki spoczynek zaledwie rozłożono, sposobiąc się do dalszego pochodu, dozwalała przeczuwać, iż dzień po niej nastąpić mający albo sprawę rokoszu rozstrzygnie, lub przynajmniej o krok posunie dalej.

W bliskości królewskich namiotów, których część tylko rozbito, Bajbuza ze swym wiernym Szczypiolem leżeli na ziemi rozesławszy wojsłoki i gwarzyli pocichu. Przed nimi na drewnianej misce rzucone było pokrajane mięso jakieś i połamany chleb, obok stała bańka i dwa kubki, ale oba oni o jadłe i napoju najmniej myśleli w tej chwili. Bajbuza dumiał z czołem zmarszczonem, zestarzały jakąś boleścią wewnętrzną. Szczypior odrętwiały się zdawał ze znużenia. Kiedynię-

kiedy oglądali się na siebie i mieniali słów kilka urywanych.

Od obozowisk szeroko rozłożonych na równi nie dochodził tylko szmer głuchy i rżenie, poruszanie się wozów i koni; ludzkich głosów słyszeć prawie nie było. Cisza jakaś uroczysta, podobna do tej, które poprzedzają burzę, przyniałała te tłumy.

Rotmistrz w sobie był zatopiony.

— Hetman ich przecież zdołał nawrócić — zamruczał do Szczypiora. — Nie obwiniam ich, samiśmy na to niemal patrzyli, że się pomiędzy naszych ciągle rokoszanie nasyłani przez herbstów wciskali i przeciwko rozlewowi krwi braterskiej apostołowali. Z tego poszło, że teraz kwarcciani poczęli się wahać i głośno zapowiedzieli, że na rokoszan iść a z bracią bić się nie chcą. Jeszcze to szczęście, że pocziwie się z tem oświadczyli, a nie zdradzili w ostatniej godzinie!

— Alboż pewnymi być możemy, że się to nie stanie? — zamruczał Szczypior. — Prawda, hetman ich przekonał, że przy królu i prawie stać powinni, że rozlewu krwi oni na sumieniu mieć nie będą, bo króla i wojsko zmuszono do tego; poszli skonwinkowani, a no, kto to przewidzi, czy ich nie pobałamuca znowu?

Niepodobna się dopilnować — mówił dalej Szczypior — któż tu dojdzie z jakiego człek

obozu, do kogo należy? Rokoszan mnóstwo się włóczy... żeby jak pilnować...

— Tak, tak, straszna to wojna — odzywał się Bajbuza — bodaj była pierwszą i ostatnią.

Wtem od namiotów królewskich nadbiegł Kaliński, otulony opończą, bo go febra trzęsła.

— Wiecie? — rzekł głosem poruszonym — wiecie? Ostrogski stoi osobno obozem za Wisłą, posyłałi do niego... odpowiada ni to, ni owo. Król na niego rachował, a kat go wie.

— Jam nigdy nie liczył! — przerwał Bajbuza — jak był od początku, tak pozostał, na dwu stołkach. Czeką końca, a potem skoczy gryźć powalonego na ziemi. Ale, kiedy Stadnickiego bracia odciągnęli, to też coś znaczy. Bez Djabła Zebrzydowski słabszy.

— Jest Herburt — zamruczał Szczypior.

Z mroków nocnych ukazała się postać nowa; był to rotmistrz stary Gurski, którego Bajbuza jako żołnierza cenił bardzo.

Wlókł się krokami powolnemi i stanął. Obie pięści sobie do czoła przyłożył.

— A bodaj ich milion kroć sto tysięcy... tych niegodziwych, co tę wojnę wymyślili. Przyjdzie do bitwy... któż tu rozpozna druha od nieprzyjaciela?

A toż bracia przeciw rodzonym.

Bodaj z piekła nie wyleźli!

Kaliński, któremu się usta trzęsły, rzekł.

— Dlatego ja dotąd kwarcianych nie jestem pewny... mają wstręt.

Wszyscy ciężko wzdychali.

— Odpowie przed Bogiem kto to sprawił! — potwierdził Bajbuza.

— Czy Djabeł przeszedł do nas? — zapytał Gurski.

— Nie — rzekł Bajbuza — ale od wojewody odstał i porzucił go.

— Zkąd mu ten rozum?

— Milezeli wszyscy.

— Strategia może — zamruczał Bajbuza — z djablami trzeba być ostrożnym.

— Choć Ostrogski się nie przyłączył, a Standnicki go opuścił, przecież Zebrzydowski z Herburtami mają ludzi kilkanaście tysięcy.

Gwarzyli tak, gdy w oddaleniu od hetmańskiego namiotu trąbka się słyszeć dała, a na to hasło zaczęły się odzywać zaraz inne i w całym obozie wszystko się poruszyło.

— W pochód! na konie! — zawołał śpiesznie zwracając się stary Gurski. — Nie dali czasu nawet nakarmić koni, ale... niech się raz to skończy.

Szczypior zerwał się z ziemi i pobiegł na zwiady do niedalekiej królewskiej straży. W namiocie, który umyślnie na ten cel za królem wożono, odprawiała się pierwsza msza święta, której on i kilkanaście osób klęcząc pobożnie słu-

chało. Żółkiewski stał już we zbroi i hełmie, gotów na konia, buławę mając za pas zatknietą. Z drugiej strony byli dwaj Potoccy; Chodkiewicza nie dostrzegł chorąży.

Zaledwie ksiądz przeżegnał, gdy wszyscy śpiesznie rozpierzchać się zaczęli.

— Zebrzydowski stoi pod Warką i przeprosił się już przez Pilicę, ale go pośpieszywszy zastaniemy jeszcze w tem miejscu. Musimy ciągnąć zaraz — rzekł hetman witając króla.

Zygmunt posłuchał i dodał z rezygnacją człowieka, który musi się poddać konieczności.

— Ciągnijmy więc.

— Trzeba pośpieszyć — rzekł zbliżający się Stefan Potocki.

Z tą samą chłodną obojętnością łagodną król szepnął.

— Pośpieszajmy.

Zygmunt zbroję też już lekką miał na sobie. W oczach jego, twarzy, postawie, ruchu, głosie, wyrazie rysów było to niewolnicze zdanie się na Opatrzność, które męstwo i nieustraszonosc zastąpić mogło. Trwogi nie okazywał najmniejszej. Wiedział on jak inni, że losy się za kilka godzin rozstrzygnąć miały, ale nie czyniło to na nim najmniejszego wrażenia. Modlił się w duchu. Wiara w Opatrzność czyniła go podobnym mużłanowi wierzącemu w fatalność.

Nie drgnął mu żaden muskuł twarzy, gdy

na koń wsiadać przyszło; bębny się odezwały, rozwinęto szeleszczące w powietrzu chorągwie, trąby wesoło ale krzycząco grać zaczęły.

Ucichło potem i wielkim chórem ozwała się jak kościelny chorał poważna, odwieczna, tylekroć zwycięzka Bogarodzica ze swą zwrotką o miłosierdzie do Boga.

Kirye elejson!

Król z głową spuszczoną jechał zadumany.

Dzień poczynął się robić szybko i wiatr powstał nagle, który z tyłu wojska wiejąc zapowiadał, że w razie spotkania z nieprzyjacielem, po dość długiej suszy, wyschłej ziemi poruszone pyły w oczy mieć będzie. Pierwszy uradował się temu Żółkiewski. Konie rżały i prychały wesoło. Chmury nagromadzone na wschodzie rozstępowały się i znikały. Wojsko szło skończywszy pieśń w uroczystem milczeniu, gdyż zdala już poza mokremi łąki i oparzeliskami za Pilicą jak okiem zajrzeć widać było szeroko bardzo rozłożone rokoszanów siły.

W wojsku kwarcianem bystre oko Bajbuzy dostrzegło podejrzanego ruchu jakiegoś.

Dano znać do szykowania się ku bojowi; kto miał dać pierwszy znak i uczynić krok stanowiący dopiero się tu miało rozstrzygać.

Rotmistrz jechał u boku króla, gdy Myszkowski dał mu znak, aby się zbliżył do niego.

— Zaszło coś niespodziewanego — rzekł —



widzę ztąd skupionych dowódców kwarcianych przy hetmanie, który żywo rozprawia z nimi. Wstrzymano hasło do boju. Po pułkach biegają ludzie. Król pytał mnie już po kilkakroć oczyma, ja sam odjechać nie mogę, jedź proszę.

Bajbuza puścił się zaraz ku kwarcianym, ale już po drodze mógł się przekonać, jak źle stały sprawy królewskie. Wśród pułków dawały się słyszeć głosy.

— My się bić nie będziemy! Niech wojewoda krakowski pokaże zdrajców, my ich osłaniać nie chcemy, niech giną. Za co się ma lać krew nasza.

Wszędzie poburzenie było ogromne, a wybuch jego zdawna przygotowany, w samym momencie gdy się już potykać miano, przeraził hetmana.

Bajbuza znalazł go otoczonym wykrzykującą starszyzną.

— My się bić nie będziemy.

Gromadki po bokach rozprawały głośno i okazywały rozdrażnienie wielkie.

Zobaczywszy Bajbuzę hetman podszedł ku niemu.

— Potrzeba radzić — rzekł z krwią zimną — nie wątpiłem jeszcze, iż zapobiegnę złemu, ale o wydaniu dziś bitwy mowy być nie może, a jeśli nas teraz napadną, zginęliśmy. Rokosz weźmie górę.

Zdrajców mieliśmy w szeregach.

Z chorągwi pancерnej Wiktorzyn Leśnicki, Podwalski, Zubek, kilku innych uszli do rokoszan hasło obozowe im wydając i zapewniając, że połowa kwarcianych bić się nie będzie.

Spójrz waszmość co się dzieje, pułki się mieszają, ładu już dowódcy zaprowadzić nie mogą. Niech król będzie spokojny, radzić musimy, lecz źle stoimy, na Boga.

Jedź... ja z pomocą Bożą działać będę.

Przerażony wiadomościami temi Bajbuza zawrócił do króla i straży jego, przed którą wyjechawszy czekał na niego Myszkowski.

— Panie marszałku — odezwał się Bajbuza — przygotujcie króla do niefortunnej wieści. Hetmanowi kwarciani wypowiadają posłuszeństwo, bić się nie chcą. Z pancernych zbiegło kilku z hasłem do Zebrzydowskiego, wojsko żąda układów.

Jeżeli w tej chwili ruszy na nas wojewoda, zgniecie nas nieochybnie i o samą osobę króla obawiać się można... ale Żółkiewski nie stracił energii.

Nie mając siły odpowiedzieć nawet, Myszkowski zawrócił do króla. Natychmiast wydano rozkazy gwardyom, aby otoczyły pagórek, na którym namiot rozbito. Zygmunt zsiadł z konia.

Chociaż Myszkowski całej nie wyznał mu prawdy, ale i to co przyniósł starczyło, aby strwożyć. Zygmunt jednak i teraz jeszcze nie

okazał obawy. Przywołał do siebie jednego z Potockich, wysłał go do hetmana, a sam wszedł do namiotu.

Po całym wojsku szerzyła się już wieść o ucieczce Leśnickiego, o oporze kwarcianych; w innych oddziałach odzywały się też głosy przeciwno wojnie.

— Poco się bić mamy? to sprawa domowa, niech się sobie król układa z wojewodą... my za to i naparstka krwi wytoczyć nie powinniśmy.

Szczypior, który to rozumowanie słyszał, odparł głośno.

— Pytam ja waszmościów, czyście żołnierze, czy nie?

— Albo co?

— Bo u mnie żołnierzem tylko ten, co słuocha rozkazu i spełnia go... ja rozumu jego nie potrzebuje. A z moich kopijników kto mi się zawaha iść, gdy krzyknę: Naprzód! — w łeb mu strzelę.

Niektórzy zamilkli, inni burzeli.

— Niech nas prowadzą na turka.

— A gdy swój gorszy zdrajca i rabuś niż on, to co?

Takie i tym podobne rozprawy się toczyły wszędzie po szeregach, wśród których rokoszowe drożdże widocznie robiły.

Szczęściem dla króla, Zebrzydowski z tej go-dziny rozstroju nie umiał korzystać. Leśnicki za-wiadomił go o tem co słyszał, iż na wojnę do

Inflant w tych dniach miano tysiąc ludzi odłączyć i wysyłać. Cekał aby się to spełniło i król jeszcze przez odejście ich stał słabszym. Zamiast więc uderzyć, wojewoda pociągnął dalej do Oronska.

Tymczasem Żółkiewski nieznużenie był czynnym, zdawna do niego przywiązani dowódcy pomagali mu dzielnie. Na gwałtowne domagania się o nowe układy, zniósłszy się z królem hetman się zgodził, z tem, aby nazajutrz rano z obu stron po trzydziestu mężów z rycerstwa się zjechało w miejscu bezpiecznem, pomiędzy dwoma obozami i warunki pokoju ułożyli.

Posłano z wezwaniem tem do rokoszan, a tymczasem hetman nie zasypiał. Nie pozostał sam ani na chwilę, przywołując do siebie panów regimentarzów, rotmistrzów, pułkowników, starszyznę, tak że im, ani sobie nie dał spoczynku.

— Uczyniono mnie, hetmanowi, i wam wszystkim i całemu narodowi srom. Znaleźli się zdrajcy, co wojenne hasło wydali; znaleźli się, co zbiegli z szeregów; znaleźli tacy, co królowi przysięgliszy cbcieci go wydać w ręce nieprzyjaciół. Srom ten obmyć musimy.

Dowódcy rozgrzali się także. Wszyscy oni potakiwali hetmanowi.

Wieczór zapadł, ale nikt na spoczynek iść nie myślał, tembardziej że ów Leśnicki i Rudziński, którzy hasło z obozu wynieśli, zuchwale na-

zad do obozu powrócili i dalej w nim mieć się starali, ale ich natychmiast pod straż wzięto. Noc upłynęła na burzliwych naradach po namiotach, które wypadły wszystkie przeciwko rokoszanom.

— Mógł kto chciał iść sobie do rokoszan i los Zebrzydowskiego dzielić — mówili hetmańscy — nikt nie trzymał ani bronił, ale kto przy królu został i wierność czcią rycerską poprzysiągł, strzymać ją powinien.

Z nadzwyczajną niecierpliwością oczekiwano skutku narad, na które trzydziestu najprzedniejszych dowódców wybrano. Opierał się jako mógł Bajbuza, aby go i cześć ta i męka minęła, lecz król mieć chciał pomiędzy wybranymi.

Dodnia ruszyli poczem pięknym do wsi między Warką a Orońskiem położonej, w której zjazd byłznaczony. Wojsko tymczasem miało godzin kilka pożądanego spoczynku. Sposobiono się tu nawet pozostać dłużej, bo najśpieszniejsze układy godzin sporo zająć musiały. Przepowiedano dni kilka, gdy około południa wysłani z obozu ukazali się już z powrotem.

Zbiegło się co żyło pod namiot hetmana, który tryumfował, bo zgadywał co się stało, a właśnie przeczuł, iż inaczej być nie może.

Zamiast stawić się do układów, rokoszanie pociągnęli ku Orońskowi. Domyślać się było

można, iż na Kraków zmierzali i ubiedz go śpieszyli.

— Patrzcież na ich dobrą wiarę i na ich chęć zgody i pokoju — zawołał do zebranych dowódców hetman. — Oto jest przybyły z ich obozu pułkownik piechoty wojewody, Jan Dałmata, ten wam poświadczy, że na Kraków idą.

Sto razy im wyciągaliśmy rękę, odpychali ją lub wysłiznęli się, a wy dajecie się im uwodzić? wchodzicie w zbrodnicze zмовy i konszachty z rebelizantami?

Głos Żółkiewskiego grzmiał gniewny.

— Srom mi za wojsko, którem dowodzę! — dodał.

Starszyzna cała rzuciła się ku niemu.

— Niech winni pokutują, uczynicie przykład, ale nas wszystkich nie oskarżajcie. Ukarać ich.

— Złóżcie na nich sami sąd wojenny — rzekł hetman.

Rotmistrz nasz posłyszawszy co się święci, pod pozorem zdania sprawy Myszkowskiemu, aby w sądzie udziału uniknąć, wysunął się zaraz.

Nim jednak z konia zsiadł u namiotów królewskich, marszałek usłyszawszy co się stało i zapowiedziany sąd mając, zmusił go powracać.

— Jedź waszmość do nich — zawołał — niechże zdrajców ukarzą przykładnie, a nie, to się jeszcze raz toż samo powtórzy. O króla nie

jesteśmy bezpieczni, gdy jego własny żołnierz się rokoszować w obozie waży.

Znowu więc Bajbuza wrócił do koła, w którym sądzono Leśnickiego i Rudzińskiego, ale koniowi kroku zwolnił tak, że gdy się zbliżył do tłumu zebranego przy sędziach, już Leśnickiego na wbitych dwu kołach wieszano, ledwie z niego zbroję zdarłszy.

Rudziński klęczał ze złożonemi rękami i jak bóbr płakał, a zaklinał się, ziemię całując, że go Leśnicki uwiódł i prawie gwałtem za sobą pociągnął.

Rudzińskiemu więc na to błaganie jego, rotmistrzowie życie darowali z tem, aby przy pierwszym spotkaniu z nieprzyjacielem na harc wyszedł i jawnie męztwa swojego dowiódł.

Innych ciurów, którzy im dopomagali, natychmiast od czci odsadzając, precz wyświecono z obozu, zapowiadając im, że któryby się w nim pokazał jeszcze, bez sądu powieszony zostanie.

Tym sposobem udało się hetmanowi przywrócić ład, spokój i karność, ale zburzenie i rozdrażnienie pozostały w umysłach. Żółkiewski czuł to, iż pośpiesznie działać było potrzeba, dopóki by znowu duch niespokojny nie wziął góry.

Natychmiast więc za poradą jego i zgodą wszystkich hetmanów, (bo zwierzchniego do-

wództwa żaden z nich nie miał z powodu Chodkiewicza, który się o nie upominał, i Żółkiewskiego prawa swego niemogącego ustąpić), ruszono śpiesznym pochodem ku Orońskowi, i na noc król z całemi siłami swemi był w Przytyku.

Bajbuza wraz z innymi pilno się teraz przysłuchiwali i przyglądali temu, co się w szeregach kwarcianych działo i po innych pułkach. Poskutkowało powieszenie Leśnickiego, ale milczenie posępne nie też dobrego nie wróżyło. Bić się chciano corychlej, aby raz skończyć; ochoty jednak do tego boju a dobrej myśli nikt nie miał. Żołnierze z nieufnością się oglądali na siebie, a ze słowem każdy wahał odezwać.

Znużeniu też wojska wiele przypisywać było potrzeba, i dobrze się stało, że cały dzień wytchnąć mogło w Przytyku.

O Zebrzydowskim wiadano, że stał, jakby już czekał na regalistów, postanowiwszy bitwę przyjąć w Orońsku, gdzie mu się położenie zdało dla rokoszan korzystnem. Ale i tu do starciaby nie przyszło jeszcze, bo wojewoda dzień cały przeleżawszy jnż się sposobił ciągnąć dalej, gdyby Żółkiewski przekonany o potrzebie rozstrzygnięcia sprawy, nie pośpieszył ku Orońskowi i nie ukazał się, gdy już wozy wojewody ruszały, a on sam popasywał.

Oba wojska stanęły wreszcie naprzeciw siebie,



tak że przednie czaty ścierać się zaczęły, i ów Rudziński zaraz na harc się puścił.

Ktoby był wówczas przy króla namiocie stał a spojrzał w ciasne przejście pomiędzy niemi, zobaczyłby męża lat średnich w czarnej sukni zakonnej, z podstrzyżoną bródką, z odkrytą głową, ze złożonemi rękami modlącego się gorąco, a po twarzy jego strumieniem łzy płynęły. I nie z pod jednych powiek na widok tych wojsk, w których ród, krew, wszystko było bratniem, a mimo to zajadłą sobie zapowiadających walkę, łzy wytrysnąć musiały.

Bajbuza na koniu stał i z pagórka poglądał mrucząc.

— Przeklęty co tę wojnę zapalił — mówił w duszy — niech dla niego ani na tym, ani na drugim świecie przebaczenia nie będzie; przeklęty kto ten ogień zapalił, niech na jego duszę spadnie ta krew, która się tu przeleje i wszystka, co się z niej jeszcze w przyszłości wytoczy... przeklęty! przeklęty! przeklęty!

Szykowały się już z obu stron oddziały... wtem Żółkiewskiemu król przysłał rozkaz, aby wysłał po raz ostatni do Zebrzydowskiego, powołując go do zgody.

Z pagórka, na którym stał, rotmistrz mógł widzieć śpiesznie wyjeżdżających posłów z płachtą białą na włóczni.

Dobiegli do rokoszan straży, która ich na-

padłszy zerwała chorągiew, otoczyła i pod strażą preez za wozy, powiązanych, zapędzić kazała. Dzikie okrzyki dawały się słyszeć od rokoszan szeregow.

Nie było już co oczekiwać na zgodę. Król, któremu doniesiono o losie wysłanych, krokiem powolnym zawrócił do namiotu i wkrótce potem wyszedł z niego we zbroi, w hełmie, przy mieczu. Twarz miał bladą, posępną, ale tak marmurowo zastygłą jak wprzód. Odzywające się trąby, ruch i wołanie, cała ta wrzawa, którą szykowanie się do boju wywołało, przeszły po nim nie tknąwszy go.

Oczy miał spuszczone, modlił się.

Na straży przy królu postawiony z kopijnikami swymi, na ten raz, mimo męstwa i ochoty do boju, Bajbuza Panu Bogu dziękował, gdyż na tem stanowisku mniej niż gdzieindziej narażonym był na dobyte szabli z pochew. Razem z ussarzami Koniecpolskiego obowiązany był tylko osłaniać króla i czuwać nad tem, aby osoba jego narażoną nie była na niebezpieczeństwo.

W lewo rozłożył się hetman Żółkiewski z kwarcianami i całą siłą, którą dowodził; na prawem skrzydle osłoniętem trzęsawicami, niedostępnymi dla rokoszan, położył się Chodkiewicz; w pośrodku nieco dalej stał Potocki Jan starosta kamieniecki, a za nim w odwodzie król, senatorowie duchowni i świeccy na koniach, ussa-

rya nadworna, ussarze Gostomskiego, Koniecpolskiego, Czarnkowskiego, pułk Myszkowski i starosty sandeckiego, Lubomirskiego. Najpiękniejsze to były ufce i najdzielniejsze, dlatego też niemi króla otoczono.

Piechota i działa wedle ówczesnego wojowania sposobu ustawiła się na skrzydłach. Chodkiewicz zżymał się już i krzyczał, dano mu tylko ośm oddziałów jazdy, gdy Żółkiewski prowadził ich we dwójnasób, ale Chodkiewiczza osłaniały trzęsawiska i bezpieczniejszym czyniły. Rozgniewany zapowiadał on głośno, że niczyich rozkazów słuchać nie myśli. Piechota nowo zaciężna i niewiele warta, którą też do niego posłano, jeszcze go rozjątrzyła bardziej, i że nie cisnął buławy, jak był nawykł, sprawiło to tylko, że czasu nie miał, bo wszystko się ustawiać musiało i miejsca swe zajmować, a do sporu nie stawał nikt.

Można było, nim działa z obu stron grać zaczęły i dymem osłaniać szerokie pobojewisko, dojrzeć rokoszan, którzy naprzeciw Żółkiewskiego postawili Herburta, naprzeciw Chodkiewiczowi, jakby z umysłu Radziwiłła, sam zaś Zebrzydowski z doborem najlepszego żołnierza i najzapaśliwszej szlachty zajął miejsce w pośrodku.

Zkąd pierwsze odezwały się działa, rozeznac było trudno, gdyż natychmiast odpowiedziano im z drugiej strony, a co śmielsi na harc przed sze-

regi wyrywać się poczęli. Bitwa, gdy raz zawrzała, z zaciętością wzrastającą cochwila, z rosnącym szaleństwem jakimś zajęła się i ufce zmieszaly. Nic już rozpoznać nie było można. Wiatr i tego dnia sprzyjając królewskim, od nich niośł ogromne tumany kurzawy na rokoszanie, których jak obłokiem płowym okrywał. Sine kłęby dymu od strzałów mieszały się z gęstymi chmurami pyłu, kopytami koni podniesionymi na polu świeżo zoranem, które rokoszanie zalegali.

Z miejsca tego, które król otoczony senatorami i dworem zajmował, cały plac boju można obejrzeć było, ale z trudnością rozpoznać się dawały oddziały i tylko ruch ich naprzód lub cofanie się coś wnosić dozwalało. Było już około południa, gdy Radziwiłł ze swemi pułkami poznawszy znienawidzonego Chodkiewicza, nieprzyjaciela rodu swojego naprzeciw siebie, z zaciętością wielką na prawe skrzydło uderzył.

Ale w początku Chodkiewicz zatrzymał z przedniejszych pułkami napaść tę gwałtowną i nawzajem rzucił się ku Radziwiłłowskiemu, którzy się rozpręgać zaczęli.

Sam wódz otoczony elierami, których czerwone przepaski na zbrojach zdala rozpoznać dawały, powstrzymał pierzchających, gdy wtem cztery posiłkowe oddziały dodane Chodkiewiczowi cofać się szybko i pierzchać ku trzęsawicom zaczęły.

Elierowie Radziwiłła natychmiast się na nich rzucili. To uderzenie czerwonych pasów, znanych z zaślepionego męztwa i zapamiętałości w boju, straszliwie Chodkiewiczowskie pułki zgmiotło i rozbiło. Z pagórka widać było jak się wdarli w sam środek prawego skrzydła i przez nie przebiwszy część ich aż pod namioty króla się dostała.

Kaliński, który w jednym z nich z febrą leżał w gorączce, ujrzał jednego z elierów, który opłotki namiotu podniósłszy krzyczał.

— A gdzie ten szwed? Dajcie nam tego szweda.

Nie dano mu długo szukać, bo Bajbuza dopadł z kopijnikami i śmiałka w miejscu rozsiekano.

Zbliżenie się to rokoszan do obozu tak wszystkich poruszyło, iż król został w pięćdziesiąt koni tylko sam na wzgórzu.

Z zakrwawioną jeszcze szablą przypadł w tej chwili ku niemu Bajbuza, wołając.

— N. Panie! lewe skrzydło nieporuszone stoi, bezpieczniejsi tam będziecie... pozwólcie nam, abyśmy was odprowadzili.

Zygmunt podniósł zwolna wejrzenie jakby szklanne na niego... nie spieszo mu było.

— Piechota moja stoi? — zapytał.

— Nie strzelała nawet jeszcze — odparł rotmistrz.

Milczał Zygmunt chwilę.

— Więc i ja tu zostanę — odparł obojętnie po namyśle.

Zdaje się, że to zimne męztwo i ufność w swe siły dodała wojsku też odwagi. Inni też przyczynili się do powstrzymania uciekających Chodkiewicza ludzi.

Biskup przemyski Pstrokoński, który mimo stanu i dostojenstwa swojego, na koniu z innymi stał przy królu, pierwszy się rzucił naprzeciw spłoszonych. Chorążemu wyrwał z rąk proporzec i goniącemu za nim siostrzeńcowi swemu Albertowi Starzyńskiemu go oddał.

— Nie tędy droga polskiej chorągwi — krzyknął — ty ją nieś na nieprzyjaciela.

Starzyński pomknął natychmiast, a za nim i zawstydzeni pierzchający wracać poczęli. Chodkiewicz też sam osobą swą czynny, resztę pułków tak rozgrzał, iż elierów i Radziwiłłowskich odparł silnie. Zmieniło się natychmiast całe pole bitwy, które już zdawało przez rokoszanów zdobyte.

W pośrodku Jakób Potocki rzucił się na Zebrzydowskiego i tu najzajadlejszy bój krwawy się zawiązał, którego tylko chwilami, gdy tumany pyłu wiatr odniósł, coś było można dojrzeć. Było to jakby jedno olbrzymie cielsko potwory, wijące się wałem, kłębiące i rozpadające na sztuki, zra stające znowu i miotające konwulsyjnymi rzuty.

Węgierska piechota zaciężna Herburta, którą

po stroju łatwo rozeznąć było można, pierwsza tył podała przed Potockiego pułkami. Za nią inne oddziały rozbijać się i w sztuki rozpraszać na wszystkie strony zaczęły.

Z bijącym sercem Myszkowski stojący przy królu patrzył i przewidywał już zwycięstwo. Zygmunt też oczy miał wlepione w ten obraz, który się odsłaniał teraz przed nim w całym swym majestacie i grozie. Na polu widać było leżące trupy ludzi i koni, pierzchające oddziały, goniące ich pułki, pojedyncze kupki ucierające się jeszcze z sobą. Okrzyki, jęki, trąby, tentent rozbiegających się koni, szum wichru, który rzucał kłębami pyłu, wszystko to mieszało się razem z wołaniem radosnem, które dochodziło z lewego skrzydła.

Zebrzydowskiego pułki środkowe złamane uchodziły i niekiedy stawały jeszcze, rozpaczliwy stawiając opór.

Król poruszał zwolna ustami, modlił się, ale twarz posępna nie rozjaśniła się smutnem tem zwycięstwem.

Wśród oczekiwania i milczenia, jakie króla otaczało, szybki bieg konia zwrócił oczy. Z lewej strony hetman Żółkiewski biegł samotrzeć, wołając.

— Zwycięstwo! Victoria! Vivat król nasz! vivat!

Za nim ogromnym wtórem huknęło ze wszech stron: Vivat!

Zygmunt przyłożył rękę do szyszaka i uśmiechem smutnym dziękował.

— Panie hetmanie — rzekł cichym głosem do Żółkiewskiego — wam to winniśmy. Bogu niech będzie chwała. Wstrzymajcie pogon wszelką, nie pozwalajcie ścigać.

Rękę podniósł do góry i spuścił ją zwolna.

— Miłosierdzie mieć potrzeba — dodał.

Nie wszyscy może z otaczających króla dzielili to przekonanie, ale umilkli i skłonili głowy.

Pomimo rozkazów wydanych, boju i pogoni długo powstrzymać nie było można.

Nawet tak smutne zwycięstwo, jakim było dnia tego, upaja. Jeden król może tem samem zastygłem okiem patrzył na nie, jakimby zwyciężony spoglądał na upadek. Dwór i regaliści, wodzowie dnia tego, żołnierz, który się łupem radował, senatorowie widzący w tem koniec rozsterek i niepokoju, chodzili rozpromienieni i weseli. Cochwila przyciągano nowe zdobycze przed namiot króla, nowych jeńców panom hetmanom. Cillemu włoskiemu sekretarzowi króla, który uwięziony w karecie Radziwiłłowskiej z nią potem przybył do obozu, darował Zygmunt i ją i co się w niej znajdowało; bogate siodła, konie, rzędy dostały się biednej szlachcie, rycerstwu i piechotom, które je zaraz jak na targu więcej



dającemu sprzedawały, aby zwycięstwo uroczyście zapisać.

Cały stos chorągwi złożono przed namiotem króla: dział i hakownic zabranych mnóstwo podzielili między sobą dowódcy.

I nie samym tym szaleńcem wreszcie znamionowało się zwycięstwo. Na pobojuwisku słysząc rannych jęczących w tym samym języku, który im wszystkim był wspólny, nikt nie pytał do jakiego kto należał obozu, zabierano ich, opatrywano, karmiono i pojono, a pod namiotami toczyły się tak ożywione opowiadania i rozmowy, jakby wszyscy oni razem z jednej uczty powracali.

Ze znakomitszych jeńców dwóch Buttlerów, Pękosławski Prokop, Pac wojewodzie witebski, Branicki, Dobek i wielu innych się dostało regalistom; ale z niedobitkami i złością okrutną w sercach 'uszli Zebrzydowski, Herburt i Radziwiłł.

Próbowali oni jeszcze i zjazdy zwoływać i bezkrólewie głosić, ale nadaremnie. Herburt wzięty życie zawdzięczał łasce Zygmunta, Zebrzydowskiego przywiódł szwagier Żółkiewski do ukorzenia się i przeproszenia króla, Radziwiłł na pozór przynajmniej musiał się poddać i rokosz ten pamiętny skończył się pozostawując po sobie chorobliwe zarody.

W ciągu dnia tego Bajbuza był przy królu

i, jakeśmy widzieli, stawał czynnie w obronie jego, gdy elierowie Radziwiłłowscy wpadli rozbijwszy oddział Chodkiewicza na dworskie namioty.

Oprócz tych czerwonymi przepaskami na zbrojach odznaczonych rycerzy słynnych z zapamiętałego męstwa, innego też ochotnika znalazła się garść u namiotów, gdy Bajbuza przypadł z odsieczą.

Rotmistrz zwykle panujący nad sobą i aż do zbytku rozmyślający, powściągający się zawsze, gdy raz był w boju, stawał się jednym z najszałeńszych. Ogarniała go jakaś wściekłość niemal zwierzęca, której się wstydził, ale pohamować jej nie mógł.

Trzymany snadź długo na hamulcu temperament, mścił się potem gdy raz go swobodnie puszczono.

Teraz też po długim spoczynku Bajbuza z furią się rzucił na napastników. Ręka jego siekła i płała straszliwie, a co się mu nawinęło, padało naciśnięte, zrąbane, przerażone.

Sam on opowiadając o tej chwili przyznawał się, że gdyby był przed sobą naówczas ujrzał przyjacielską jaką twarz dawno znaną, nie wiedział czyby mógł tę swą wściekłość powstrzymać.

Właśnie wśród tego oblędu stanął przed nim, niewiedzieć z kąd się wyrwawszy Spytek, o którym on prawie był całkiem zapomniął.

Czy walczył z rokoszanami razem, czy po stronie króla? rotmistrz nie wiedział wcale, lecz nagle ujrzał go przed sobą z koncerzem oburącz podniesionym zmierzającego się do cięcia. W tym momencie mignęła mu twarz tylko znajoma, ale sobie nawet nazwiska jej nie przypomniał. Nim Spytek, który go widocznie szukał, zebrał się miecz spuścić, już straszliwy raz w głowę hełm z niej strącił, a drugie cięcie czaszkę mu rozplątało.

Spytek zwałił się z konia pod kopyta nadciągających pancernych i padł zgnieciony niemi.

Stało się to tak szybko, tak piorunowo, a natychmiast potem trzeba było walczyć z elierami, że Bajbuzie po bitwie zostało wspomnienie mętne, niepewne, i sam on wiedzieć nie mógł, czy istotnie Spytką miał przeciwko sobie, czy ranił go lub zabił.

Lecz zaledwie się po skończonej walce uspokajać zaczęło nieco, gdy ranny lekko Szczypior przyszedł do niego trochę upojony, wesół, śpiwający, szczęśliwy, zastał pogrążonego w jakiejś zadumie, jakby go największe nieszczęście spotkało.

Szczypior szanował Bajbuzę i ulegał wszystkim fantazyom jego, ale tego dnia, gdy obóz brzmiał całą radością, ten smutek wydał mu się nieprzebaczonem dziwactwem.

Ośmielił się więc, stanawszy naprzeciw rot-

mistrza, zawołać na głos, co mu się rzadko trafiało.

— E! co bo u kata! Wszyscy się weselą, a wy, kochany rotmistrzu, jakby naprzekór całemu światu! A! jak Boga kocham, że to się nie godzi! Cóż wam u licha jest? Ja was kocham, ale djabeł mnie bierz, jeżeli rozumiem.

Bajbuza się podniósł jak sprężyną poruszony.

— Co za dziw, że ty mnie nie rozumiesz, kiedy ja często sam nie rozumiem siebie — zawołał — ale dziś nie masz racji mnie łajać, nie masz.

Nie wiesz nic.

— No, a cóż mam wiedzieć? — zapytał Szczypior.

Bajbuza chciał już jakby zacząć mówić, wstrzymał się, zasepił, węża potargał.

— Tajemnice mieć będziecie dla Szczypiora? — wtrącił choraży.

Rotmistrz odwrócił się szybko.

— Wiesz — rzekł trwożliwie — zdaje mi się... nie jestem pewnym... zdaje mi się... zabiłem Spytka.

Choraży stał czas jakiś milczący.

— Jakiego Spytka?

— Jej męża.

— Ależ on był z naszej strony — przebieknął Szczypior — jakże to może być?

— Napadł na mnie. Ja teraz nic nie pamię-

tma, nie wiem, byłem jak nieprzytomny! Nie byłeś ty ze mną? nie widziałeś...

Choraży nie też sobie nie mógł przypomnieć.

— Cóż się z nim stało?

— Padł — zawołał Bajbuza — padł zabity i końmi go zaraz strатовano.

Szczypior począł czoło trzeć.

— Gdzież to było?

— Podle namiotów, gdy elierowie do nich dotarli — rzekł rotmistrz.

— Hm! — odezwał się Szczypior — w nocy sypać będą kurhany i grzebać trupa, teraz jeszcze on leży, bo dopiero ciury obdzierają, chodźmy się przekonać.

Zawahał się Bajbuza nieco.

— Idź ty — rzekł.

— We dwu pewniejsi będziemy — odparł choraży — chodźcie ze mną.

Bajbuza się dał pociągnąć.

Noc zapadała a na pobojuwisku istotnie roiły się ciury około trupów, jak stado kruków. Z trudnością dotrzeć mogli do miejsca, w którem spotkanie się odbyło, a gdzie teraz wozy stały, chociaż trupów z pomiędzy nich nie uprzątnięto.

Szczypior u służby królewskiej wyprosił pochodnię i pachółka; zaczęli się poległym przypatrywać, którzy już wszyscy niemal nadzy leżeli. Na niewielu pozostały podarte i krwawe ko-

szule, na innych obuwie, którego ściągnąć nie umiano.

Wszystkie też te ciała straszliwie i prawie do niepoznania porąbane, pogniecione były i pokaleczone.

Rotmistrz pokilkakroć do namiotów musiał powracać, aby sobie dokładnie miejsce, w którym walka zaszła, przypomnieć. Rozgarniano trupy na kupę pozrzućane. Wtem Bajbuza stanął i krzyknął.

Przed nimi leżał ze straszliwie rozciętą czaszką, z której mózg wylany zastygł na twarzy i szyi, pognieciony kopytami, z kośćmi potrzaskanemi, z piersią zapadłą Spytek.

Włoska jego fizyognomia, mająca w sobie coś właściwego i odznaczającego owego pana na pół zniewieściałego, nie dozwalała się omylić. On to był... Uśmiech ironiczny, nawet wśród męczarni zgonu, ułożył mu się na ustach do niego nawykłych.

Bajbuza stanął niemy... Szczypior popatrzył... zamienili wejrzenie...

— Chodźmy — rzekł chorąży — w istocie on to jest... ale wszystko skończone... Bóg niech będzie litościw duszy jego.

Rotmistrz się nie poruszał.

— Dla mnie to skończonem nie jest — szepnął — ja ciała jego bez pogrzebu, do ogólnego

kurhanu rzucić nie mogę dozwolić. Mój obowiązek sprawić mu go, oddać ostatnią posługę.

Szczypior podniósł zdziwione oczy.

— Nie dysputuj, proszę, a szukaj mi kogo, coby się tem zajął.

Odwożać od tego zamiaru spełnienia chrześcijańskiego obowiązku nie śmiał chorąży.

— No, bądź spokojny — odparł — ja tu ludzi znajdę i wóz, na którymby do Orońska ciało przewieziono, a resztę nam proboszcz ułatwi. Idź odpoczywaj.

Gdy w godzinę potem wierny Szczypior, zupełnie już otrzeźwiony i chłodny, powrócił do namiotu, znalazł Bajbuzę w tem samem miejscu co przedtem, z tą samą chmurą na czole. Krótko opowiedział o tem co spełnił.

— Ciało odprawiłem do Orońska — rzekł. — Wszystko się spełni jak żądaliście. Albo z Woli Guzowskiej lub z Krogulczej ksiądz, jeżeliby proboszcz Oroński nie miał czasu, nabożeństwo odprawi.

Bajbuza poruszył się z rękami załamanymi stając przed Szczypiolem.

— Patrzajże! — zawołał — trzeba było tego przeznaczenia mojego, aby nie kto inny, ale jam go sam zabić musiał! Rozumiesz ty to!

Szczypior milczał.

— Kochałem tę kobietę życie moje całe, nie sądząc się jej godnym — dodał Bajbuza — wal-

czyłem z sobą; teraz w ostatku gdyby owdowiała powiedziałem sobie: zechce ona mnie? będę jej sługą... ożenię się.

Zaśmiał się dziko.

— A jakże tu do ołtarza podać wdowie rękę, która krwią męża została zboczona?

To mówiąc padł na posłanie i zamilkł.

Szczypior, który nie zagłębiał się tak bardzo w roztrząsanie co było godziwem a co nie, byle było wedle prawa możliwem, ruszył ramionami i zmilczał.

Towarzyszyli potem królowi do Krakowa, gdzie Bajbuza o posłuchanie prosił i króla JMci pożegnał.

Sam Zygmunt, marszałek Myszkowski, hetman Żółkiewski, wreszcie rycerstwo całe i wielu z panów senatorów znali dobrze zasługi Bajbuzy, wiedzieli że mu nawet żołdu na kopijników nie dawano, że on sam nigdy o nie nie prosił, a słusznie mu się jakaś nagroda należała.

Lecz gdy niespodzianie przyszedł do pocałowania ręki, stało się, że nie obmyślano wcale co mu dać, a tylu miano do wynagrodzenia, iż na razie nawet nie wiedziano, gdzie dla niego szukać jakiegoś daru.

Król nie tłumaczył się wcale, wybąkuwał słów kilka i zapewnił go tylko o swej łasce i pamięci; Myszkowski jaśniej przyrzekł mu, że go



pierwsze starostwo jakie na Wołyniu będzie do rozporządzenia nie minie.

— Bóg widzi, że ja o tem ani myślę, ani żądam — rzekł rotmistrz — chleb mam, służyłem Rzeczypospolitej jako syn matce, nie mi się nie należy.

Marszałek wziął to może za przechwałkę, ale Bajbuza mówił szczerze.

Z uczuciem wyswobodzenia opuścił Kraków razem ze Szczypiozem.

— Jużem się nawojował dosyć — rzekł mu — czas spocząć... będziemy mieli co w Nadstyrzu przy olszowym ogniu na kominie wspominać.

W spokojnej wiosce swej rotmistrz wszystko znalazł nieporuszone, niezmienione jak porzucił, tylko staruszka Leszczakowska pożegnała się z tym światem.

O Spytkowę przybywszy nie śmiał zapytać, choć winien jej był podziękować za to, iż wstać się za nim do Zebrzydowskiego jeździła.

Drugiego i trzeciego dnia wyglądał, czy się nie dowie przypadkiem co o niej, obawiając zagadnąć. Naostatek widząc, że ani Szczypior, ani nikt o niej nie wspomina, zcicha spytał chorążego.

— Nie wiecie? a jejmość gdzie jest?

— U siebie doma siedzi, a pewnie się was

spodziewa — rzekł Szczypior — i powinniście pojechać.

Bajbuza spojrział na swe ręce, jakby się obawiał na nich ślady krwi znaleźć, na których jej nigdy nie było. Zmilkzał.

Nazajutrz rano kazał konie siodłać. Dzień był jesienny pogodny a piękny; myślano, że ze psy pojedzie w pole, ale gdy wyszedł ubrany nie jak na łowy, domyślił się Szczypior dokąd pojedą.

Milczeli przez całą drogę.

Przededworem zsiadł z konia Bajbuza i niepewnym krokiem skierował się ku izbie gościnnej. Tu na progu czekała na niego już z rękami wyciągniętymi, z twarzą jakby odmłodzoną, ale żałobą grubą okryta Spytkowa.

Ulęgę mu to zrobiło, iż wiedziała już o śmierci męża.

Wśród powitania mowy o nim nie było. Spytkowa przypominała niewolę rotmistrza i bolała nad tem, że oswobodzić go nie mogła.

— O śmierci mojego nieszczęśliwego męża — dodała nierychło — musieliście słyszeć w Krakowie. Ja wiem tyle tylko od rodziny, że zginął pod Wolą Guzowską, a tem się pocieszam, że nie po stronie rokoszan stawał.

Jakaś pobożna ręka postarała się o to, aby osobny pogrzeb miał na cmentarzu w Oronsku.

Bajbuza słuchał zaczerwieniony. Odbywała

się w nim walka straszna, którą jego miłość prawdy wywołała. Zdawało mu się, że powinien był przyznać się do tego, iż on zabójcą męża się stał... mimowoli. Potem ogarniała go trwoga, nie śmiał i milczał.

Wdowa też nieboszczykiem wcale się zajmować nie miała ochoty, zwróciła rozmowę na inne przedmioty, a gdy Szczypior odszedł na chwilę, wzrokiem pełnym wyrazu rzuciwszy na rotmistrza, rzekła śmiało.

— No, kochany sąsiedzie, obojeśmy postarzeli, ja już zamaż iść nie myślę, wy się żenić zarzekacie, cóż więc? będziemy-li przyjaciółmi nie lękając się złośliwych ludzkich języków?

— Pókim żyw! pani moja! — krzyknął rotmistrz — jam twój.

Chciał już na kolana paść, bo się zapomniał, lecz właśnie Szczypior powrócił, i po wesołej rozmowie rozstali się oboje uspokojeni.

Co się później stało i czy poczciwy a prostoduszny Bajbuza skrupuł przełamał, i wdowę do ołtarza poprowadził, o tem z pozostałych papierów wnosić trudno. To pewna, iż zszedł bezpotomnie.

W okolicy dłużej po nim pozostało legend wiele, ale wszystkie prawie wystawiały go w świetle śmiesznem dziwaka jakiegoś, który sam nie wiedział czego pragnął i nigdy z sumieniem swem nie był w zgodzie.

Otwinowski tłumacz wschodnich języków, który go osobiście znał i kochał, mawiał śmiejąc się o nim.

— Bajbuza! *Nomen, omen!* gdybyście wiedzieli co to nazwisko po turecku znaczy, ale ja wam nie powiem. Złoty człowiek był... tylko... piątej brakło mu klepki!

K O N I E C.



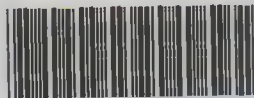






Biblioteka Raczyńskich

JK 1560



JK1560